

CZARTAK

ZBÓR POETÓW W BESKIDZIE

POEZJE I PROZA

JÓZEFA BIRKENMAJERA
JANINY BRZOSTOWSKIEJ
WIKTORA HANYSA
ZOFJI KOSSAK-SZCZUCKIEJ
EDWARDA KOZIKOWSKIEGO
TADEUSZA SZANTROCHA
JANA WIKTORA
EMILA ZEGADŁOWICZA



10847 C

KRAKÓW — MCMXXVIII





ZDZISŁAW GEDLICZKA:

JABŁONKA
(DRZEWORYT)



YWODZIMY SIĘ Z ZIEMI.

Oto cały rodowód nasz,
poezja nasza i filozofja nasza.

Ziemia t. zn. przyroda
i człowiek z glebą związany,
w mowę jej wstuchany, nakazy
jej rozumiejący, człowiek bliski
jej żywej powierzchni i niepo-
kojącego, węglowego czy żup-
nego wnętrza, człowiek puls glo-
bu tętniący w pochodzie swym

historycznym z wieczności w wieczność. Ziemia-przyroda:
ziemia-człowiek!

Ziemia-przyroda — bezmiar bożych spraw dziejących
się od świtu po zachód, tajemnica narodzin i śmierci w jednym
trwaniu zespolonych, wicher idący dolinami i szczytami w skłęb-
bieniu elementarnych sił, które są przykazaniem, i, jak to
przykazanie właśnie, jawią się w gromach i błyskawicach ge-
nezyjskich; kosmos.

Ziemia-człowiek — którego natężone i czujne trwanie
w dniu powszednim nawiedzane jest świętem i niedzielą wią-
żącą go z zagadnieniem sił rządzących, harmonji bytu i łaski
spływającej zarówno z szumu zbóż rozchwianych jak i ciszy
błękitu, zarówno z rytmu zajęć codziennych jak i trudzących
łęków burz rozświetlonych piorunem.

W tem właśnie: w naturze więc i w jej człowieku wi-
dzimy zasadniczą istotę wykreślającą drogę właściwą i cel
ostateczny ducha ludzkiego.

W zwrocie ku tym zagadnieniom wyczuwamy rehabilitację człowieka wobec jego zguby w wirze zmaterializowanych dysharmonij kultury miejskiej.

Postulaty nasze są wyraźnie antyurbanistyczne. Nie po-
mijamy stwierdzenia istnienia tych form utrapionych i utra-
piających w bezkorzystnem marnowaniu sił — widzimy ich
potworne kształty, słyszymy rechot ich turbin i syren, znamy
je bardzo dokładnie, rozumiemy do głębi — i dlatego właśnie
przeciwstawiamy się im każdym wysiłkiem myśli i czucia.

Zbiorowiska miejskie z całą ich strukturą poniewierającą
godność ludzką uważamy za uciążliwy i bolesny zjazd z traktu
głównego na wertepy i manowcowe bezdroża, krótko mówiąc,
za jedną z licznych pomyłek, którym ludzkość w pochodzie
dziejowym ulega; pomyłek tych jest dużo, niektóre są tamu-
jące i straszne w swym egoizmie i bezogólnym egocentryzmie
klasowym.

Historjozofja polska, poezja polska, myśl polska idzie po
linji ziemi.

Objawem osiedliskowym jej mieszkańca jest wieś — oczy-
wiście nie ta cicha i spokojna co to — »niech na całym świecie
wojna, byle polska wieś spokojna« — nie ta widziana oczami
turysty i letnika, oczywiście! — jeno ta wieś, która jest eksp-
nowaniem i mądrym obserwatorjum biegu wichrów i gwiazd,
dorocznego prawa zmienności, celebry orki i zasiewu, zaciętego
współżywiotowego borykania się o chleb powszedni dla wszyst-
kich, gdzie w przyrodzonej człowiekowi formie bytowania roz-
kwita czucie i dojrzewa myśl na zdrowy pokarm pokoleniom.

Chłop czy szlachcie? — to nazwy tylko! — istota jest ta
sama — ona to przez swoich emisariuszy, którymi są rolnicy
i poeci, stwarza byt i legendę narodu.

Jesteśmy poetami; — zachwyty widzących ostro oczu nie
odgranicza nas od żadnych najprostszych i najzłożeńszych
zjawisk życiowych — choćby w myśl zasady, że nic co ludzkie
nie jest nam obce.

Wszelką formę zewnętrzną rozumiemy wyłącznie jako emanację istoty rzeczy. więc za sprawę pochodną, wtórną; — przeto też i w zagadnieniu roboty pisarskiej forma (ta najzewnętrzniejsza) jest w zamierzeniu naszym na planie dal- szym — jest raczej zagadnieniem osobistego zamiłowania i przy- zwyczajenia, które z radosną skwapliwością poświęcamy dla formy wewnętrznej; zresztą duch w chwili nawiedzenia zawsze melodię znajdzie najwłaściwszą i w ton potrzebny uderzy.

Treść jest wszystkim; o nią w sobie walczymy; forma jest ciałem, treść duchem kształtującym powłokę swą wedle miary i potrzeby.

Stąd też otwarte są naościż okna i drzwi na wszystkie zagadnienia artystyczne, religijne i społeczne; artystyczne: szczerść, prostota, bezpośredniość; religijne: oparcie o ewan- gelję, o miłość; społeczne: pokochanie wzwyż i upadków, każdej biedy ludzkiej i nędzy, dojrzenie poza jakąkolwiek maską czy udaniem, pozą czy histrjoniństwem: człowieka! — we wszystkim, bliskim i dalekim, nie zapominając ani na chwilę o misji duchowej narodu, przez »osadzanie w duszy człowieczej tronu dla Boga«.

Jeśli rozpierschnięte partyzantki duchowe przypodobnie można do tęczy, która jest rozszczepieniem jednego światła białego — my — a mocą właśnie instynktu poetyckiego — urzeknięci jesteśmy żywą tajemnicą niewidocznych promieni ultrafioletowych i ultraczerwonych, dlatego też zasięgiem po- żądań uczuciowych i intelektualnych sięgamy z jednej strony, poza konserwatyzm, ku wiecznie twórczemu urokowi tradycji, z drugiej strony poza komunizm, ku miłości ogarniającej ży- wioły, życie, ziemię i wszechświat. Tęsknotą jednak naszą wieczną, celem finalnym będzie światło białe! Ku tej tęsknocie jedna nas droga wiedzie falista i górzysta, wietrzna i sło- neczna przez rodzimość i rasę. Tutaj też jest wytłumaczenie naszego fanatycznego przywiązania do spłachcia ziemi Bes- kidzkiej, która stała się dla nas z narastaniem lat, przemian

i doświadczeń odskocznią na wszelkie wzłoty; nie jest to przywiązanie, jak zbyt pochopnie osądzić chciano, partykularyzmem, zacieśnieniem i ucieczką — po tysiącokroć razy nie! — jest to nasz podstawowy teren operacyjny, skąd — jak z każdego zresztą innego miejsca na ziemi — drogi szerokie otwarte ku wszystkim stronom świata; — nie trzeba przecież zapominać, że wszelki czyn odkupienia i ofiara musi mieć na mapie kosmicznej i swoje Betleem i swój Nazaret.

Jesteśmy jednym z dźwięków poezji polskiej, która znów jest jednym akordem poezji globalnej. Im czystsza nasza pieśń będzie, tem czystsza będzie poezja wogóle, aż po tę ostateczną, która będzie hymnem narodowym Królestwa Bożego na ziemi. — Gdy tu mówię »my« — a prawem braterstwa zborowego mam ten mandat zaszczytny — mówię o tem, co jest platformą wyżywną, na której się spotykamy w odwieczny bożak — po za tem każdy z nas ma swoje góry i doliny, turnie i przepaście w sąsiedzkiej, pomocnej zgodzie.

Tutaj nastrocza się sprawa walki; — każda żywa idea (nie chodzi o to czy »nowa«; wielkie idee są zawsze stare, bowiem są wieczne) — pragnie zwyciężyć, pokonać, przebić się, zmylić pogonię i dojść do celu pierwsza i jedyna! Słusznie! — Jedna też idea do celu dojdzie; jeden bowiem jest cel i idea jedna. Oczywiście — dla nas walka nie może być synonimem łepienia, niszczenia, odrzucania w czambuł, wyszydzania, oszczerstw i brutalnych insynuacji; dla nas walka jest pojęciem dyscypliny wewnętrznej, więc pojęciem zdobywania, bicia dróg w duchowych krainach, cierpliwie, radośnie, krok po kroku — aż do rozświecenia i pełnego poznania; — wszakże-ci niema tak złego człowieka, którego by utajonych, a w chwili sposobnej dojrzanych wartości pokochać nie można, a pokochawszy zdobyć! — czem? — właśnie miłością — i tylko nią! — Niema człowieka takiego, ani warstwy, ani narodu, ani czasu, ani idei! A jeśli spotykamy się na tych szlakach z szyderstwem i nąprawianiem — tem lepiej! — Toć-że to radość prawdziwa! —

Jakże to rzeczono o świętym bracie Jałowcu (którego się tak djabły bały!) — ? — ...bowiem radował się z obelg, kiedy go mocno łżono..., — z tych to cnót i wielu innych przyczyn, mawiał św. Franciszek, chciałby Bóg, bracia moi, bym miał wielki las »Jałowców«.

Radość ta płynąca z uczucia gorącego i z przekonania pokornego, że niedość, widać, skutecznie i wierząco napierało się tem uczuciem — wytwarza siłę stu psycho-dynamo-maszyn, której, gdyby była naraz i społem rozpalona, wierzę, nie zdolaby się oprzeć wszystkie światła zatwardziałości i pomylenia, lecz przeistoczyłyby się i przetopiły przy niej i w skutek niej w metal wysokiej cnoty!

To byłyby (pomijam rozmyślnie problem regionalizmu, jako zbyt jasny i wyraźny) postulaty zgrubsza ujęte i mniej-więcej dające się w bractwie czartakowskiem uogólnić.

Pozatem wolność bezwzględna! — wszakże w każdym wierszu, w każdej zwrotce może być dany wyłom i wyzior na niewidzialne dotychczas sfery i obszary; te niespodzianki nosimy w sobie jako siłę potencjonalną; poezja jest przecież (także) uświadomieniem sobie, często nagłem i niezamierzonym, stanów duchowych, objawień, nawiedzeń i dojrzeń olśniewających; też i twórczość często podobna jest do rozświetleń błyskawicowych w gęstej czerni nocy, kiedy-to w sekundowym zjarzeniu jawią się oczom krajobrazy nieznane, drogi zgu-bione, wykresy najpotrzebniejsze.

Gdy tedy już powiedziałem o radości zwycięskiej — docieram do momentu, który pragnę mocno podkreślić i ponad wszystko dotychczas rzeczone wysoko wynieść: — czartakowcy, dzięki założeniom i właściwościom świadomego ustosunkowania się do zjawisk życia — przenoszą wiarę poezji swej w życie! — chcą stać się i są — wiary tej wyznawcami i apostołami: sięgają poza momenty twórcze, poza osobowość poezji — w życie! — tworzą je jako koncepcję pełną, nieprzerwaną, jednolitą i harmonijną w tem upragnieniu, aby zarówno

w słowach jak i w działaniu jedna była potęga, aby napisanie księgi i przeżycie dobrze dnia było jednakim, błogosławionym trudem.

Na tej płaszczyźnie nie ogranicza się zbór Czartaka do kilku tych, czy innych poetów i pisarzy — sięga dalej, głębiej, a imię jego: Legion.

EMIL ZEGADŁOWICZ





ZBIGNIEW PRONASZKO:
JÓZEF BIRKENMAJER
(RYSUNEK)

JÓZEF BIRKENMAJER:

MEDYTACJE

Medytacje

1

W cieniu stuletnich buków nad wąwozem,
koło klasztoru na górze Alwerni,
smutny Panjezus siadł na kolumience;
rękoma, spletanymi konopnym powrozem,
podpierał głowę skrwawioną,
boć ją przygniotła korona z cierni
i srodze cięży Mu pono...
Usiadł Panjezus w smutku okrutnym,
myśli o Swojej męce,
o Swych krzyżowych stacjach...

Pod Panjezusem smutnym,
koło wyrębu, na drewnianej ławie,
nieraz w godzinę wieczorną
pogrążony w medytacjach,
siadałeś, ojczy Czesławie,
aby odprawiać swe modły,
albo spisywać kronikę klasztorną...

Gwarzyły z tobą korne mniszki — jodły,
gwarzyły z tobą bernardyny-buki
w burych a szorstkich habitach,
niby dysputę z tobą wiodły,
choć twej nie miały nauki;
jednakże czasem w ich szumnych rozchwiejach,
w ich modlitewnych zachwytach
słyszałeś powieść rzetelną
o dawnych zamierzchłych dziejach,
które-ś spisywał do kronik...
I nieraz
cicho ci szeptał tryszczyk-pasikonik:
cyt, już śpią, śpią snem wiecznym, pod kruchą kościelną,
ci, co tu niegdyś żyli!...

Pod Panjezusem smutnym,
na zielonej murawie
hasały sobie wróbelki,
z rozgwarem buńczucznym i butnym i chutnym
wzajemnej z każdym szukały zaczepki —
i zagładały w twarz twoją ciekawie
i, za nic sobie mając wzrost twój tęgi, krzepki,
nieraz w poufałości i śmiałości wielkiej
dziobały twoje trepki;
ty, z zanadrza dobywszy kawał chleba suchy,
sypałeś im okruchy...

Kędyś za borem Szymoty,
 poza Kwaczałą, Lipowcem,
 chował się słońca krąg złoty;
 wieczór już zwolna szarym pokrowcem
 odziewał łąki, łążniaki, zagony,
 jak gdyby one barwne feretrony,
 po procesji znów złożone w kącie...
 Za mgłą się kryły babiogórskie szczyty
 daleko — na horyzoncie,
 głowy w kaptury wełniane odziewszy,
 jak zakonnicy zamodleni w stallach...
 Rąbek zórz się czerwienił — od ran ludzkich krwawszy...

Z rąk twych, ojcze Czesławie, wypadał różaniec
 i mimowoli zamykał się brewjarz,
 a wzrok twój, w którym gorzały zachwyty,
 błądził po ziemskich okolach, oddalach,
 aż poza świata kraniec —
 boć wszędy swojej duszy miłość ty rozkrzewiasz...
 Liczyłeś te wzgórze i wzgórze
 jakby żywego różańca paciorki,
 na srebrną Wisłę nawleczone wstęgę;
 wertowałeś stubarwne łąki, pola, niwy,
 niby inicjałami zdobną, starą księgę
 i z woni lasów ty wypijał
 ożywczy, silny kordjał
 miłości powszechnej a żywej...

Te łąki, lasy rzeki — na górach, na niżu —
 ogarniałeś miłością i błogosławieństwem,
 zowiąc je bracią własną i rodzeństwem,
 jak niegdyś mistrz twój — prostaczek z Assyżu;
 cieszyły się ich wonie, ich gędzby, ich blaski,
 a nawet tam, gdzie chłodne rozsiadły się cienie
 i kędy wrzały niesnaski,
 słałeś słowo pociechy — albo rozgrzeszenie;
 to tam zaś, gdzie boleść widziałeś lub ranę,
 wznosiłeś ręce szorstkie, spracowane,
 niby na siebie chcąc wziąć te stygmaty...

Siedział Pan Jezus smutny, Jezusinek,
 na kolumnie kamiennej;
 chwilowy ino miał tu odpoczynek,
 bo zaraz dalej pożeną go katy
 drogą krzyżową — hań na Kalwaryją —
 podług Bóg-Ojca woli nieodmiennej...

Przysiadł, aby se spojrzeć, jak tu ludzie żyją,
 jak się radują i cierpią,
 jako się krzywdzą lub miłują,
 jakie zamiary, jakie myśli snują,
 skąd wiarę i nadzieję czerpią,
 czy wszystko jest, jak było przódziej,
 kiedy to On — Pan Jezus — mieszkał pośród ludzi.

Miłość i boleść miał we twarzy —
 dwie najmożniejsze w świecie, wszechrodzące siły,
 a oczy Jego przesmutne mówiły,
 że boleść On odbiera, a miłością — darzy...





ZBIGNIEW PRONASZKO:
JANINA BRZOSTOWSKA
(RYSUNEK)

JANINA BRZOSTOWSKA:

EWA | ADAM | SĄSIAD | POEMAT
OKIEN | SZCZĘŚCIE | Z CZERWONEGO
KLASZTORU | TAJEMNE ZMARTWYCH-
WSTANIE | Z ZIEMI MOJEJ | WSCHÓD—
Z SZCZYTU BABIEJ GÓRY | TĘSKNO-
CIE | POZDROWIENIE | CISZA ZIMY |
===== GLOSSA O PRZYRODZIE =====

Ewa

Raju niema już, jest tylko ziemia —
Za zasłoną nieba daleką
Bóg się ukrył w tajemnic cieniach —
Tak już będzie za wiekiem wiek.

I choć nieraz uśmiechem łaskawszym
błyśnie losów kabała jak żartem,
szczęścia, coby umiało trwać zawsze,
nie wywróży żadna z kart.

Więc tęsknotą nawet nie trzeba
daremnie po nie sięgać,
tylko brać z ziemi i nieba
chwil mijających wdzięk,

zrywać jabłka radości wszelkich
zanim przyjdzie zejść do mogiły —
to grzech taki nie wielki
wobec tego, który pierwszym był.

Adam

Raz spojrzwały wstecz jego oczy,
by pożegnać raj niełaskawy.
Dziś daleko już od niego odszedł,
i zatracił wszystkie z szczęścia praw.

Na swych barkach pochylonych nisko
dźwiga ciężar niezmierny przekleństwa,
przez wygnania drogę kamienistą
szlakiem życia złym — idzie wśród klęsk.

A jednakże bólem niezłamany
w sercu nosi wiarę w żywot wieczny,
przyrzeczony niegdyś u tej bramy
z której wywiódł go ognisty miecz.

I nie poto pragnie tak gorąco
przetrwąć lata swej niedoli długie,
by tam wrócić jeszcze, lecz tęsknotą
jego cel jest ostateczny: Bóg.

Sąsiad

Mieszkasz na tem samym piętrze,
a jednak obcy mi jesteś, daleki —
Samotność to niezmierna między nami przestrzeń,
kołysana na smutku skrzydłach lekkich.

Nie wiem, czemu więc przez noce wszystkie
i te ciemne i te modre gwiazdne,
muszę słuchać skargi twoich skrzypiec:
zwierzeń i spowiedzi łez pełnej.

Czemu tonem tak bliskim, dotykającym,
a lecącym wyżynami nad miasta ciszę,
aż po drogi w nieskończoność niewidzialne
uderzeniom mego serca towarzyszysz.

Długie noce mi rozkwiecasz tęsknotami,
jak ogrody róż krwawych falą,
i nic nie wiesz, że w me serce przerzucane
nieraz wiążą nas tak blisko — wiecznością i dałą.

Poemat okien

Słucham, idąc samotnie
muzyki, której niema:
światłami wszystkich okien
wyspiewany poemat.

Z mroku go wydzwignęła
cierpliwa jasność lamp,
aby lśnił w ulic cieniach
aż do wczesnego dnia.

Gwiazd nie widać, choć wiem,
że na niebie się rozpostarły —
urządzają niesłyszalny wiec,
skryły blaski swoje i barwy.

Tylko okna najbliższe przez mgłę
grają, czasem chórami, to znów w tercet lub kwartet —
gdy kamienica nędzy pełna i bied
nie może lśnić symfonią wszystkich światel.

Lubię w jedną ich muzyczną frazę
wśluchać się przez wiew chłodnej wiosennej nocy:
w najciemniejszego zaułka andancie
tajemnicę dojrzą moje oczy.

W jakimś tonie okna czerwonym
(świeca, lub może lampa stara, naftowa)
jak stygnąca krew zapomnianego przez wszystkich zgonu
jak przeczucie samotnych, nawet w miłości, obaw.

Chłonę tę czerwień wzrokiem,
a potem przymykam powieki —
z światłem w oczach zamkniętem stoję,
a przez serce moje lży płyną i uśmiechy.

Wiecznie to samo — barwy nie spłowie — śmierć i miłość —
ciebie to za oknem tem uwięziono, życie!
przygasły promień twój do serca mego przeniknął
i rozkwitł w niem, jak pieśń kwiatami i liściem.

Na dnie czarnego bez gwiazd kwiatu nocy,
który ziemię do nieba przytulił,
z serca mego promień rośnie kwitnący,
w nieskończoności się gubi.

Ogniami wszystkich światel, któremi płonie miłość
wysoko sięga jak stęsknione życie,
z tego zaułka, jak przez tajny wyłom
wykwita nawet ponad śmierci przyjście.

Szczęście

Szczęście — to łąki nad brzegami rzeki przejrzystej —
nie miłość twoja —
miłość twoja, to smutek mój.

Szczęście — to wzgórza gajami szumiącemi porośłe —
nie uśmiech twój —
uśmiech twój, to tęsknota moja.

Szczęście — to pierwszy słoneczny dzień wiosny — paki rozwi-
nie pocałunki twe — [jający —
pocałunki twe, to rozkosz pragnień nigdy nie uciszonych.

Ale ani wśród łąk, ani wzgórz zielonych,
ani w dni wiosny słoneczne
niema szczęścia bez ciebie.

Z czerwonego klasztoru

Nie wiem dlaczego właśnie zauważyłam wczoraj,
przechodząc obok kościoła z myślą o wielkim grzechu,
że księża Karmelici z czerwonego klasztoru,
to bardzo mili ludzie, mają dobre uśmiechy.

Z zieleni swego ogrodu, z zakwieconego wzgórza
ponad aleje jesionów patrzą z wysokich okien —
nic ich tak może nie cieszy, nic ich tak bardzo nie wzrusza,
jak w trzech ramionach rzeki trzykrotnie odbite słońce.

Tajemne zmartwychwstanie

Niesiemy kwiaty pierwsze rwane pod lasem w tarninach --
urokiem wczesnej wiosny pachną już wszystkie łąki --
nawet na czarny krzyż powój wątlý wieniec rozpina,
na pochylony krzyż, co się wśród pól zabłąkał.

Czy wiemy kto w jego cieniu udział bierze w święcie rozkwitu,
kto zieleń liści nasycił, kto w kwiatach rozwarł znów oczy?
Kto pełnym pije oddechem powietrza świeżą błękitność:
to człowiek, który w śmierć odszedł, z mogiły wraca mrocznej.

Ciszę serca swojego zbratał z kwiatów milczących ciszą,
i teraz jest nam tak bliski i tak zarazem daleki,
jak te różowe pąki, co się w ciepłym wietrze kołyszą
ruchem oddanym ziemi, zawsze jednakó lekkim.

Jest nam tak bardzo daleki i tak zarazem bliski
w tem zmartwychwstaniu tajemnem, w nieustępliwym powrocie,
stały mu się rodzeństwem wesołym kwiaty ogrodów wszystkich --
poi się rosą i słońcem, jak jaskry i stokrocie.

Obcy mu żal i smutek, człowieczą zrzucił żalobę,
szyderstwa nie niesie z sobą radość wiosennej krasy:
serce tak kiedyś gorące w zimnym nie leży grobie,
tysiąca kwiatów uśmiechem nad krzyż wykwitło własny.

Z ziemi mojej

Noc — idę taśmą białego zakrętu
drogi, doliną pełną ciszy snu —
nad krzywą linią ciemnych górskich grzbietów
gwiazdy w tajemny złożyły się wzór.

Żadnej mądrości czytać z nich nie pragnę,
żadnych objawień, i wiem tylko jedno:
ziemia jak okręt z ciemno-modrym żaglem
nieba, wraz ze mną płynie w ciszę, wieczność.

Na pokład, biały poświatą księżyca
czasem przelotne upadają cienie
obłoków, może ogromnych piór skrzydła
mocy, niosącej mnie, gwiazdy i ziemię.

Wschód — z szczytu Babiej góry

Wicher rozwarł w mgłach błękitne okno —
pęk promieni już przez nie się wdarł:
złote skrzydła przypawił obłokom,
i snu szarość z skał krawędzi starł.

Zginął w blaskach ostatni ślad mroków,
ziemia leży nisko u mych stóp.
Całą przestrzeń żądnym dali wzrokiem
mogę zdobyć, morze sinych gór!

Wśród nich, w ciszy śpiących jeszcze dolin,
nad strugami, co w zieleni lśnią,
witam białe, tak wzgardzone domy
łzą, zbłąkaną niewiadomo skąd.

Tęsknocie

Niechaj wypełni się to, czego pragniesz, tęsknoto:
rozsnuj się w nieba błękicie ciszą świetlaną i czystą.
Spali cię smutek zachodu ognia pożogą złotą,
lecz ja raz ujrzę jedyny, oczom tak rzeczywistą.

Niech ci wypełni się to, czego pragniesz, tęsknoto:
zadźwięcz tonami pieśni śpiewanej w wiosny południe!
Zaginiony w szepcie wiatru, który ziemię obiegnie przed nocą,
lecz ja cię raz jeden usłyszę, w dźwięków wcieloną strumień.

Niechaj ci spełni się, czego tak pragniesz tęsknoto:
zamień się w falę rzeki szumiącej w górach mej ziemi.
Zanim cię chmury zazdrosne tęczą wypiją wysoką,
raz serce chłodem uciszysz, ty, co płoniesz w krwi żywej czerwieni.

Pozdrowienie

Pozdrów odemnie tę rzekę wesołą
co płynie pośród naszej ziemi gór,
pozdrow te góry zielone dokoła,
cieniami stoków w jej schodzące nurt.

Zanieś im tysiąc tęsknoty pozdrowień
a słów twych będą radośnie słuchały —
pojmą, odgadną, chociaż im nie powiesz
że to miłości głos najszczerzej, stałej.

Bo one dzisiaj jeszcze pamiętają
szczęścia naszego najjaśniejszy blask,
same stroiły je pięknnością raję,
same szczodrością swych darzyły łask.

Wspomnienie o niem pozostało w ciszy
słodkiej — jak wtenczas zapachami łąk,
rzeka je w pluskach szybkich fal kołysze,
blaski te same i dziś na niej drżą.

Te same cienie są w leśnej zieleni,
co kiedyś serca uciszały rytm —
czas modrych niebios, ani chmur nie zmienił,
lecących w światłach coraz nowych dni.

Więc gdy szedł będziesz brzegami tej rzeki,
ku której często zwracaliśmy krok,
odpowie tobie fal westchnieniem lekkim
na pozdrowienie to z dalekich stron.

Góry odkryją z chmur wysokie czoła,
by w zamyśleniu słuchać twoich słów —
choć imię moje niegłośnie zawołasz,
w echach powtórzą je dokoła stu.

Cisza zimy

Niebo jest blade, ziemi snem długim przejęte,
nie śmie błysnąć promykiem jasnym — może czeka
na jakąś wieść tajemną, co ma przyjść przed kwietniem
w niespokojnie kapryśnych słonecznych uśmiechach.

Lecz ja tak właśnie dzisiaj każdym swym oddechem
radość piję, przez ziemię jak przez wieczność idę;
tyle szczęścia ma w sobie pól daleka przestrzeń,
zagubia i ucisza wszelką ludzką krzywdę.

Pragnienia wszystkie były jak skrzydła motyle,
nawet radość zbyt mocna blask ich świeży starła —
a to niebo, co dziś się nad ziemią pochyla,
jest ciche, nieruchome, jak pokoju sztandar;

zagarnęło mgłę smutków mych od łez aż ciężką,
już jej znaleźć nie zdołam pośród pól tych białych
ośnieżonej równiny — więc słucham jak lekko
serce bije w takt mocnej, wezbranej krwi fali.

I nie wiem czy na ziemi tu jest szczęście większe
ponad ciszę spokojną, nieznającą kresu,
która kołysze serca cierpienia najgłębsze
tchem łagodnym, idącym przez najdalszy przestwór.

GLOSSA O PRZYRODZIE

1. Dawniej ludzie bali się ciebie przyrodo —
dzisiaj przeniknęliśmy twoje tajemnice groźne
stajesz się coraz bliższą nam,
stajesz się ukochaną. —

Przestaliśmy być barbarzyńcami.

Wywalczyliśmy sobie wolność wobec ciebie, a teraz pragniemy, abyś
i ty zachowała jej wiedzę najradośniejszą.

Jesteśmy silni, jesteśmy już tak silni. że chcemy pozwolić sobie na
słabość miłości.

My pierwsi — my — poeci — piszący i nie piszący, bierzemy ciebie
w obronę przyrodo —

za twoją piękność —

za twoją słoneczność daleką od brudnego cienia kamienia —

za twoją ciszę zapomnienie niosącą o udręce i głośniejszą
miast —

za rozkosz, jaką upajają łąki twoje, kwiatów rozchwypanych pełne,
niespokojnych deseni wolności.

niech jej radość nigdy nie stanie się nam obcą.

— — — — —

O jakże męczą szare bruki miast, ich uporządkowane prostokąty.

— — — — —

2. Nie my obwieszać będziemy szczyty twoich gór elektrycznymi windami.
Chcemy tym, którzy pierwotności ostatnie przecucia zachowali w ser-
cach, zostawić wybór dróg.

Niech nie wiotczącą muskują wszystkich ludzkich stóp — niech nie
dodają im sił jedynie ciasne ćwiczebne stadiony, po których
biegają tam i z powrotem, pod przymusem jedynej celowości,
bez żadnych poza nią perspektyw.

Taki cel — to za mało dla pragnień naszych —
ograniczeń za wiele.

3. *Nie możemy zapomnieć o swem z tobą związaniu, przyrodo, wszyscy z ciebie jesteśmy. —*

Każdy ze zmysłów naszych twoim jest zmysłem —

Krew nasza w tobie nieustające ma źródło.

Nie chcemy zerwać cię stopniu ostatni w pierwotność miłości —

nie chcemy z ziemi uczynić fabryki jada, napoju, przedmiotów codziennego użytku i handlu.

Pragniemy mieć domy, w których rodziłyby się dzieci jeszcze według twych praw —

ogrody, w których słońce uczyłoby nas radości —

widnokregi dalekie, nie oślepione murami —

wzgórz drogi kamieniste, ku szczyłom wiodące, my, którzy jeszcze śmiało chodzić umiemy.

Młodość nasza w twojej bujności najżywsze znajduje echo —

Siła nasza w twojej mocy czerpie ramion swych dzielność —

Miłość nasza w tobie rozkwita.

4. *A miasta? — Stwarzają z dnia na dzień wzmagając się bezwzględną walkę o byt, nie rozjaśnioną częstokroć nawet nadzieją lepszej przyszłości. W nich siejba nienawiści najbogatsze wydaje plony.*

Nietylko zmaterializowany, ale do ostateczności zmechanizowany porządek rzeczy trwa i coraz bardziej w jarzmo swoje nagina człowieka, który nie pamięta już co znaczy słowo: wolność.

Maszyna święci triumfy, i człowiek sam staje się maszyną.

Życie ubożeje i wyzbywa się największych swych wartości — brzydnie i zapomina czem jest piękność.

Jakże mamy bez słowa protestu zgodzić się na takie poniżenie, my, którzy pragniemy, by powiew z nad głębokiego morza niepojętych dołąd tajemnic owiewał nasze czoła, nie pychą butne, ale tak często gorzką schylone udranką wobec niedoli bliźnich,

Do ciebie się zwracamy przyrodo —

Ty przynosisz nam wyzwolenie z nędzy i małości własnej, nowe, czystsze i pogodniejsze w świat otwierasz horyzonty.

Zbliżenie się do ciebie nietylko nie hamuje kroków w przyszłość idących, ale sił im dodaje, a drogę czyni otuchy pełną i nadziei.

Oto postęp — najszczęśliwszy.





ZBIGNIEW PRONASZKO:
WIKTOR HANYS
(*RYSUNEK*)

WIKTOR HANYŚ:

O TEM JAK DWAJ ZASZLI NA
MIEDZĘ | MOMENTY | W NOC
KSIĘŻYCOWĄ | LESISTE OPO-
WIEŚCI | NA HALI | KTÓREGOŚ
WRZEŚNIA | ZGRZEBNA PŁACHTA

O tem, jak dwaj zaszli na miedzę

T A D E U S Z O W I S Z A N T R O C H O W I
na pamiątkę przechadzki z nim dn. 26 VI. 1927

Postukali nogami, laskami,
przemknęli trotuarem
i tak zaszli za miasto.
Nad nimi we fioletowym przedzmroku
niosły się chmury miedziane.
O czymś mówili —
Kroki stawiali po ziemi,
lecz głowy nieśli wysoko
nad przestrzeń, nad czas — — —
Mowa biegła po torach niechwytnych
raz tu, to tam:
jako się życie ludzkie ścieli:
po górach, dolinach, rynsztokach.
A to znów ojciec się niepokoi,
gdy dziecko chore najdroższe,
a Ibsen pisze dużo o czymś w »Dzikiem kacze«.

To znów jakby to było
gdzieś na oceanie
płynęli w łódce bez dna i bez wiosł
w astronomicznych patrząc snów manowce.

Wszystkie bogi i ludzie
przeгнаły im przez głowy,
a byli tu i tam...

Snać tylko zapomnieli,
że wzdłuż wąziutkiej między
po obu stronach
żyto się łanem ścieli,
pochyła głowy kłosne nisko,
spokojnie, cicho, bezbrzeżnie, falisto.

Momenty

DZIECINNE ZACHCIANKI

Miljonowych gra światła w noc ciemną jak ołów:
Dyndają wokół; — słychać — dzwonią...
— Gdyby tak siatkę rzucić na nie
i splątać wszystkie, —
siatkaby się przedarła może
popsuła i rozpadła,
lecz jednak — kto wie — może dobry byłby połów...

ŁĄTKA JEDNODNIÓWKA

— Wspomnienie czegoś,
co niewiadomo czy było,
dzień był tak jasny;
takby się dobrze żyło.

W noc księżycową

Żarem spalone usta, drżące jeszcze w mroku,
wchłaniają w siebie balsam sinawego cienia,
co rozlał się po grapach gęsto zalesionych,
obejmując z osobna każde drzewo. — — —

Ziemia...

wieczna tęsknica za słońcem
spragniona jego siły i męskiego tchnienia,
odslaniająca rankami swe ciało,
by poddać je urokom ognistego oka...
Wrzyna się do jej łona siła światła wrząca
i napęlnia je życiem; bluzgocze gorąca
lawą karmu z jej piersi —
dziś nocą, cała jeszcze dygocąca
spoczęła chwilę.

Księżyc oliwą swego łagodnego światła
jej ciało namaszcza i pieści;
a ja się za czemś nieznanem —
tęsknotą męczę — — —

Lesiste opowieści

Zigliwione lesiste poświsty
kłują się wzajem dotkliwie —
korzenie wyrywają ziemię,
ziemia — korzenie.
Pooplatane skały,
piach żdziurawiony —
mrówek stłoczone chmary
dźwigają belki ruchliwie...
Ciemne wykrętasy konarów,
ze środka lecące w przestrzeń,
oblane sadzą,
na rosę, słońce
wynoszą swe macki tkliwe,
czują, jak chodzą im po kościach
wierzące wiatru dreszcze.

Tylko z głębi potoka
— strach!!
dochodzą głuche wieści:
drzewo tam pono uschło,
rzuciło próchnem w oczy,
a w czyjeś serce smreczane
piorun trzasł!!

Na hali

Sami jesteśmy.
Tak cicho mówisz do mnie,
tak jakoś tajemniczo,
szybko ci bije serce.
czy chlust ostrego powietrza targa ci piersi?
lub może tęsknisz za miastem?...

 Płasają żwawo dziwożony,
 a nawet śmieją się blednice;
 nieboskłon dzisiaj jak szalony
 i gwiazdy tak jasno świecą.

Dorwiem się skrzydeł, przyjacielu,
nie uważając wcale na granice,
albo też w pełnym galopie
pocwałużemy na srebrnym księżycu.

 Daj rękę, przyjacielu,
 i nie mów do mnie tak cicho,
 wszak możesz — nikt tutaj cię nie usłyszy —
 huknąć w głos z całej piersi: hihuu!

Któregoś września

Korowód świetlnych dni, jasno rozlanych

z rzeszota sieje wokoło

bezkresną,

już wypławioną w słońcu pogodę.

Spokój —

Jakby tych dni strzaskanych wściekłością piorunów

wcale, a wcale nie było —

Kapie z pod seledynu miodu wonna,

nabrzmiała dojrzałość gorąca,

z rozwartej sący się macicy,

gradem się sypie z drzew,

— jabłko o jabłko potraça —

drga w nozdrzach nieprzepartem rozlewaniem woni.

Bezkresność, falistość bez końca,

i błogie rozleniwienie —

wszystko tak jakoś zakrzepło,

jak ta na białych ścianach domu mego jasność,

jak to, że było tu, a niema już gorąca.

Zgrzebna płachta

Stary leżał na słomie rozestanej wąsko i cienko na powykrzywianej podłodze; oczami wodził po suficie, gdzie siwe plamy zaczynały mierzchnąć już, zlizywane mrokiem.

Na polu tlił się jeszcze zachód jesienny czerwoną mierzwą na niebie.

Wiatr październikowy tłukł po wąwozach chmarami liści, i skomlił świstliwie w gałęziach brzezin i warkoczach świerczanych.

Wierzchami wzgórz niósł się zdaleka szumny akord.

Oddech starego był świszczący — podobnie wiatr dusi się w badylach zeschniętych — i przyciężki.

Stary zgarniał co chwila pokurczonemi palcami słomę, i od czasu do czasu w takt powolnego tykania ściennego zegara powtarzał: słoma... no słoma.

Zgrzebny żywot na zgrzebnej płachcie — no zgrzebny — powtarzał co chwila jedno i to samo:

Zawsze wkoło.

Sam był. Wszyscy poszli sobie gdzieś do roboty.

Sam był, choć nie sam.

Czekał.....

Już cień coraz to grubszy zlizywał mu bladość z rąk, które dotychczas jak dwa opłatki spoczywały, rzucone bezsilnie wzdłuż pościeli.

Zdawało mu się, że ręce jego zleją się z mrokiem, a wkrótce jego samego obejmie czarnymi ramionami ciemność.

Czekał.

Czekał nieruchomo, jakby rzeczywiście miało coś nadejść wkrótce i powiedzieć mu otwarcie o długo tajonej radości, której nie było nigdy.

— Wreszcie — westchnął z ulgą i zdawał się unosić trochę z posłania. Szepnął to słowo kilka razy po długich przerwach i znowu czekał.

Uniósł w końcu ręce z wysiłkiem i wyciągnął je przed siebie, poczuł przytem jak jakiś rzeźwy prąd przenika mu je od ramion i piersi wzdłuż aż do palców, a z palców, z samych ich końców wylewa się niewidzialne światło, płynie i rozczapierza się szeroko.

Nie mógł otworzyć ciężkich powiek, lecz jednak mimo to widział wyraźnie rozciągające się pasma światła, krające ciemny mrok we wszystkich kierunkach. Błoga radość, szalenie żywiołowe czucie targnęło nim na pościeli. A myśli jego pobiegły wnet śladem tych promienistych wysnuć serdecznych.

Widział siebie wędrującego z miejsca na miejsce wchodził na szczyty, to znowu szybko spuszczał się wąwozami w dolinę, przemierzał szerokim krokiem lesiste zbocza grap, przerzucał się za odrzewione szczyty, chodził, błdził, kołował tam i nazad, wzdłuż i wpoprzek; rzucał jasne słowa ludziom na ugorach, zapadał w potoki, wreszcie ciągnął gdzieś na równinę, szedł, ginął w mgłach otulających ziemię tak, że sama jego sylwetka zginęła mu wkrótce z oczu.

Ręce opadły mu i leżały jak przedtem, ale jeszcze trwały w przenikaniu błogiem.

A potem zeszło się wszystko ku niemu i zaczęło gnieść sobą, a zbliżyć się z wszech stron: dawne słowa z werwą zamaszystą, jasne pojęcia szybkie, jak sam błysk postanowienia, przedsięwzięcia nagle, niezwykle przeskoki uczuć splecionych wzajemnie — szły sznurem długim, spojone przypadkami losu; tylko to dziwne zaniepokojenie, które pełza w szeroko rozwartych oczach, a które można wyssać z piaszczystej gleby górskiej, tylko ten niezwykle niepokój, ten upór zacięty a trwożny górował nad całą falą

uczuc zmarłych, a teraz zmartwychwstających w pełnej chwale w widzeniu ostatecznem.

Stary zapomniał zupełnie o tem, że on właściwie leży słaby na zmiętej słomie i rąk podnieść nie może nijak.

Miłość wezbrała w jego chudych piersiach.

Ocknął się na odgłos kroków w sieni.

— Prawda to wszystko było? — spytał. — Co się wam śni — była odpowiedź; lenicie się na podłodze i bzdurzy wam się cosik.





ZBIGNIEW PRONASZKO:
ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA
(RYSUNEK)

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA:

PO LATACH | LIST

Po latach

Johann Pfeifer, dozorca kazamat więziennych w twierdzy Ołomunieckiej przystanął przed ostatnimi w rzędzie okutymi drzwiami. Postawiwszy na ziemi latarkę i cebrzyk z zupą, otworzył zamek, odsunął zasuwę górną i dolną, odłożył ze szczękiem środkową antabę. Drzwi się otworzyły, ukazując zielonawo-mroczne wnętrze lochu. Migotliwem światłem kopnącej olejnej latarki Pfeifer wymacał stojącą nieopodal miskę i chlusnął w nią gęstą a cuchnącą zawartość cebrzyka.

— Nuże dziady! Pyrdelonka!¹⁾ — zakrzyknął w głąb. Chrypliwe stęknienie odpowiedziało z ciemni. Zadzwonilo żelazo. Dozorca wyszedł, wieloletniem przyzwyczajeniem zamykając starannie zasuwę, zawierając antabę środkową, z łoskotem przekręcając w zamku wielki zardzewiały klucz. W lochu szczerkały ospale wleczone po podłodze kamiennej kajdany. Stary zbójnik Walko Krzepica z Kobylej wziął ostrożnie miskę i poniósł w kąt pod maleńkie u sklepienia wykrojone okienko. Towarzysz jego Juraszek Madej z Ustronia siedział tam z nogami podkulonemi na barłogu, stanowiącym ich posłanie i jedyny sprzęt zarazem. Postawili miskę na ziemi przed sobą. Wyjęli z barłogu łyżki drewniane, jedząc powoli, bez słowa polewkę grochową. Skończyli. Krzepica odstawił miskę podle drzwi i usiadł przy towarzyszu. W stęchłym pół-mroku zalegającym więzienie widzieli się podobni do widm. Sępie wyraziste twarze wyblakłe były na równi z łachmanami zetlałej odzieży. Z przegubów rąk i nóg olbrzymich niegdyś kościejów zsuwały się zbyt obszerne kajdany. Jakże wżerały się w ciało, cięły

¹⁾ Pyrdelonka — tłusta i pieprzna zupa ze szwiny, ulubiony przysmak śląski.

w męce, gdy je na zwartej mocarności krzepkich dłoni zaklepano przed sześćdziesięciu laty! Dziś dałyby się zesunąć bez wielkiego trudu, lecz oni zsunąć ich nie próbowali. Zapomnieli, iż się rodzili bez kajdan. Tyle lat! Nie pamiętali niczego. Skazanych na szubienicę, miłosierny cesarz Franciszek I ułaskawił, zmieniając karę śmierci na dożywotnie więzienie w najgłębszych lochach fortecy. Było to czasu ogromnego zjazdu książąt i królów do Wiednia. Kiedy, hej — kiedy? Jakżeby spamiętać mogli? W pierwszych latach owej łaski dobrotliwego cesarza zwiedzali nieraz więzienie dostojni panowie, wojskowi w błyszczących kołnierzach, damy w tunikach i zawojach z trzęsieniami, lękliwe, pachnące, uroczne. Dozorca odsuwał zasuwę, dwóch grenadierów z obnażonymi szablami stawało we drzwiach, gdy komendant twierdzy objaśniał przyciszonym głosem: »Das sind gerade die zwei letzten gefährlichsten Beskidenräuber«... zniżał jeszcze więcej głos, by wyliczyć krwawe rozprawy, zdziesiątkowane oddziały, postrach ogólny... — Um Gotteswillen... niech Wasze Dostojności nie podchodzą bliżej... te szatany gotowe się rzucić choć skuci...

Zatraskiwano zawory. Hej, rzucali się zrazu istotnie. Na kraty, na drzwi zamczyste. Z murem czterołokciowym za bary się biorąc, ziemię pazurami drapiąc. Nie snadno im było przywyknąć, wierchy swobodne szerokie na kazamaty zamienić — nie snadno. Lecz mur krzepiejszy był od nich. Omdlała wola, zwalczona tępą obojętnością kamienia. Gdy potargane mięśnie opadły bezsilne, — Krzepica, którego piśmienny był, do cesarza pisał list. Pisał na rękawie koszuli, krwią z serdecznego palca, zadziórą z futryny. Za wolność skarby ogromne na groniach ukryte oddawał. Cesarzowi, wiadomo, na wojnę z Napolionem dutków trza — wypuści ich ani chybi. Dozorca, którego odchodził na grację, obiecał list oddać do własnych najjaśniejszych rąk, za co przyrzekli mu worek grajcarów. I czekali. Czekali cierpliwie rok, dwa, trzy, pięć, osiem, aż im się pamięć czasu zatraciła. Nie nużyli się czekaniem. List do cesarza! Nie hycnie jak wróbel, ani wróci migiem spadki. Pomaluśku szak idzie, z cesarską rozważą. Cze-

kali. Mijały miesiące, lata, dziesiątki lat w powolnem zobojetnieniu. Kamienna mogiła chłoneła w siebie żywą istotę człowieczą, szczepiąc jej w zamian własną wieczystą cierpliwość. Już i pamięć listu rozpełzła się, wsiąkła w ściany. Coraz mniej kosztowało gibkie niegdyś nogi, siedzenie dniami, tygodniami, miesiącami w skulonym, jednakim bezruchu. Coraz rzadziej odzywał się głos, — niepotrzebny i obcy kamieniom. Coraz też rzadziej otwierano drzwi, by dostojnikom, zwiedzającym twierdzę, pokazać »die letzten gefährlichsten Beskiden räuber«... — Drugi dozorca umarł, nastał trzeci nowy. Ten z ciekawością odsunął antaby, poświecił latarką. — Dziady! — mruknął i splunął z pogardą. Tak też ich odtąd nazywano. Nie lękał się już struchlałych kościołów nikt. By prosili, odjętoby im okowy, zezwolono przechadzki, a może nawet tapczana, oni jednakże zabyli, by mogło kiedykolwiek być inaczej i nie żądali niczego. Bezpańny martwy spokój zakrył przed nimi obrazy dawnej prawdziwej młodości; trwali bez świadomości bytu, życia, czasu.

— Dziady! nowina! kompana macie, swojaka!... — wrzasnął dozorca w głąb lochu. Pchnął przed sobą górala w cusze, cisnął kłęb słomy i dzwierze zawarł jak zwykle. Nowy przybysz przysiadł na słomie niepewnie, bielejąc w mroku gałatami. Twarz miał młodą i wesołą, białe zęby błyszczały w opalonej twarzy. Spoglądał z onieśmieleniem na te dwa staruchy majaczące w ciemni kąta. Patrzyli w niego mętnymi oczami. Starcze wargi jęły coś mamlać, niby przeżuając, aż wyskrzypieli w gardłowym charknięciu:

— A ty gdo?

— Jónek Bystroń z Kubalonki — poderwał się ze słomy, rad, że może mówić. — Na weselu u sąsiada roztrzepał trzech pacholków... Bez to mie wzieni... Na roczek!.., Trza bee wydzierzeć... — a wy?

Szeleścili długo suchemi wargami, zanim zdołali wyłowić dźwięk odległy, zapomniany, z trudem wydobywający się na wierzch myśli, jak topielec na wierzch wody.

— Walko Krzepica z Kobylej...
— Juraszek Madej z Ustronia...
— Maciczko Najświętsza! — zakrzyknął góral — cheba te zbójniki hyrne, co ich w koziej wojnie wzieni?

— No!

— Dziwajcie się! Wiary nie byda chcieli dać ludkowie na spodku kiej rzekę... Krzepica z Kobylej, — Juraszek Madejów, w żywobycie!! Mój starek dycki gadki o nich prawił... A wszystkie rządziły, że dawno pomerły. Dyć że oni, mój dziadeczny ujec... Matula z Krzepiców się piszą... A zawdy ich spominają... Żywicie! Ponbóczek w opaterności ich zdzierzył... Wiary nie dadzą! Telowne to lata!

Drżał z wrażenia, lecz oni milczeli, patrząc weń nieruchomo martwemi napół oczami. Coś budziło się w tych oczach, pełgało chwilę i cichło.

— Aże się trapić nie byda, że me tu marchy skludziły, — podjął znów żarko, — a znają: Heliasz z Pustułką dawno pomerli... W Bernie ich zawrzyli... zawrzyli na ament... Hrómskie były chłopcy... tyż gadki o nich dziełuchy śpiewajom — no, nie tela, co za nich.

Spojrzał w ciemności. w których już kształt żaden nie majaczył, bo mrok zapadł, lecz nie odpowiedziało mu nic. Trzepnął się ręką po głowie.

— Jezusiczku roztomiły! Dyć starki hladały duszyczki jeich wandrujące po dziedzinie. Godała raz Matulina, że duk jej cestę zagroził i pado: Joch je Walko Krzepica z Kobylej, porzykejcie za moją duszę, gaździnko... Łgała chyba?! Jużci łgała, kiej som żywi?...

Wparł oczy w mrok daremnie, oczekując odpowiedzi. Nie nadchodziła. Kościeje trwali nieruchomo ogłuszeni nawałą szybką jego słów. Z trudem rozróżniał w ciemni martwe głowy wsparte o kamienną ścianę, przesiąkłe jej barwą mogilną. Ogarnął go nagły lęk. Zmilkł. — Które naisto umrzyki som?

przeleciało mu przez głowę. Rozejrzał się ze wstrętem i niechęcią po więzieniu i naraz rzewnie zatęsknił za fajką.

— Tobaku nie mają?... Ni?... Naisto nie mają...? Ni kandy nie wydzierzę bez tobaku... A po innych kreminach dają... — dokończył fachowo — rzucił się na słomę i zasnął. — Oni nie spali. Siedzieli jak wpierw z podkulonemi nogami, w głębi przerosłej ogłuchłym kamieniem duszy, łowiąc jakoweś strzępy świadomości. Bardziej wymowny niż kształt, wyrazistszy niż głos — zapach obcego bił w nozdrza starców, rozbudzał, niepokoił, cuciał. Mocny zapach, jedli, boru, owczych kozuchów, ciepłej mulki, przestrzeni, wiatru i słońca, snuł się wśród stęchlizny lochu, wyczarowując z ciemności zagaste dawno wspominki. Wyżarte czasem nici starczego umysłu w ciężkim wysiłku ujęły stawidła pamięci, naprężyły się, ocknęły... Gdy nazajutrz, za siedmioma ciężkimi murami z kamienia, gdzieś, na swobodnym świecie stał się jasny dzień, a mrok więzienny zrzędnął i nasiąkł bladeścią. Bystroń ujrzał, że kościeje patrzą się w niego uparcie, bezzębnymi wargami poruszając bezradnie w pogoni za cieniami słów.

— Kiery tyż wziął Jagnieszkę, cerę Wiselkową?... — wykrztusił Madej krzypliwie.

— Sława Ponbóczku, gadajom! Myślotech już wczoraj, że niemowy som...

— Zabaczylichmy godania...

— Naisto! telowny wiek! Doczkejcie: Jagna Wiselków... cheba starka Jewki, kierej iste roki w gody odprawili? Szumne iste roki... za Kocurę idzie...

— Kocura wzioł Jagnę?

— Ni, — młodą Jewkę, wnukę, prawnukę, hej! Starucha umrzela temu kilkanoście roczków. Ze Skrzypkciem siedziała. Galanka to snoci jeich była... — prawda to?

— No.

— Taki śpiywajom dziełuchy...

— Cóż ninie śpiewajom zbójnicyki?...

— Ej, znaku niema zbójniczków, niema i śpiywania... Na wierchu gojny cysarski gazduje, a na spodku dólskim landrat... A ino! Nie uświadczy już zbójniczka! Las pocięli na rewiry... Dukty kiej ciesty przewiedli na durch... Na każdym rewirze gojny z blachą cysarską i gwerem, a nad nimi Łoberferszter... Wałachów przegnali do pola! Niema już, wałaskie panowanie na kopcach a kępach... Bajić! gaździna kiera zazdrzy do goju po choję, — fantują zaroz, chusty targają!... Cysarski las, książęcy, komorowy, komorowe wierchy, — nie zbójnickie! Z Baraniej Gróni na sam spodek — dukt... Bez Kubalonkę kandy las był srogi, przezpieczny, jak pomną, chodnik zrobili ze skali... Z Wiśły ku Istebnej wozami jadą gazdoszkowie!

— Łziesz!

— Ponbóczek miłosierny przyświadczy, że nie łżę! A lasy! Rok po roczku, sto jochów abo i więcej rąbią, aże serce krzepnie! Tyli las! Ponbóczek go rączką Przenajświętszą sioł na samym początku świata... Marnują! Kłoce hrozne, że okropa, na spodek cisną i w pile na miozgę trą... We Wiśle pila stoi...

— Łziesz!

— Jaśbym łgoł! Kajby ujec k'nam zaszli, nie poznaliby dziedziny... Mocka się zmieniło... Niema, nima dobre! Nie udzierzy dziśka zbójnik na wierchu i tydnia... Hany nie smykiesz na gojnego trefisz. Kany zbójniczki siedziały, Łoberferszter szpacyruje i drzewiny cechą znaczy... Zrachowali już każdą drzewiczkę w lesie i nacechowali... Ja!

— Łziesz!

— Nie łżę!

— Ej, zawrzyj gębę szczenioku! Gańba ci je! łziesz!

— Ni!

— Łziesz!

— Ni...

Johann Pfeifer odryglował liczne zasuwy u drzwi i zdumiony podniósł latarkę do góry. Młody góral oparty o ścianę

odpierał zaciekle napaść obu starców. Wyprostowani, wznosili się nad nim, trzęsąc widmowymi głowami, szczękając żelaziwem kajdan. Chrypieli gardłowo, słaniali się, odpadali i znów nacierali zbrojni w okowy, straszni swym bezwładem, trzeszczący próchnizną stawów.

— Stać! stać! cisza! cisza! Donnerwetter!! — wrzeszczał dozorca; — oprzytomnieli, opadli, dysząc ciężko w swoim kącie. Pfeifer chlusnął do miski zawartość cebrzyka.

— Cóżes im zrobić, ty chwancie? Myślałem, że się ucieszą...

— Jo? Nicech jejim nie zrobić... Pieknie proszem, panie wachtorz, niechże mnie aspoń zabierom od tela... wolej już samemu siedzieć...

— Bier swoją słomę... Sakramenckie dziady! Myślałem, że się ucieszą... — powtarzał dozorca w zamyśleniu. Wyprowadził więźnia i zarygłował drzwi.

Krzepica i Madej siedzieli nieruchomo na szczątkach zgniłego barłogu. W piersiach im swiszczało. Suche grdyki falowały. Po chwili Krzepica wstał, podszedł ku drzwiom na drżących z wysiłku nogach i podniósł miskę ostrożnie. Wyjęli z barłogu łyżki i jedli zwolna, w milczeniu.

— Łgorz — rzekł Madej, ukończywszy.

— Bystronie zawdy byli łgorze — potwierdził Krzepica. Zmilkli. Miłosierna pajęczyna bez pamięci obtulała znowu truchlejące czucie, zerwana na moment, tkła ponownie swą płachtą martwą, bezbarwną, ukojną...

Górki Wielkie, 15 stycznia 1927.

List

(URYWEK Z WIĘKSZEJ CAŁOŚCI)

Jaśnie Wielmożnej Pani

ZOFJI Z MIELCA CHODKIEWICZOWEJ,
Starościnie Żmudzkiej etc., etc.

do własnych rąk oddać.

Dan w obozie die 30 Nowembra anno 1605.

Moja miła Zosieńko!

Otrzymałem ninie przez Judyckiego dwa listy, a oba tak nieforemne, że się wydziwić nie mogę Waszemu tyrańskiemu sercu, delicyę jawną znajdującemu w ustawicznem mnie targaniu. Gniewacie się o nowiny, że nie piszę, gdy pan kasztelan Nowogrodzki Wołłowicz swojej podwice wiktoryę już opisał — wypominając mi, iż przez to, że Wołłowiczowa młodsza, *ergo* i u niego droższa. Dla Boga żywego! kłamstwo wierutne, którego czytać aż wstydno. Mógł pan Nowogrodzki dziesięć epistołów słać, na głowie nie innego krom siebie samego nie mając, gdy ja cały dzień pracą rozliczną koło wojska a jego potrzebów zajęty. Dalipan, nie z braku ochoty od skrybowania się wstrzymuję! By czas był słałbym listy codziennie, bodaj w te jeno słowa że Cię uprzejmie serdeczna moja Zosieńko miłuję i zawsze jednak, choć mnie wzajemnym afektem nie karmisz. — Wiktoryę w dniu 27 septembra dał nam Pan Bóg znaczną, owszem, jako podobnej nie znaleźć. Czynił każdy wedle powinności swojej

tedy i błogosławieństwo Boże było. Pod wsią Kirchholmem ona potrzeba zaszła. Rozbiliśmy na szczęt siła Szwedów, zdobycz znaczną biorąc. Sudermańczyk samotrzeć na okręcie zdrowie swe salwował. Z wodzów jeden Mansfeld uszedł, zaś Linderson i książę Lüneburski polegli. Ostatniego osobliwie mi szkoda, bo kawaler był wielkiej fantazji, którego w szeregu kopijników bez odznak, pieszo, dla okazania śmierci kontemptu, stanął. Dąbrowa go ściał ani wiedząc co zaczął. Poszczęściło się nama niezgorzej, wszędy też o tej wiktoryi gadają, aż dziwno, że stugębna fama tak skoro świat obleciała. Dyc ledwo osiem niedziel od onej potrzeby, a już mi poseł niemiecki i angielski wincze od swoich panów przysłali, papieżowe zaś błogosławieństwo ksiądz legat, czem mnie wielce ufetował. Pisał tudzież pan Dzierżek przy Stambule poseł, że sułtan konterfekt mój w pałacu swym kazał zawiesić, którego oby mu się przyśnił a wyśnił, bo może jeszcze przyjdzie z tym psem powojować, co daj Boże.

Do króla Jegomości zarazem po bitwie pana starostę uświatskiego z kilku towarzystwa pchnął. W Warszawie Pana zastawszy czasu nabożeństwa, srodze nowiną uradowali. Wnet też z Warszawy na rozpartych koniach jeszcze przed końcem oktobra posłaniec przybieżał z listem od króla Jegomości wielce łaskawym, z którego frazy niektóre in extenso wam podaję:

...Łaskę Naszą nie skąpą Waszej Uprzejmości i temu szlachetnemu rycerstwu okażem — dla tak zacnych wojowników udzielonemi nam z Bożej a Narodu łaski dobrami ochotnie szafując... Tandem w ślad za tem pisanem wysyłamy posła wtórego, którego szerzej wdzięczność naszą opowie, także zaległą kwartę i dary a gratyfikacje chlubnie zarobione przywiezie... etc. etc.

Otrąbiłem po obozie i list królewski odczytano publicznie, skąd gaudium było znaczne. Prawda, że od tego pisania minęło pięć niedziel a zapowiedzianego śladem posłańca ni słychu. Ja tam, otworzyście mówiąc, królowi nie ufałem, nie ufam i ufać nie będę, wszakże dumam, że chyba tym razem choć kwartę

zapłaci, despekt by to bowiem był, a słowa królewskiego poniewieranie ostateczne. Nie może inaczej być! Tak więc, tuższąc, że ucisk koło nas zelżeje. a swoich pieniędzy nie trza będzie ustawnie wykladać — radbym Wam też, duszo moja, jaką uprzejmość uczynił. Wiem, iż od pół roku bolejecie o tego karła, nie mogąc go nabyć jako insze mają. Tedy proszę i zezwalam, poślijcie do Wilna, niech Marchaj plugawca starguje i wiele trzeba za ono monstrum, skoro Wam tak miłe, zapłaci. Baczę ja, iż gdyby mnie natura bardziej do karła podobnym uformowała, większeby miał pono u pani mojej fawory, — cóż kiedy na urodę przyrodzoną nie poradzi! Przetoż owego brzydlowca hodujcie sobie na zdrowie. Jeno nie chciałbym, by w nogach łoża Waszego sypiał, a w gotowalni swobody zażywał jako karły pani wojewodziny wileńskiej, — bo to gady niechędożne i sprośne, a zawdy białogłowie nieprzystojnie. Któremu w takowej libertate go zastawszy, łba skreć jako kurowi, nie bacząc na cenę i za wały ścierwo miotnę, o czym Was, miła moja, uprzejmie uprzedzam.

Posyłam też nieco muszkateli na spróbunek, nie wiem zali przednia? Wzięli my ją z kredensem Sudermańczyka. W kredensie srebra był gwałt, które nie mieszkając rozdałem towarzystwu jako i inną zdobycz, sobie jeno ową muszkatelę zostawując. Zasiliło się nieco panów towarzyszy, w tem tylko bieda, że na parol królewski się zdawszy, faworów obiecanych i wypłaty wyglądając, ochocą sobie, wino piją i za dziewczętami chodzą, miast grosz dusić, a na zimę się obzierać. Co pocznem jeśli kwarta nie nadejdzie? Strach pomyśleć! Dnie idą, mrozy nieźle już doskwierają, a ja codzień usilniej posłańca wyglądam. Radbym i de publicis coś pociesznego nareszcie usłyszał. Czas teraz jedyny pokój ze Szwedem zawrzeć, ustąpienia wieczystego z Inflant i Estonji, żądając, na co przystałyby chudzięta łącno bo silnie sprane. Otóż to. Nic zaś o rokowaniach nie słyszno, bo król Jegomość Sudermańczyka za uzurpatora trzymając, paktować z nim nie chce. — Tedy jeśli nie pokój — wojnęby

na ich grunt przenieść i tak szczęśliwie zaczęta z Bożą pomocą kontynuować. My zaś czekamy rozporządzenia króla Jegomości, stojąc beczynnie już osiem niedziel. Na co czekamy? Aże plu-draki ochłoną ze strachu, a zbierą się w kupę nanowo. Bacz że, duszo moja, że choć victorem felicem króle mnie nazywają i wincze ślą, w utrapieniu żyję, swobody ni żadnej nie zaży-wając. Ażem z frasunku znów zasłabł i dwa dni w bólach prze-leżał. Medyki kładą za przyczynę zbytnią abstynencję, która się w kamień a piasek na szkodę zdrowiu obraca. Wy temu, pociecho moja, wiary nie dacie, ale iście prawdę mówię, którą medyk może uczciwie zaświadczyć. Radzą mi te doktory do domu na niedziel bodaj dwie pojechać, a wywczasować się. Ejże! radeby na to i dusza i ciało, wszakże wojenny tryb in-szego potrzebuje. Lada dzień zajść może jaka odmiana. Szkoda byłoby opuścić, co z pożytkiem i sławą Rzeczypospolitej być może. Taki już tutaj tkwić będę, listem jeno afekt mój ku Wam wyrażając.

Dzieciątka serdeczne umiłujcie odemnie. Sercu się Wa-szemu i miłości oddawam, Boga prosząc, abym w niej lepiej chowan był.

Waszej Mości Dobrodziejki

uprzejmie miłujący małżonek

Jan Karol.





ZBIGNIEW PRONASZKO:
EDWARD KOZIKOWSKI
(RYSUNEK)

EDWARD KOZIKOWSKI:

CAŁE ŁANY PIERWIOSNKÓW... | DZWO-
NEK PANNY MARJI W GORYCZKOWCU
| MOKRY STAW | W DRODZE | PRZY
SCHRONISKU HUGONA ZAPAŁOWICZA
| NA SZCZYCIE JAŁOWCA | BALLADA
O MŁYNIE | Z SOKOLICY PIENIŃSKIEJ |
ROZŁĄKA | WĄSKĄ MIEDZĄ... | GŁOSA
O MARZENIACH I TĘSKNOTACH NA-
===== SZYCH =====

Całe łany pierwiosnków...

Całe łany pierwiosnków
przez jedną noc wyrosły,
i patrzą w świat beztrosko,
pierwsze zwiastuny wiosny.

Mrugają złotem okiem
i śmieją się do nieba,
z tej ziemi jeszcze mokrej,
jak miąższ świeżego chleba.

Wyszły na me spotkanie,
stanęły wpoprzek drogi,
by uczcić powitaniem
serdecznem choć ubogiem.

Wyjrzały zewsząd tłumnie,
ruszyły całą ławą,
jak ten wezbrany strumień —
na lewo i na prawo.

Wszak wiosna idzie ku nam
lasami, dolinami, —
na wyciągniętych strunach
gra nam pieśń nad pieśniami.

Zagłada w każdą szybę
pełna pachnących przecuć,
i mokrą ziemi skibę
kładzie, jak dłoń na sercu.

— Chodźcie kwiatuszki za mną
do najbliższego miasta,
wejdziemy starą bramą,
przy której usechł kasztan.

Wieść zaniesiemy ludziom
czekaną i radosną,
że świat się ze snu budzi
i ziemia pachnie wiosną.

Że niebo łśni barwami
niepokalanej tęczy,
że ptaki nad polami
śpiewają bez pamięci.

Że drzewa gwarzą wokół
załążkiem lepkich liści,
a wiatr wiosenny z boku
zachodzi uroczyście.

Że wszystko tchnie weselem
na przebudzonych polach,
a wąta trawy zieleń
w słonecznych drży półkolach.

Że cały uśmiech wiosny
w oparach rozkwitł ziemi,
i blaskiem łśni radosnym:
gwiazdkami niebieskimi.

Staniemy pod oknami:
— Wychodźcie dobrzy ludzie,
łąk i pól zapachami
przyszliśmy was obudzić.

Porzućcie drobne sprawy
i te codzienne troski, —
wiosna nas błogosławi
błękitem i pierwiosnkiem.

Otwórzcie drzwi i okna
i posłuchajcie jeno,
jak ziemia drży rozmokła
radością przedwiosenną.

Spójrzcie na błękit nieba,
niosący na swych falach
wśród skoków i kolebań
wiosenną wieść z oddala.

Otwórzcie wszystkie serca,
jak na pasterkę kościół, —
idzie niebieski siewca
i sieje wkrąg miłością.

Rzuca w odmięklą glebę
ziarna wiosennych przemian:
zajrzyjcie ludzie w siebie,
jak ta zbudzona ziemia.

Wyrwijcie wszystkie chwasty,
co serca wam obsiadły,
ludzie zbratani z miastem
w sposób tak nieodgadły.

Ramiona wyciągnijcie
do nadchodzącej wiosny:
witamy was błękitem,
witamy was pierwiosnkiem.

Dzwonek Panny Marji w Goryczkowcu

Wiem, że usłyszę ciebie w ostatniej godzinie,
jak sercem zakołatasz w spiż okrągłych ścian,
i że jakaś modlitwa z dźwiękami popłynie,
pełna łaski, poczętej z Chrystusowych ran.

Przyniesiesz odkupienie dla win popełnionych
i dla tych, które jeszcze nie zdołały wzejść,
o dzwonku, roznoszącym w różne świata strony
tę pod sercem poczętą w przebaczeniu wieść.

Z zapachem macierzanek, wyrosłych o świcie,
których nic nie zagłuszy w promieniu stu wiorst,
przyniesiesz uśmiech Marji, zrodzony w błękicie,
gdzie pod chmurą gradową lśni tęczowy most.

Zbudzisz w milknącym sercu ostatnią tęsknotę,
aby odejść stąd cicho, ciszej niżli cień,
co przeszedł niewidoczny pod zmurszałym płótem,
w południe pełne słońca, w najjaśniejszy dzień.

Obym miał w tej godzinie tę jeszcze świadomość,
gdy prowadzić mnie będziesz tą z niewielu dróg,
(o której może tobie coś niecoś wiadomo),
że w takt twoich uderzeń idzie ze mną Bóg.

Mokry Staw

Tu woda nie wysycha w kamiennym basenie,
snać, by mógł się przeglądać w zwierciadle limb wieniec,
stojących w zadumaniu, jak mniszek gromada,
która wichrom i niebu z grzechów się spowiada.

Tutaj nikt nie przychodzi, bo w ciemnej piwnicy
czuwają pono dotąd beskidzcy zbójnicy,
strzegący jakichś skarbów złupionych podróżnym —
z szczęściem niejednakowem i w epokach różnych.

Tu w zapłotach gałęzi żaden ptak nie mieszka,
bo zgubiłby się chyba w napowietrznych ścieżkach,
nie wiedząc dokąd lecieć z uwitego gniazda —
do góry, czy w głąb wody ku odbitym gwiazdom.

Tutaj cisza króluje od brzegu do brzegu,
i nawet wiatr nie pruje równo szytych ściegów
czystej, jak biel obrusa, powierzchni jeziora,
po którym gwiazdy płyną każdego wieczora.

Czasem jeno przed nocą, gdy wszystko zasypia,
jakieś szmery wędrują po bukach, po lipach,
z konarów na konary głucha wieść polata,
że gdy staw dno osuszy będzie koniec świata.

W drodze

Puszczyk huknął dwa razy i ćma wokół spadła,
jakby gwiazdy pogały wśród tafli zwierciadła,
i wszystkie drzewa naraz stanęły na drodze,
aż serce oniemiało i zamarło w trwodze.

Gałęzie wyciągnęły zewsząd mokre ręce,
tysiąc kropel upadło, a może i więcej,
wiatr przebiegł po konarach z niebywałą siłą,
aż coś jęknęło w wykrotach, jak pod ostrą piłą.

I ścieżek już nie stało i kładek zabrakło,
gdy puszczyk huknął znowu i tuż, tuż coś warkło,
jakieś wody kołując, drogę nam zabiegły,
jak w bajce czarnoksiężskiej, zasłyszanej niegdyś.

Dopiero drżące światło dostrzeżone w mroku,
wyzwoliło nam serca, przynagliło kroków,
i prowadząc na palcach w przestrzeń nocy modrą,
jak gwiazda betlejemska pod dach nas przywiodło.

Przy schronisku Hugona Zapałowicza

Gdy zakrystjan niebieski światła gwiazd pogasi
i wiatr mocniej uderzy o kamienne zwały,
wyjdziemy, by usłyszeć pierwszy świegot ptasi,
cichy, jak prośba dziecka i jeszcze nieśmiały.

W takt kropel, które spadną niewiadomo poco,
wraz z trzepotem gałęzi wstrząsanych westchnieniem,
podążymy śladami uchodzącej nocy
za jakimś dostrzeżeniem pośród mgły marzeniem.

Może noc się zatrzyma na nasze wołania,
jak zziajana kozica u skraju urwiska,
zanim słońce w tysiącnych wypływie błyskaniach,
oświetlając opłotki naszego schroniska.

Może ptactwo się zerwie z najbliższych gałęzi,
by powitać idących od równin wędrowców,
i wicher na nas warknie, jak pies na uwięzi,
wśród ścieżek zatraconych i leśnych manowców.

A choćby nikt nie czekał, ani nikt nie pytał,
pójdziemy wprost przed siebie w panoramę nieba,
szczęśliwi, że z tysiąca najzawilszych pytań
pozostał nam jedynie w plecaku gień chleba.

Na szczycie Jałowca

Za chmurami, co giną w mgłach na horyzontach,
i za słońcem, co chodzi po niebieskich gontach,
za wszystkimi ptakami z pod jasnego dachu,
oglądamy się tutaj od wschodu na zachód,
i nie wiemy, co jeszcze wypatrzeć nam trzeba,
chyba drugie pół ziemi i drugie pół nieba.

W zagajnikach kosówek i krzakach jałowcu
szukamy tutaj ścieżki wśród licznych manowców,
któraby z szczytu ziemi do gwiazd nas powiodła
po tych trawach spalonych i samotnych jodłach,
i idąc prosto w przestwór — na niebieskim progu
spotkała wypatrzoną ongiś mleczną drogę.

Może to z licznych tęsknot nie będzie za wiele,
jak ta, by w drodze grały nam świerszczów kapele,
i podmuch cichych westchnień idących od ziemi
owiewał czoła nasze mgłami srebrzystymi,
a gwiazda, co za nami stąd uda się w pościg,
mogła w uszy naszeptać nam słowa miłości.

Ballada o młynie

Dudnią koła i tryby, dudnią ściany i szyby,
od poranku do nocy — bez przerwy —
świszczą pasy i sprzęgła, tynk się sypie po ceglach,
nie wiadomo doprawdy, co pierwej.

Po tarcicach i belkach coś zawodzi i stęka,
trzeszczą deski sosnowe w pułapie,
wszystkie ławki i zydle pomrukują obrzydłe,
jak sprężyny w stuletniej kanapie.

Warczy kółko u stropu, trzeszczy zboże, jak popiół,
na kamienne rzucane łożyska,
z wszystkich szpar i otworów leci mąka do worów,
zataczając tumanem koliska.

Obracają się żarna — po łuszczynach i ziarnach,
mielą mękę aż dudni dokoła,
huczy wodna kaskada, przez stawidło w dół spada —
wśród pośmiejchów, jazgotów i wołań.

Skrzypią schody od rana, cień się snuje po ścianach,
choć młynarza już niema od wieku, —
czasem łańcuch zazgrzyta, jakby ktoś chciał zapytać
wszystkich naraz, a sobie naprzekór.

Uginają się deski, aż dziwuje się Beskid:
cóż za młynarz i skądże on rodem!?
wszystkie wierzby na drodze przysłuchują się w trwodze,
nawet zając przykicał nad wodę.

A tymczasem od młyna ziemia aż się ugina,
ciężkim krokiem ktoś stąpa i stąpa, —
psy się zbiegły zdaleka, żaden nie śmie zaszczezać:
taki młynarz to pewnie — zły kompan!

Lecą wory po schodach aż zapała dech woda:
kto tu takie wyprawia hałasy!? —
świszczą tryby bez końca z nadmiernego gorąca,
i mlaskają, jak stado krów, pasy.

Nikt do młyna nie chodzi, nawet sam ksiądz dobrodziej,
a przechodzień krzyż czyni przy moście,
bo w stojącym tu młynie, w tej zapadłej dolinie,
ktoś o duszę z djabłami gra w kości.

Jeno starzy z tej wioski, pełni wspomnień i troski,
przypuszczają, że dobrze się złoży,
skoro zburzą młyn stary i osuszą moczary,
a w tem miejscu postawią dom boży.

Z Sokolicy pienińskiej

Jak ostre lśnienie miecza w zaroślach nadbrzeżnych,
drży Dunajec w wiązankach pian dziewiczo śnieżnych,
by za pierwszym zakrętem — na zielonych zboczach —
zatracić się odrazu dla spragnionych oczu.

Z jastrzębiem, który zawisł w chmurach nieruchomo,
runąć w dół błyskawicą ze skalnego złomu,
i pochwycić w ramiona, jak w szpony, tęsknotę,
przeszytą beznadziejnie dunajcowym grottem.

Rozłąka

Wśród liści, rozmiecionych wicherem dokoła,
szliśmy, ważąc na ustach słowo pożegnania,
jak modlitwę splecioną na progu kościoła,
którą echo ostatnie pośród serc oddzwania.

Trudno rozłączyć ręce splecione w uścisku,
i odejść — dwojgu bliskich — w dwie odmienne strony,
nawprost chmur, rozwieszonych nad drogami nisko,
pod łkające w oddali nieszpоровe dzwony.

A jednak, gdy pożegnań brzmia zewsząd wołania,
jak wśród powracających rybaków z połowu,
zawierzmy raczej falom, które w dniach rozstania
odchodzą z tem pragnieniem, by spotkać się znowu.

Wąską miedzą...

Wąską miedzą, dzielącą dojrzały łan zboża,
chodzę nieraz w odwieczarz — przy rozgwarze świerszczów,
słuchając szumu lasów i pluskania morza,
jak rytmu w przypomnianym sobie znagła wierszu.

Światło latarni morskiej rozprasza ciemności,
i krzyk mew niespodziany rozdziera w lot ciszę,
drżącą z nadmiaru pragnień i żaru miłości,
której w pośpiechu kroków można nie dosłyszeć.

Zostawiwszy za sobą bagaż trosk i wspomnień,
uderzany kitami napęczniałych kłosów,
czuję ciebie, przyrodo, idącą koło mnie,
gdy pieścisz ciepłem wiatru i ust chłodną rosą.

GŁOSA O MARZENIACH I TĘSKNOTACH NASZYCH

Żyjemy wśród ludzi zawistnych i małego serca, zaprzędających o każdej porze dnia ideje sprawom drobnej wagi: wygodnego fotela i zastawnego stołu. Nie należy do rzeczy przemijających stwierdzenie, że w tem królestwie człowieka nie mogą się potykać ze sobą same tylko ideje. Każda walka o podłożu idejowem staje się walką dwóch osobników o określonych imionach, walką, w której przyjmuje udział cała rekwizytornia idjosynkrazijj osobistych.

Patrzę na ludzi nie z żadnego wyżywnego obserwatorjum, lecz z każdego miejsca, gdzie społeczność dochodzi do głosu, i pytam, czy niema bodaj jednego człowieka, któryby odważył się odrzucić od siebie, jak łachman, sprawy własne, kryjące się w cieniu wielkich idei. Nie potępiam człowieka — obcą mi jest nienawiść do najgorszego z pośród nas, bo wiem, że ten najgorszy wyrósł na glebie naszego życia i sokami naszej epoki się żywił. Niema we mnie jednak i pobbżazania dla tylu wykroczeń współczesnych nam czasów.

Wskazujemy palcem na zło, miejmy odwagę zedrzeć maskę z każdej podejrzanej twarzy, piętnujemy każdy czyn, bodaj najdrobniejszy, popadający w sprzeczność z naszymi pojęciami o moralności, która jest podstawą wszelkiego życia, a oczyścimy epokę współczesną z potwornego podejrzenia, że niema wśród nas człowieka, któryby się nie godził z panującymi zwyczajami i nałogami,

Rzuciliśmy hasło miłości do ziemi, ściślej — miłości do przyrody, nie przypuszczając nawet, że ta inwokacja uczuć prostych, ubrana w słowa jeszcze prostsze, wywoła tyle sprzeciwu zaprawionego jadem nienawiści, nienotowanej dotąd na sejsmografach stosunków ludzkich. Hasło nasze nie ma cech odkrywczych, jest stare jak świat i nicowane było powiektroć przez wszystkie stulecia i dziesiątki pokoleń. Nie przeciwstawialiśmy się żadnym prądom, nie wchodziliśmy nikomu w drogę, i nikt nie miał prawa podawać w wątpliwość szczerości naszych słów.

Ćwierćwiecze minione jest zaprzeczeniem wszelkiej etyki, jest podeptaniem wiary w Boga i człowieka, jest przekreśleniem wszystkich prawd ewangelicznych, które w ubiegłych wiekach były czołowemi dewizami ludzkości.

Miasto, to potworne kłębowisko najniższych instynktów, zagłuszające turkotem aut i tramwajów, gorączkową pracą w fabrykach i biurach, rytm serca ludzkiego, jest negacją tych trzech najprostszych prawd ewangelicznych: wiary, nadziei i miłości. Uświadamiając sobie zło, wyrastające we współczesnej epoce z supremacji materji nad duchem, ogłosiliśmy »urbia« to hasło miłości do przyrody, które w krótkim czasie poruszyło górę nienawiści wśród niewolników galer miejskich.

Spójrzcie na szarżyznę tych miast, w których kominy fabryczne opierają się kolumnami swemi o strop nieba, wejrzyjcie w nędzę przedmieść, które wychowują przestępców i hodoją przestępstwo, i zaświećcie mi w oczy podobnym przykładem przeniesionym z życia wsi. Gdyby nie kalendarz, człowiek miasta zatraciłby bezwzględnie pojęcie różnicy między wiosną a jesienią. Sąsiedztwo o miedzę czterech pór roku, żmudna praca na roli, polegająca na ciągłym uszlachetnianiu gruntów nieurodzajnych, działa hartująco i umoralniająco na człowieka. Nieustanna styczność z Bogiem, przemawiającym w huku piorunów i w stłumionym szepcie letniego wieczoru, budzi w człowieku sumienie, zaprzepaszczone w peryferjach gwarnych miast.

Gwoli temu sumieniu, gwoli najszczytniejszym hasłom etycznym, któremi oddychała ludzkość od pierwszych dni stworzenia, pożegnaliśmy miasta, udając się do naszej Republiki Górskiej. Marzymy, by za naszym niedołężnem pośrednictwem promieniowała na społeczeństwo ludzką wiara w celowe istnienie człowieka na ziemi, aby miłość, stojąca u kolebki najniższego stworzenia, była drogowskazem gwiazdzystym dla całej ludzkości.

Przywiązanie nasze do ziemi, uwielbienie dla całokształtu przyrody jest jednym z ogniw nieskończonego łańcucha systematów religijnych, któremi stulecia niepokoiły umysły i serca. Poprzez niezgłębioną naukę Brahmy, poprzez mądrość ksiąg Zend-Awesty, w których miłość człowieka do ziemi i ziemi do człowieka znalazła pełny wyraz w modlitewnem ujęciu orki, zasiewów, zbiórki płonów żniwnych, aż do niezrównanej Ewangelji Chrystusowej, otwierającej wrota nowej ery w życiu ludzkości, przyroda odgrywa rolę czynnika wychowawczego i odrodźcącego.

Z księgi Zend-Awesty podaję wyimek rozmowy, oświetlający dogłębnie ten stosunek człowieka do ziemi i ziemi do człowieka.

— Co ziemi jest najmiłszem? — Gdy człowiek czysty po niej chodzi. — A co jeszcze? — Gdy człowiek czysty wzniesie dom zasobny w ogień, zasobny w bydło, gdzie spędza życie z niewiastą, dziećmi i pięknymi trzodami. Albowiem w siedzibie tej jest bezmiar prawości. A wzamian za to ziemia składa obietnicę: Człowiecze, podtrzymać cię będę i przyjdę ku tobie.

— — — — —
Człowiek nie jest celem samym w sobie. Istnieje dla innych, wyższych i nieprzeniknionych celów, zbliżonych raczej do zasady wiecznego odradzania się drzew. Jakże nikłą jest ta słaba istota wobec niezbadanych sił przyrody. Jak na urągowisko pozwala mu ona krzyżować siebie olbrzymimi konstrukcjami mostów, przerzucanemi przez pampasy i nie-
tkniętą stopą ludzką prerie, aby te kilku i kilkudziesięcioletnie wysiłki człowieka zniweczyć jednym wstrząsem podziemnym. Gdzieżeś potęgo umysłu ludzkiego wobec takiej przelotnej burzy letniej, zapalającej od kapryśnego uderzenia piorunu szereg zabudowań gospodarskich, w których objawiła się długotrwała praca ludzka?!

Nie mówmy o ujarzmieniu przyrody ręką człowieka, a okietznaniu żywiołów, kierowanych niezbadanymi mocami. Każde zjawisko przemian atmosferycznych czy geologicznych tłumaczmy pisany dekalogiem praw fizycznych, w których cyfry mają być dowodem ścisłości myślenia. Ale prawa te powstały w bezpośrednim następstwie całego łańcucha zjawisk dla ewentualnego zabezpieczenia mizernego płaza przed groźącym niebezpieczeństwem. A niewiadomo jaka jeszcze powódź niespodzianek zagraża ludzkości ze strony przyrody. Kochani uczeni, uzbrojeni w mikroskopy i inne najwymyślniejsze przyrządy do badania tajemnic przyrody, porzućcie nadzieję spotkania nas, którzy czcimy Boga w groźnym pomruku nadciągającej burzy i którzy korzymy się przed umotywowanym wyrokiem zagłady obwieszczanym w gwałtownych wstrząsach skorupy ziemskiej. W kataklizmach nawiedzających ziemię objawia się ponure momenta Boga, rzucającego anatemę zniszczenia na całą ludzkość, która pławi się w bagnisku podłości i najgorszych występków, na ludzkość odrzucającą busołą wiary i miłości.

Odeszliśmy dobrowolnie od życia miasta, w którym mściwa i podstępna walka człowieka z człowiekiem wypełnia każdy dzień i każdą godzinę. Nie widać tego w naszej Republice Górskiej, gdzie energję człowieka zużywa się na szlachetne zmaganie się z ziemią, by jałowy ugór na urodzajny grunt przerobić, by pobudzić ziemię do pracy i wydajności.

Wiem, że będę okrzykany za prostaka, który rezygnuje z wielkich zdobyczy cywilizacyjnych i kulturalnych, osiągniętych wśród skupisk ludzkich, dla jakichś urojonych celów zrodzonych w bezpośrednim obcowaniu z przyrodą.

Garstka pisarzy »Czartaka« musi spełnić wielki czyn społeczny. Od marzeń i słów chcemy przejść do czynów.

Przeniknięci gorącym pragnieniem odrodzenia walącej się w przepaść epoki, apelujemy do serc wszystkich ludzi. Nie opierajcie zasady życia na zrębach niezdrowej, dusznej atmosfery życia miejskiego. Zmu-

szeni do przebywania w mieście, odwracamy oczy od tego targowiska zwierzęcych instynktów, przenosząc się tęsknotą w rozległe obszary pól i lasów. W wolnych chwilach, któremi każdy — najbiedniejszy bodaj — człowiek rozporządza, uciekamy się pod obronę konarów liściastych i szpilkowych drzew, leczmy nie tylko oczy i płuca, ale i serca zmęczone. Tam — na tonie ziemi, która i tak nas wszystkich przygarnie, uczmy się poznawać i kochać Boga — w powiewach wiatru, w grozie przewalającej się pod naporem przyboru rzeki i w huku szalejących piorunów. Podnośmy nasze serca do poziomu serca św. Franciszka i tych wszystkich beskidzkich powsinóg, którzy lepiąc garnki i stawiając piece prymitywne, chwalili Imię PANA.



7 Z. Brown



ZBIGNIEW PRONASZKO:
TADEUSZ SZANTROCH
(RYSUNEK)

TADEUSZ SZANTROCH:

PRZYJACIELOWI PRZYJEŹDŻAJĄCEMU
DO BESKIDU | WIECZÓR W GÓRACH |
Z WIATREM, Z WODĄ | NA KOCIE-
RZU | W PONIKIEWSKIEJ DOLINIE |
WIDOK Z GÓR NA MIASTO WIECZO-
REM | JARZĘBINA W RUINIE | WNE-
TRZE GÓR | W PIENINACH | W KOLIBIE
STAREGO BACY | CENTAURY W BE-
SKIDZIE | GŁOSA O MITACH, FAKTACH
===== I MOŻLIWOŚCIACH =====

Przyjacielowi przyjeżdżającemu do Beskidu

Gdy wejdziemy w ten świat, coś oglądać go rad
za górami, w dolinach wiosenny,
gdy wyskoczy z za drzew niby szczęście i śpiew
niespodziany, szeroki, promienny,

gdy bez znaków i słów, sam rozpoznasz go znów
jak biblijny a nowy, z tą chwilą
jednem krótkiem: »bądź zdrów«
niech się usta twe do mnie rozchylą.

I nic nie mów mi nie, że już kochasz, że wiesz
a idź dalej patrzący naokoło, wzdłuż, wszecz
i w milczeniu jak cień gdzieś przypadnij za pień,
w jakąś linję i barwę w krajobrazie się zmień.

I dopiero w tem tle niby drzewo lub kwiat,
pastuch z łąki, po drodze napotkany gdzieś dziad
będziesz tutaj mi drogi i przyjaciel i druh
i nie będzie kłopotu czy nas jeden czy dwóch.

Wieczór w górach

O tajemnico, tajemnico tych gór,
przed wieczorem dla dolin ciemniejąca jak mur
w granatowych wzniesieniach zbocz leśnych...
O niemowna granico aż do samych już gwiazd,
gdzie zamyśleń perć wąska i we wieczność skąd zjazd,
odetchnienie z rozkowanych już piersi...

Coś wraz tłoczy a wznosi, dmie swobodą przez lęk,
rośnie w ogrom, przed którymbyś żegnając się klękł
i na wadze błyskawic jak niepewny drży ptak:
góry, góry ogromne i to moje: ach tak!

Z wiatrem, z wodą

Z wiatrem z wodą, jak zdarzy,
wszędzie, gdziebądź w Beskidzie
jużeś kompan stu zdarzeń,
co naprzelaj w świat idzie.

Wiatr nad pola, strumienie
paprotkami zmrużone
w rzeźwym, szczerym powiewie
wzniósł, witając cię, dłonie.

Rzeka cieknie wspomnieniem
srebrną łuską mieniąca,
most przekreślił ją cieniem,
ach, nie dojdzie z nią końca.

Trzeba mili pół skoczyć,
siąść pod lasem na wrzosach...
niechaj pasą się oczy
niby owce po zboczach.

Na Kocierzu

W którą stronę stąd spaść nam
szumem, śpiewem, potokiem?
słońce wzięwszy wprost garścią
runąć lasów w dół mrokiem?

Z Babiej orłów sto skrzyknąć,
ku Lipnicy polecieć,
ale przedtem u szczytu
zatańcować trza przecie.

A w zbójnickiej ochocie
wiatr za skrzyпки nam stanie,
taka to już ta Kocierz
jak wesoła jest pani.

Hej, czy znowu od Węgier
jadą wozy przełęczą?
będziem wino pić tęgie
wprost na białym gościńcu.

A gościniec w zakosy
gdzieś się podział na stoku,
jakby nagle miał dosyć
tej gonitwy naokół.

Budowali go drzewiej
za cesarskich gdzieś czasów
ze Szpilbergu aż więźnie,
słońce w oczach im gasło.

Co tu gadać! świat tyli,
że i oczu nie starczy,
gdy się z za drzew wychyli
swej urody niebaczny.

Na przełęczy przestrono,
w dół gdzieś lecą potoki,
hej zielono, czerwono
malowane uroki!

Miłowaniem pierś kipi,
błędzi echo po górach,
gdy zaś dwoje się zdybie,
to jak rysie w pazurach.

Nim spadniemy w dolinę,
trzeba światu, obłokom
zrabowanem wznieść winem
zdrowie szczęsne i pokłon.

Pojedziemy po bokach
kochanice dwie mając:
z lewej leśną roztokę,
a po prawej dal hanią.

Ze śpiewaniem, ochotnie
na wieś spadniem jak jastrząb,
by już z mrokiem w przegonie
na krawędzi dnia stanąć.

W Ponikiewskiej dolinie

W Ponikiewskiej dolinie
wskok przez białe kamienie
droga z rzeką wraz płynie
i bulgoce westchnieniem.

Jak tu podejść, jak zawieść
do kościoła, na sumę?
w jałowcowy różaniec
myśli wiążą się smutne.

W kurnej chacie dym gęsty
w drzwiach się ślania jak niedźwiedź,
a przed chatą w trzy grzędy
zasadzonych bulw dziewięć.

I kamienie, kamienie,
kościół murem obwiedzion,
koza biała przy drzewie,
a na drzewie znów dzięcioł.

Cmentarz w środku, by razem
gospodarski był statek,
dzwoni grabarz żelazem
na ostatni podatek.

A dokoła, od ścieżyn
co za cuda — te góry:
głęb śródleśnych rubieży,
a nad niemi już chmury.

Widok z góry na miasto wieczorem

Poza wzgórzem puszystem, jak grzbiet koci wygięty
bajka światel nad czołem jakiejś maski olbrzymiej...
a te światła drżą, płoną, skrzą jak białe djamenty,
pośród których czerwony blask chorągwią skier dymi.

Niby klejnot bezcenny jak pokusa łśni z dali,
ku niej żądnych rąk tysiąc wyciągniętych wśród cieni...
Niebo ciche i szare samo ziemi cud chwali,
lecz spokoju gwiazd swoich za blask nie odmieni.

Jarzębina w ruinie

Rdzawa plama czerwonej od gron jarzębiny
niby strzępem sztandaru nad ruiną zwisa,
czar legendy wywodzi z baszt umarłe czyny,
pełna słońca jest wielka, krągła niebios misa.

Czyto w cieniu tych murów śpiącej mocy strażę
swej chorągwi ostatni strzęp zatknęły dumnie?
Jak daleki stąd widok!... może się ukaże
ktoś, ktoby przyszedł wprost z miłością ku mnie.

Wnętrze gór

Nad przepaścią ukośnie w dół złamanych zboczy
motyl drżący w niewadze nazbyt wiotkich skrzydeł
czemuż sercem się trwożę o zbyt śmiałe oczy,
za którymi powoli, zbyt powoli idę?

Zieleń w cieniu kipiąca od porannej rosy
po kamieniach przelewa się i sączy wokół,
to nie ten świat, którego treść mam w pudle głowy,
to jest romans drzew, trawy, słońca i obłoków.

Kędyś bełkot potoku w utajonym gwarze
niesie leśną opowieść o gór cichem wnętrzu,
gdzie wśród polan cienistych czasem się ukaże
jeleń płowy wsłuchany jak gdzieś owce dźwięczą.

Ziół nieznanych zapachy z dolin czasz dymiące
i po trawach pełnące, ciepłe, chwiejne cienie,
jedno tylko jest na tym świecie złote słońce,
ale tutaj jedynie wprost całuje ziemię.

Tak wpół drogi do nieba krzywo w świat wetknięty
nim odlecę ze szczytu w panoramę dali,
rozeznaję przez blaski, szumy, barwy, dźwięki
woń najśłodsza dojrzałych na wyrębie malin.

I nie mać tej ciszy dziewczki krzyk drapieżny,
gdy śpiwając po zboczach pędzi swe kierdele...
słabe serce jest ludzkie, tęsknot nie wydzierży,
pachną słodko maliny i tak słońce grzeje!

W Pieninach

Ej Dunajec, Dunajec
w szumnym warcie pienisty
jak w zbójnicki się taniec
puścił drogą do Wisły.

Pod Czorsztynem na skałach
siedem razy rozbity,
jak rzucony precz pałasz
upadł do stóp Niedzicy.

Umajony w pól zieleń,
czoło od skał nadbrzeżnych
w rogi przybrał jak jeleń
i na oślep gdzieś bieży.

Aż w Pieninach się zatchnie,
fala w głazy uderzy,
to uskoczy, to stanie,
chmurnym nurtem się zjeży.

Hukną strzały z zasadzek,
las ku wodzie się zbliży,
w górze widmo-zwid, zamek
białe baszty wyszczerzy.

Więc raniony urokiem
tej fantazji nienaskiej,
kołem, chyłkiem, na boki
zacznie schodzić z rozpadlin.

Aż śniąc niby zobaczy
w upojeniu leniwem:
te śródleśne polany
krasą łąk urodziwe.

I zamarzą się świty
i wieczory o zorzy,
dzban na trawie rozbity,
który szczęście pomnoży.

Lecz nie dotrwać w miłości,
śmierć, śmierć kusi nas równie:
skok ze szczytu ku zbrodni,
gdzie się głową w dół runie.

I znów niby we zwadzie
tu strzymany, tam pchnięty,
w rumowiska się skalne
zabłąkałeś w dzień święty.

Gdy chcesz wołać pomocy
tak bezbronny w tym lesie,
świat się nagle otworzy,
błękit nieba przyniesie.

Zaufawszy przestrzeni,
gdy śródskalny znikł przełom,
mknie Dunajec od Pienin,
lecz marzenie zniknęło.

W kolibie starego bacy

Odezwij się baco stary,
przyszliśmy do ciebie goście,
w kolibie czuwasz nad żarem
schylony w dymnej szarości.

Podobnoś wróż jest nad wróże
dawniejszy kamrat zbójnikom,
dziś tego żaru pilnujesz,
co w nocy świecić ma wilkom.

W oczach zapadłych i bladych
masz wiedzę wszystkich tajemnic,
wrytych w zmarszczkach na twarzy,
wszechwidzisz a jakbyś ciemny.

Niech tam wędrują po halach
kierdele dzwonne, pasterze...
tyś drzwi koliby swej zawarł
i w dymie siedząc, straż dzierzysz.

Gdy z gór powrócą wieczorem
z zapachem słońca na koszar,
jak stary dźwigniesz się orzeł,
co skrzydła w mroku rozpostarł.

A gdy na podój przybiegną
stłoczone gromadnie owce,
załśnią ci oczy od śniegu,
co spadnie w drewniane skopce.

I znów powrócisz do wnętrza
swej dymnej, lichej koliby,
niech się tam noc wyiskrza
i niech juhasów brzmia śpiewy.

Wiesz wszystko, baco mój stary,
lecz cóż cię pytać daremnie...
w ciemnej kolibie na straży
w jarzące patrzysz węgle.

Centaury w Beskidzie

W tej dolinie świat zamknął się wśród skalnych złomów,
tając w grząskiej zieleni gwar bijących źródeł,
w zamyśleniu ziół wonnych od ciepłego miodu
pod namiotem słonecznym ległszy złotorudym.

Ziemi rześka rosistość gwiazdy za dnia skrywa,
a paprocie, to pióra jakichś wielkich skrzydeł,
polecimy w dal na nich byleby wiatr przywiał,
wziąwszy w rękę którybądź czarny smrek za dzidę.

Huczą, dudnią potoki po kamieniach lecąc,
a za nimi po skałach dzwonią twarde kroki,
jakby stada znienacka poderwanych źrebiąt
galop srebrem wbijany grzmiał tententem kopyt.

To Centaury o skalne grzmocąc w pędzie progi
niby tucza z gór spadła huczna i wesoła,
z chmur zrodzone, gdy jeszcze człek żył razem z Bogiem,
śmiechem rzą, co jakgdyby nas do szczęścia wołał.

W trawie bujnej tarzając się, igrają z sobą,
lśniąc ku słońcu ciał prężnych błyskotliwą skórą,
gdy z nich jeden głaz wielki, wziąwszy do rąk obu,
jak wyzwanie go cisnął burzy i piorunom.

GŁOSA O MITACH, FAKTACH I MOŻLIWOŚCIACH

Nazwaliśmy się *Czartakiem*, *zbozem poetów*. Zbór nie jest zbiorem tylko. O starej budowlu w Mucharzu nad Skawą, od której wywodzi się nasze zawołanie, głosi podanie, że miała być w XVII-tym wieku zbozem arjańskim. Historycy wątpią w to zupełnie serjo. Dla nas jest w surowej, zębatej architekturze tych murów coś urocznego, coś z powagi domu, w którym obcuje się z Bogiem, w żywej walce ze sobą szukając prawdy. Jest to symbol pewnego zakresu i wzór konstrukcji zapewne.

Beskid to nasz Piemont, z którego wychodzimy ku odrodzeniu najpierw własnemu.

A ono świeci już na przełęczach, które są wschodami ku wyższym regionom życia.

Pojmujemy tedy, co znaczą blaski zórz porannych i wieczornych w promieniach szerokich obejmujące świat cały: to są promienie miłości z wszystkiego w żywocie najpotrzebniejszej.

Ziemia, o którą się opieramy, ta wielka czyścicielka, wchłania wszystkie zbyteczne, nieistotne w nas cynizmy, kłamstwa, małości, przeżulenia, próżności, głupstwa, choroby i kaprysy. Oczyszcza z nalołów nasze uczucia, myśli i wolę, które w obliczu żywiołów elementami znowuż się stają. O! jak cieszy ta swoboda, to uwolnienie się od kajdan samoudręki cywilizacyjnej, jak urasta w nas poczucie własnej siły! To ziemia tego dokonuje: ona czyści, odradza i w siły uposaża.

Żyje mił o Anteuszu.

Łańcuchami ciągnie się Beskid i gniazda tworzy. I my takim łańcuchem i gniazdem jesteśmy. Tem czyni nas nasza wspólnota, która urodziła się z powinowactwa rasowego, z wrażeń pokrewnych, ze spotkań radosnych w pewnych dziedzinach myśli, z jednorodnych chwy-

tów uczuciowych. Z nich tyczyły się i tyczą trasy tych dróg, na które wkroczyliśmy pospólną kompanją, wiążąc się coraz silniej wobec rosnącej przed nami i de i, która nas prowadzi.

Jako barki człowieka w pracy pochylonego są wzgórza Beskidu: moc i krzepkość przeto znaczą.

Góry zatrzymują i rozbijają na piersiach swych wiatry i burze. Może dlatego tyle chmur koło nas się zbiera. Przemina one. A jeśli nawalność potopu-zalewu grozić wam będzie w dolinach, pamiętajcie, że według podania arka Noego czasu potopu ostała się na górze Ararat i wyszli z niej na świat ojcowie przyszłego życia.

Wy zaś, do których słowa te znajdują drogę najbezpośredniejszego odzewu, zanim pójdziecie z przelęczu ku mlecznej drodze gwiazd, zawrzyjcie najpierw w sercach wędrowców d a r z i e m i i ż y c i a: chłońcie wszystkimi z m y ś l a m i zapachy pól i lasów, błękit nieba, rosistość ziemi, wiatru przesiew wiejący, wody przejrzystość i rzek nurt giętki, uparty, gór polegę milczącą, bierzcie w posiadanie oczu waszych najszersze panoramy, cieszcie się i kochajcie w dolinach woniejących ziołami, bądźcie jako orły, jastrzębie, sokoły. Niechaj oddźwięknie w pulsie krwi waszej odwieczny rytm życia i praw przyrody. Chłońcie te blaski, krzyki, szumy, echa i barwy. Żyćcie tem i nie wstydzcie się swych radości, szczerości, bezpośredniości. Z grzechu dopiero począł się taki wstyd, a po nim przyszła tułaczka, manowce i kłamstwo. My otwieramy jeno przed wami wrota w ten świat, w którym ż y j e m y, by nie pokazywać potem gwiazd palcami murzyna. Nie chcemy obniżać poziomu ziemi, również i niemniej planety.

W poezjach naszych możecie znaleźć utrwalenie cech Beskidu, jego gwary, sztuki, piękności fizycznej i t. d., ale to nie jest wyłączny nasz zakres i nie ostateczny. To tylko więźba i kąty naszego światopoglądu poetyckiego, który o te rzeczy między innemi świadomie się opiera, ale sięga po wszystkie czasy, terytorja i ludzi, gdy sięgnąć mu po nie trzeba dla własnej rozbudowy.

Zakładają dziś wszędzie dla drzew, roślin i zwierząt parki przyrody. Ochronić chcą je przed osłateczną zagładą, I my wypielegnować chcemy i uchronić od zagłady wśród zróżniczkowanej perwersyjnie społeczności człowieka, pamiętającego jeszcze mowę ojców swoich, którą porozumiewa się z przyrodą, a przez nią z Bogiem. — Walczymy więc o najpowszechniejsze dobro w imię najdostojniejszej wspólnoty.

Ponieważ usiłowania nasze w punktach wyjścia i w terenie pracy opierają się o Beskid, przeto zwać nas i my się tak zwiemy poniekąd: regjonalistami. Idziemy jednak w szeroki świat z dobrą dla wszystkich nowiną, która w nas rośnie... — To jest nasz uniwersał.

On niech pochwali ziemię, z której wyszliśmy.





ZBIGNIEW PRONASZKO:

JAN WIKTOR
(*RYSUNĚK*)

JAN WIKTOR:

BŁAZEN Z KARCZMY
— PRZYDROŻNEJ —

Błazen z karczmy przydrożnej

I.

Dom, wszystek ruchomy i nieruchomy majątek przeszedł w obce ręce. Dawny właściciel, opuszczając szumnie zwane »gniazdo rodzinne«, spojrzął na nie po raz ostatni z przekleństwem. Nic dziwnego. Wylatywał z niego goły jak kamień z procy po niewielu latach rozrzutnego gospodarowania. Nie zabierał nawet psa Urwisza, który od kilku dni włóczył się za człowiekiem osowiały, z obwisłym łbem, przypadał doń ze skomleniem, lizał ręce, oczami zapadłymi wpatrywał się, o coś pytał, o coś prosił. Najwyraźniej przeczuwał nieszczęście. Chcąc uniknąć awantur pożegnania i widoku oszalałego z bólu zwierzęcia, w przeddzień wyjazdu zamknął go do piwnicy, zamknął w więzieniu zwierzęcą rozpacz, rozbijaną w czterech twardych ścianach.

Już siadał na wóz. Ciszę przeciął skowyt przeraźliwy, płacz żałosny, ociekający strugami łez, jakby serce psa po raz ostatni poskarżyło się niebiosom. On jeden przywiązany, kochający, wierny, najwierniejszy, nieodłączny towarzysz nie opuści, nie zdradzi, nie zaprze się. Może go zabrać. Niech dzieli los. Człowiek stanął, zadumał się.

— Wszystko djabli wzięli, więc — machnął ręką jakby nie serce przyjaciela, ale niedopałek papierosa odrzucał.

— Marcinie, opiekujcie się nim — wrzasnął z wozu do służącego. — Może wróć.

Konie ruszyły z miejsca. Pod turkot kół padło ostatnie pożegnanie opuszczonego.

— Jedź — krzyknął głośno na woźnicę. — Zniecierpliwiony chwycił lejce, wyrwał bat i zaczął gnać, popędzając do galopu, aby jak najdalej być od tego domu.

Pognał na złamanie karku. W tętnie kopyt, w trzasku, w tumanach kurzu wszystko zostało zagłuszone. Tumany pyłu przydrożnego zasłoniły jasny dwór zalany słońcem, łązy, sypiące się z oczu i padające w ten pył, zasłoniły radość minionego życia. Pies został sam. Zrazu z furją rzucał się na ściany, darł je pazurami, chcąc rozerwać ich okrutność. Skomlał, wył, to zamilkł niemy szlochem i spojrzeniem błagał, o miłosierdzie, wołał, aby mur rozwarł się, gdyż on chce iść za przyjacielem.

Nikt nie uciszał, nikt nie otwierał.

Wnet sił mu zabrakło. Leżł wyczerpany, ogłuszony, a tylko pierś podnosiły głębokie westchnienia. Dopiero wieczorem stary służący przyniósł mu miskę dymiącą smacznym jedzeniem.

Pies leżał skulony w kącie, podrapany, wychudły jak zdeptytany łachmań, dygotający w podmuchach zimnego wichru. Na odgłos kroków podniósł głowę. Znieruchomiałe dwa jęki ócz patrzyły na człowieka.

Urwisz powoli przypełził do służącego i u stóp jego cicho zapłakał. Po kilku dniach wypuszczono go. Jak szalony wypadł. Przebiegał po pokojach. Wszędzie czuł ślady przyjaciela. Sprzęty, ściany, kąty przepojone były zapachem jego osoby, ukryły tajemnicę jego spojrzeń, uśmiechów, dotknięć, pieszczot. Nic się nie zmieniło. Wąchał niecierpliwie, wchłaniał ostatki wspomnień, pił ich rozkosz. Śmiał się i płakał. Oderwał się od nich. Wstrząsany ciosami myśli obejrzał się na wszystkie strony. Spojrzenia zbolale, rozumne, czujące, spojrzenia — tylko u psa wysłanniczki serca — pytały — gdzie jest przyjaciel?

Ale sprzęty stały na swem miejscu martwe, zimne w pokoju, zionącym pustką.

Po długich i daremnych poszukiwaniach siadł na środku sypialni i zaiste zawył wszystkimi ranami. Głos w najwyższym napięciu załamał się i tylko szczęki targane rozwierały się i zamykały, ziejąc przejmującym piskiem.

A potem powłókł się do krzesła, na którym przyjaciel tyle lat siadywał i przed wspomnieniem jego, przed duchem padł,

jak dawniej wierny, miłujący. Co chwilę się zrywał, nadśluchiwał, wyczekiwał.

Obok na kominku złościł się zegar. Dawniej co dnia wydzwaniał mijające godziny, jakby rozrzucał sygnały szczęścia wśród jasnych uśmiechów.

I teraz szeptał sekundy, co godzinę dzwonił, ale tak, jakby jego małe serce pękało i w opuszczenie głuche sypało łyzy cichych dźwięków.

II.

Po pewnym czasie zjechał do domu nowy właściciel. Pokoje wyczyszczone lśniły zimnym połyskiem, twarze służby były jakby wyfroterowana podłoga, błyszcząca uśmiechem pokory, wierności i służalczości. Dom napęłnił się wrzawą.

Z gospodarzem przybyła zgraja psów wszelkiego rodzaju. One objęły w posiadanie pokoje. Rozpanoszyły się, bezkarnie rozwalając się po dywanach, kanapach. Urwiesz obojętnie przyjął przybyszów. Zupełnie nie zwracał uwagi na ich figle, zabawy, gonitwy. Po domu łaził zamilkły, ponury cień dawnego, wesołego trzpiota, zabawiającego wszystkich swojemi sztuczkami. Czasem cicho zaskowyczał i łzami psiego płaczu zlewał ślady znalezione na drodze swej tułaczki obłądnej. Wtedy wzrokiem oszalałym z tęsknoty skarżył się przed Marcinem i przed tą pustką nic nie czującą, dlaczego pan oddał go w obce ręce, dlaczego porzucił, dlaczego rozdarł ranę, która będzie broczyła skowytami i spojrzzeniami jak pokaleczone serce strugami krwi.

W odpowiedzi Marcin brał go w ramiona i coś mówił, tłumaczył, wspominając minione czasy.

Nieraz do późnej nocy tak trwali.

Służba z lekceważeniem patrzyła na Urwisza i z radosną zemstą sądziła, że go precz wypędzą i gdzieś wśród chłopskich broniaków, wśród stajen znikczemnieje i zginie.

— Oho — oho — twoje rządy już ustały. — Hajda stąd. Wymiataj z pałacowych salonów — do budy, na barłóg. Będzie

cię kłuło żarcie chłopskie, kiebyś oset połykał, po omaszczonych smakołykach jakby jedwabiem owijanych. Przyszło i na ciebie. Dość napanowałeś się. Oj, przez ciebie nabrałem w skórę. Inom na bestję skinał, a tu zaraz pan na mnie, coś mu zrobił, skórę będę z ciebie zdierał. A czegoś ogon nadeptał? — jakby ścierwo miał poświęcony. A czegoś mu gorące jedzenie dał? — a ja ogieniaszkiemby nakarmił. Ehe — ehe — jaśnie panicz. Teraz my się weźmiemy do ciebie. Buzię na kłódeczkę, a kozuch kijaszkiem.

Pewni bezkarności krzywdzili bezbronnego psa.

Stała się rzecz niespodziewana. Żona właściciela zwróciła uwagę na milczącego psa. Uklękła przy leżącym, delikatnie uniosła głowę i z czułością wpatrzyła się w oczy.

I wtedy na jedno mgnienie źrenice Urwisza rozbłysły, jakby serce, leżące na zgniłym barłogu, nagle ujrzało słońce i zachłystnęło się światłością dobroci kobiecej i uśmiechnęło się najjaśniejszem spojrzeniem.

Z głębokiem wzruszeniem wysłuchiwała opowieści o Urwiszu, o jego tęsknocie, o chorobie, o rozpaczach po wyjeździe pana.

— Nic nie jadł, maściłem jedzenie. Nie tknął. Myślałem, że zginie z głodu. A tu panicz kazał opiekować się. Wróci po niego. Żał było patrzeć. Jakby zginął, cóżbym paniczowi powiedział. Tłumaczyłem, że panicz wnet wróci, a wtedy kto wyleci naprzeciw? kto powita? I zrozumiał i usłuchał.

Ale to już nie ten dawny pies. Odmieniło go coś. Płacze furt za panem.

Pani wzięła głowę Urwisza na kolana i gładziła ją.

— Nie płacz pieseczku — opuścił cię niedobry, okrutny człowiek — nie, nie wart jednej łzy. Teraz będzie dobrze. Obaczysz — nigdy nie skrzywdzę cię. — Zapomnij — nie tęsknij. — No pieseczku bądź rozumny —

Pies, wzruszony słowami, przytulał łeb do dobrej pani, patrząc z wdzięcznością i spojrzeniami opowiadał o dziejach swej tęsknoty i swego nieszczęścia.

Rozpoczął się nowy okres dla Urwisza. Opływał w dostatki i pieśczoły, wprost płał się w nich jak w rzece. Pani coraz większą czułością go darzyła ku zazdrości innych wypieszczonych pincerków, foksików, pudłów. Najwidoczniej pragnęła go przywiązać do siebie i dokładała wszelkich starań, aby zapomniał o dawnym życiu. Była pewna, że dobrocią zniweczy smutek, tęsknotę, boleść i rozkrzewi nowe uczucia. W rozczuleniu mówiła do niego.

— Dusza każdego stworzenia jest jak zagon ziemi, kto zasieje, ten zbierze. Co roku pada siew na szarą ziemię, rozrasta się, kwitnie i plon wydaje. Na wiosnę znów budzi się do nowego życia pod błogosławieństwem słońca. Twoja dusza jak kłos dojrzały chowa ziarno cierpienia. Zapomnisz. Ja zasieję nowe uczucia i na smutnym zagonie kwiaty miłością wyrosną w słońcu mej przyjaźni — prawda — prawda pieseczku — ty mnie pokochasz. Wiem też i to, że serce psa, to nie torba żebracza, w której znajdziesz wszystko, co byle przechodzić rzuci. — Więc jakże będzie? — Ja nie wiem. — —

Oczy psa zapalały się jasnością wdzięczności. Ale na chwilę tylko. Zaraz gały zalane czarną żalością.

— Nie patrz tak. — Każde spojrzenie, to łza, którą chusta żrenic ściera z oblicza twego biednego serca. — Niechże oczy rozjaśni uśmiech — woń nowego uczucia.

Pies nie rozumiał słów, a przecież brzmienia ich uspakajały go.

Chociaż z początku było inaczej. Urwisz przyjmował wszystkie zabiegi najzupełniej obojętnie. Nie uciekał od niej. Nie znać było jednak żywszego uczucia. Spełniał jakby pańszczyzną przyprzyjaźni za okazywaną dobroć.

Odchodził od pani jakby od pustej miski. Wolałby, aby go biła, głodziła, kopała. Wtedy rozpocząłby walkę zębami, warcotem. Nienawiścią odpłaciłby za kije. A za dobroć tylko miłością mógł odwzajemnić się. Powoli jednak pękała skorupa smutku i przez szczeliny, do mrocznych zaułków, wdzierały się

promienie wdzięczności. Zaczęło w nim płonąć ognisko nowych uczuć. Poddawał się bez buntu. Nie starał się zerwać łańcucha, wiążącego go ze sercem dobrej pani.

Na niedawne, tak żywe rany opadał coraz grubsza warstwą kurz zapomnienia. Nikt nie przypuszczał, że lada powiew może je roznieść, lada gwałtowniejsze wstrząśnięcie może okazać dawną, zboląłą duszę...

Człowiek ujął go mocno i pociągnął w swoją stronę.

Zagłuszona została tęsknota. Urwisz wybiegał na powitanie swej pani, zdaleka już szczekając radośnie. Zabawiał ją swojemi sztuczkami. Skakał, błaznował, śmiał się, szczekał, roznosząc uciechę po całym domu. Zmęczony a zadowolony kładł się u jej nóg i upajał się zapachem jej obecności. Wpatrywał się w nią z taką lubością, jakby chciał zlizać uśmiech, zapach, najsmakowitszej strawy, ukrytej w spichlerzu duszy ludzkiej.

Z tego powodu Urwisz stracił wszelką przyjaźń we dworze. Nic dziwnego. Zadrwił w haniebny sposób z wszelkich przepowiedni. Nie zginął marnie, nie znikczemniał. Wszyscy rokowali mu najgorszą przyszłość, a on tymczasem zajął pierwsze miejsce. Patrzano z pogardą na wiarołomnego. Machano ścierką z lekceważeniem.

— Taki pies, jak i inne. Widziało się, że z turbacji zdechnie, a on sobie dobrze podpał kałdun. Przy misce o wszystkim i człowiek i zwierzę zapomni. W żarcu i duszę zakopiesz, że śladu nie zostanie. Ech, co tam mówić, przy dobrej misce i smutek przerośnie tłuszczem.

— Mnie się widzi, że z niego nie będzie żadnej pociechy — wmieszał się do rozmowy drugi służący, zawsze sprzeciwiający się przekornie.

— Wy wszystko musicie octem zalać, aby ino zakwasić

— Powiadam wam, że i pies ma czucie — ma duszę. A ona, to nie ubranie, żeby na byle kołku powiesić i wytrzepać z wszystkiego.

— Głupstwa pleciecie, Stanisławie.

— Jak pletę, to pletę dla siebie. Mam kwas w sobie, to na nikogo nie wylewam. Mam swoją prawdę i mówię — dusza psa, to nie ścierka, kiedy się zabrudzi, to wyprać do czysta i już gotowa do ścierania. Ino buty, nawet zabłocone można zaczernić i wyczyścić, żeby się świeciły. Ale psiej duszy nie wyczyścisz, żeby się świeciła na glanc.

— Oj głupiecie — głupiecie.

— Stanisławie — rozległ się głos z dalszego pokoju.

Spiesznie rozbiegli się niby spłoszone myszy. I już w pokłonie usłużnym pytali:

Co jaśnie pani rozkaże.

Wszyscy byli najpewniejsi, że Urwisz pogodził się ze swoim szczęśliwym losem. Ani na krok nie opuszczał swej pani. Świadczył jej czułości paszczką, oczami. Okazywał w psi sposób przyjaźń i przywiązanie. W ogrodzie z innymi psami płytał figle, przewodził w zabawach. Często jednak jakaś mucha ugryzła go w nos. Tracił humor. Osowiały stawał. Podnosił głowę i nadśłuchiwał. Smutny odchodził w kąt. Inne rozfiglowane zagradzały mu drogę, zachęcały do gonitwy, do igraszek; on jednak nie zwracał uwagi na rozswawolonych. Czasem w nocy ginął. Wracał nad ranem wyczerpany i cicho kładł się pod drzwiami swej pani, coś mówił oczami.

Świt różowiejący spływał na psa i w oczach jego zapalał blaski — uśmiechy.

III.

Towarzystwo, rozmarzone ciszą letnią, błędziło po parku. Wieczór był przewiany zapachem, płynącym z pól i z łąk niebieskich, zwianym z kielichów gwiazd. Czar otaczał duszę.

Psy, puszczane w samopas, uganiały po ogrodzie. Urwisz wciąż krążył niedaleko swej pani. Zanurzał się w zaroślach, po chwili biegł w podskokach, przedzierał się przez kępy krzewów i rozradowaną paszczką wychylał z pod gałęzi. Po pewnym

czasie zginął gdzieś. W odległym zakątku rozległ się przez nikogo niesłyszany, zduszony psi płacz, zmieniony w skowyt krótki, kąsany drgającymi szczękami, jakby wielka łza za łzą wytaczała się z miotanego serca.

Zacisze to, przez wszystkich zapomniane, bardzo często dawniej nawiedzał ze swoim przyjacielem. Pod ławką, w trawie głęboko zagrzebaną, Urwisz teraz znalazł książkę. Kiedy ją łapą wykopał, otwarła się i z wnętrza wionął znajomy zapach. Te karty zapomniane chowały skarb ludzkich dotknięć dla psa marnotrawnego. Teraz niby gwałtowny wicher zmiótł piach, przywalający duszę. Najwyraźniej zarysowała się postać przyjaciela i całe zajście. W przeddzień wyjazdu na tej ławce siedział. Książka rozłożona na kolanach. Nie czytał jednak. Wysunęła się z pod załamanych rąk. Nie podniósł jej. Nagle przyjaciel porwał się i wprost uciekał z ogrodu. Za nim Urwisz, przywiązany cieniem do nogi. Szedł wychudły, zamilkły, kryjąc tajemnicę cierpienia.

Teraz pies, przydeptany wspomnieniem, wachał łapczywie, wydając urywane głosy radości, śmiechu. Wzburzony biegał po ścieżkach, kogoś szukając. Kroki coraz bardziej wikłały się. Utykał na żdźbłach trawy, na ziarnach piachu. Bał chłostał jego zbolące serce. Wyjęczał ostatnie skomlenie. Chwiejąc się, odszedł z tego miejsca.

Z trudem powlókł się, ale nie w stronę dworu, bielejącego w świetle księżyca i uśmiechającego się wszystkimi oknami...

Późno zauważyła pani nieobecność Urwisza. Z ganku zawołała. Głos pobiegł drobnymi krokami i zmieszał się z cieniami.

Chwilę nadśluchiwała.

— Zapewnie gdzieś z kundlami chłopskimi zawieruszył się. Zostawiła drzwi uchylone na wypadek gdyby wrócił.

Na drugi dzień nie zjawił się.

Szukano go po pokojach, po parku, rozpytywano na wsi. Nikt nie widział. Jeden z czujniejszych psów wypadł w pole, pod rosą znalazł zapach kroków Urwisza. Biegł miedzą, potem

skręcił w bok, zaplątał się w gęstwinie zboża. Stracił ślad. Pełen wstydu i skrucy wrócił do domu. Leżał na swoim posłaniu. Nie śmiał się na oczy pokazać. Z goryczą tylko machnął ogonem.

— Szkoda ino łap zdzierać — kto wie, co z tym utra-
pieńcem stało się. Ale wróci, bo takiej miski jak tutaj, nigdzie
nie znajdzie.

Urwisz wtedy był już daleko.

Spiesznie podążał po drodze przeznaczenia, na którą pchnął
go mus tęsknoty. Najwidoczniej szukał kogoś. Stawał, rozglądał
się, wąchał kamienie, drzewa przydrożne, ślady stóp ludzkich.
Czasem oczy rozjaśniał blask otuchy, wiary. Za chwilę źrenice
ciemniały. To płomyk nadziei zapalony w sercu — w west-
chnieniu ulgi uniósł się w spojrzeniu i zaraz gasł zasypany
pyłem. Widziano Urwisa, przemykającego się polem, widziano
na gościńcu, schlastanego błotem zmęczenia. Zdrożony podążał
gdzieś w turkocie mijających go wozów, w hałasie gromad prze-
chodniów. Zbliżał się do ludzi, obwąchiwał ich i odchodził. Napa-
stowany we wsi, przemykał się między opłotkami, ginął w lesie,
przedzierał się przez gęstwiny. Po pewnym czasie, znów na
gościńcu ukazywał się, bardziej wychudły, bardziej zgłodniały.

Coś go pchało i zmuszało do pośpiechu.

Na długiej i daremnej wędrówce wieczory go spotykały.
Gwiazdy wyblyskiwały na niebie. Ale ani jeden okrucich
jasności nie odbił się w zdroju serca smutnego psa.

Zmęczony znajdował nocleg byle gdzie. Ranek go budził.
Często tam zboża pochylały się nad nim, żdźbła zroszone usi-
łowały obmyć jego oczy. Szum go otaczał. Coś pola mówiły.
Ale ani jednym słowem nie pocieszyły opuszczonego, bo nie
zwiastowały nowiny, którą pragnął usłyszeć. Blask zorzy spły-
wał na ziemię, rozpraszał zmierzch, z pól mgłę zdejmował,
z oczu krynic zmywał szarość snu, rozjaśniał, różowił, rozpalał
każdą kroplę rosy. Żaden promień nie starł smutku ze źrenic
psa, niewidzących świętej doliny ukojenia i ciszy tych po-
ranków.

Urwiszowi już sił zabrakło. Z utrudzenia padł na ziemię. Spragniony zlizywał rosę z murawy. Coraz bardziej osłabły szedł po nieznanej ziemi, dźwigając ciężar tęsknoty i trwogi.

Przydrożny pył zasłonił cel wędrówki. Już nie pamiętał dokąd idzie i poco.

Któregoś dnia podmuch, idący z pól, czy z niebios, zmiotł szarą powłokę ze zmęczenia.

Spojrzał trzeźwo.

Znajdował się w okolicy zupełnie obcej. Stał w suple pogmatwanych dróg, krzyżujących się w tym miejscu.

Rozciągała się w dal równina bezbrzeżna. Jednostajność przerywały obłoki drzew samotnych, które zastygły na powierzchni pól, jakby kłęby dymu płonącej zieleni. Pies wpadał na jakąś ścieżkę. Gnał z głową nisko podaną. Zawrócił ze skuczeniem. Wbiegł na drugą. Znów zawrócił z przeraźliwym piskiem. Stał na rozstajni, zawył i znów zrywał się. Biegł i zwracał. Ścigał marę nadziei i uciekał od niej z płaczem zwątpienia. W rozpaczy drzew, drogowskazów, niebios, chmur, pytał o radę.

Oczy rozbiegały się po wiele razy w rozmaite strony. Wnet wracały jakby zbite do kryjówki serca, aby paść na barłóg opuszczenia i zdychać na łańcuchu smutku, patrząc w pustkę życia.

Urwisz już nie miał sił do dalszej wędrówki. Zresztą gdzie miał skierować kroki? Tyle dni na tułaczce, na głodzie. Tutaj odpocznie, nabierze zdrowia i podąży do celu, który wyznaczyła ślepa miłość. Jeszcze i ta otucha wstąpiła, że kiedyś tędy do dworu będzie wracał człowiek ukochany. W tym miejscu musi czekać, aby go powitać, wybiec naprzeciw ze skomleniem radości.

Obok skrzyżowania dróg stała karczma.

Otoczona drzewami, tonęła w zawierusze liści. W jednym miejscu zasłona zieleni, rozchyliła się niby odrzucona firanka, aby przez okna pełne jasności mogły patrzeć czerwone oczy

kwiatów. Ściana, pobielana farbą, błękitniała, jakby kawał nieba rozwieszony był między konarami. Zdawało się, że ganek, wsparty na słupach i smugę dachu, upstrzonego grzybami mchu. Na niewielkim dziedzińcu stały wozy. Gromada wróbli gospodarzyła, z pod nosa koniom ziarno wykradając. Kogut, w aureoli uwielbiających gdań, kroczył dumnie. Wiatr rozmiatał śmieci, gładził pióra wójta podwórzowego i rozwiewał ognistą krasę, jakby dmuchał w płomienie.

Z drugiej strony gościńca, w polu, na lekkim wzniesieniu stała kapliczka, ogrodzona bujnemi krzewami.

W tę stronę Urwisz skierował kroki.

Tutaj znalazł schronienie.

Kapliczka była stara, obwieszona kwiatami, jakie łąki i pola w darze jej przyniosły. Po białych kolumnkach pięły się wieńce. Była to istna legenda barw. Jedne zwisały z poddasza jakby to strumień, wycięzony z serc śpiewających ptaków. Inne migały wśród liści niby płomyki wieczystych lampek, wystrzelające z zielonego dymu.

Pod daszkiem, w splocie świergotów ptaków stała Matka Boża z dzieciątkiem na ręku. Taka wsiowska Madonna, bezdomna komornica na tym padole ziemskim, odziana w szarą płachtę, malowana barwami rzewnego smutku, czującego serca Vlastimila Hofmana.

Chrystusik wyrzezany, trzymany na rękach Matki był pełen życia i swawoli. Zdawało się, że Dzieciątko Boże za chwilę podskoczy, wyrwie się, aby popędzić na łąkę, chwycić w dłonie motyle, zabawić się kwiatami. Ale Matusz Najmilsza mu nie pozwala, więc tylko rączką pokazuje dziwy, chcąc ją rozradować.

— Matusiu pożyjcie — o — o kwiatuski, o ptoski świergot. Śliczności. Wszystko dło nos, dło nasej uciechy. Puście mnie. Cego się strachacie. Nie bójcie się nic. Przyniosę wam kwiatusków, nałapię ptasków, żeby wam śpiewały. No, puście mnie Matulu — cegoście tako? — Nie chcecie? to się rozplacę.

E, nie bójcie się — jo ino tak na niby — żartuję. Póǳcie ku nom ptoſki — póǳcie kwiatuſki. Pochnijcie przed Matusią — ſpiewajcie — niech się wami naciesy.

Miało się wrażenie, że te ſłowa ſpływają z żywych, rozradowanych warg i mieszają się z ptaſzczęmi dźwiękami.

A gromadki ptaaków nadlatywały, jakby chciały, aby je Chryſtuſek w ſwięte dłonie chwycił i popieścił. Coraz dźwięczniejszymi głosami wielbiły uśmiech dobroci Bożej.

Krasne ich sukienki kapliczkę ſpowijały.

A na puſzystym dywanie zieleni zaſtygły kwiaty z pochylonemi głowami i wśród barwnych kołysań szeptały modlitwy.

Matka Boża uſzczęśliwiona patrzy na Synaczka. Prawie drży, przytuła go mocno, aby nie spadł. Ale jej oblicze jaśniej miłością i niby hoſtja ſwiatłości, z kielicha ſerca unoszą się wyrazy:

— Cichaj dziecię — cichaj. — Nie wyskakuj, bo spadniesz. Wſzyckie ptoſki przylecą. — O, widzisz, ile ich ſwiergoce — ſłuchojwa.

Wtedy trwał uśmiech, jakby obłok uczuć najcudowniejszych na ziemi, a nietkniętych pyłem ziemskim, wypływał z niebios macierzyńskiej miłości i na wargach ſpoczął.

Człowiek nie ſpostrzegł tego, więc pies znalazł dach nad głową przy kapliczce obok Matki Bożej i Jej Synaczka.

Co dnia goſcińcem mijały go gromady ludzkie, ſpieszące gdzieś. Przejeżdżały wozy. Wſzyscy zatrzymywali się przed karczmą i ginęli w jej czeluściach.

Głód wypędził Urwiſza z kryjówki i zawiódł go pod dom zajezdny. Znalazł tutaj dość pożywienia. Porwał kość ze ſmietniſka i odniósł w pole.

Już nie podążył dalej.

Ostał i zadomowił się pod tą gospodą.

W nocy i w dzień wyczekiwał i nadſłuchiwał. Na odgłos kroków wybiegał na drogę z radoſnem ſzczekaniem. Wnet wracał jakby kijem zbity.

Czasem wionęła nadzieja. Szedł za jakimś przechodniem, zabiegał, pytał rozzumnymi oczami i wahał z błogą otuchą, że umiłowany zapach dotknie serca i zapełni je radością.

Ale przechodzień trącał go znagła kijem i śmiechem.

— A widzisz — nie plątaj się pod nogami.

Przechodzili zawsze tylko obcy i ginęli w obłokach kurzu, wznieconego stopami, który opadał na duszę psa, na kamienie, na drzewa przydrożne, coraz grubsza warstwa zgnębienia, rozczarowania: beznadziejnego smutku.

Pytał siebie, pytał ziemi i niebios:

— Dlaczego nie powraca przyjaciel. Tylu ludzi co dnia mija, a jego niema.

W krótkim czasie Urwisz poznał okolicę, zbadał wszystkie, stosunki.

Tędy w jedną stronę prowadził gościniec do stacji kolejowej, w drugą stronę do znanego uzdrowiska. Karczma stojąca w pośrodku była bardzo odwiedzana. Wszyscy podróżni zatrzymali się tutaj dla posiłku i dla odpoczynku.

Zapach pitraszonych potraw aż w pole załatywał Łaskotał nozdrza, napełniał piersi psa głodnego. Była to pokusa nie do zwalczania. Więc Urwisz opuszczał kryjówkę też i w dzień. Zrazu nieśmiało, powoli się zbliżał. Niedowierzająco przywarował niedaleko ścieżki, wiodącej na ganek. Gotów był uciekać, gotów był też zbliżyć się. Oczy żebracze szły za każdym głosem, za każdym przechodniem. A umiał tak patrzeć litośnie, że szczerze rzucano kości, ogryzki, skórki chleba. Posmakowało mu to życie. Zczasem »zakwaterował się« na dobre pod bramą karczmy. Całe dni spędzał niedaleko. Na turkot wozu, na odgłos kroków, wyłaził z gęstwiny i stawał u drzwi wejściowych z błaganiem w oczach jak ten żebrak, czekający na jałmużnę. Przysiadł na zadzie a łapami przednimi przebierał tak śmiesznie, jakby je wyciągał po ten dziadowski kęs.

To miejsce miało być tem, czem kawał ziemi pod murem kościelnym, wyklęczony kolanami nędzy ludzkiej.

W początkach o mało nie stracił go.

Głód, nie uznający prawa własności, wskazał Urwiszowi drogę do sklepiku, skąd rozlewał się zapach kielbas, szynek, chlebów. Drzwi były otwarte. Nikogo w izbie nie było. Pies wspiał się, oparł łapy na stole i już miał porwać z miski kawał mięsiwa świeżo ugotowanego.

W czasie tego niezwykłego wypadku wpadł czujny gospodarz. Na widok tego, co mogło się stać, mało »krew go nie zalała«. Chwycił za kudły psa i ruski miesiąc mu sprawił. Potem wpadł jak furjat do kuchni, i wskazując pięściami, klnąc siarczyscie, zakazał komukolwiek, kiedykolwiek dać Urwiszowi choćby tyle, co za paznokciem. W przeciwnym razie popamiętają. Nie daruje. Takiego złodzieja własną krwawicą paść? Nie!!

Pies, nie w ciemną bity, nie śmiał pokazać się na oczy gospodarzowi. Uciekał chyłkiem na odgłos jego kroków. Ukradkiem krążył obok domu, spozierając błagalnie w okno kuchni, uśmiechające się do niego dobrocią starej służącej. Ta trzęsąca się babuleńka, skoro psa dojrzała, zaraz pod zapaską za stodołę wynosiła michę pełną żarcia. Machaniem rąk, podobnych do skrzydeł wiatraka, niemym krzykiem ócz przyzywała Urwisza. Już wiedział, gdzie zanieśie. Jadł za zaroślami. Zmiał prędko, połykał żarłocznie, dygotając ze strachu.

A babina, patrząc na to, obcierała sobie zapaską oczy z rozczulenia.

— Zjedz — nie bój się — podjedz sobie biedaku. — Jakie to głodne, aż litość bierze. Tu se przychodź. Co bede mogła, to przyniose. Ale temu iskarjocie to na oczy się nie pokazuj.

Pies zjadł, polizał ją i na pożegnanie przygarnął się do spodnicy.

— O jakie to stworzenie wdzięczne. Żeby mógł, toby temi oczami »Bóg zapłać« powiedział. Jakże nie dać. Z pod serca-bym wyjęła. Niech ci będzie na zdrowie. A ten heród ściga i bije.

Jednakże oko pańskie czuwało. Gospodarz zauważył wycieczki. Ścierpła służąca, wiedziała, co to znaczy. Niech ręka

Boska broni. Chwytał co mu pod garść wpadło. Siekierę, garnek czy kij. A potem plecy, nie plecy, głowa, nie głowa. Prał.

— Ja panie tego moszterpaniedobrodziejaszku jestem prędki. Nie patrzę, żona, dziecko, krowa. Jak ostygnę, to do rany przyłoż. Zbiję, a potem razem płaczę. Miętki ze mnie panie moszterdziejaszku.

Istotnie wkrótce ostygł.

Przewinienie psa poszło w zupełne zapomnienie.

W tym czasie ktoś z przyjezdnych poznał psa. Krzyknął: »Urwisz«. Ten, usłyszawszy swoje imię, zakreślił się w miejscu. Wyskomlał radosny głos. Szukał ożywionego obrazu. Przypadł w szale. Wąchał, obiegając dookoła. Znów rozczarowanie. To nie on. Po wybuchu wesela zwierzę zamilkło. Głowa bezsilna zwisała. Chwiejąc się, powlókł się w stronę kapliczki i tam leżał długo.

Ten sam podróżny objaśnił gospodarza, że to pies wielkiej wartości. Należałoby odesłać do właściciela. Umie on wykonywać rozmaite sztuczki. Krzyknąć: »powiedz jak piesek umie prosić«. »Niech piesek maszeruje«, »niech z laską parady«, »błąduje« etc. etc., a on wszystko wykona. Sztukmistrz.

Karczmarz wywalał ślepią ze zdziwienia.

— To on taki moszterpaniedziejaszku mopsik. Ktoby pomyślał. Ehe — ehe zcicha pęk. Poczekaj maszelku — to się do ciebie weźmiemy. No i ktoby wiedział, że to taka główka — mówił — zacierając dłonie.

Na drugi dzień karczmarz uczył go, stanął z ręką podniesioną do góry i zawołał:

— Niech piesek błąduje.

Urwisz wypełnił rozkaz. Zbiegła się cała rodzina i za boki się brała ze śmiechu. Pies w mistrzowski sposób wykonywał sztuki godne cyrku.

Te zdolności miały być środkiem zarobkowania na chleb codzienny.

Urwisz pojął to w lot.

Zaczęło mu się nicnajgorzej powodzić. W nadziei, że go czeka nagroda z miski, błaznował, skakał na dwóch łapach, kroczył poważnie, trzymając w paszczęce papierosa, stawał na baczność, zębami zdejmował kapelusz i podrzucaniem usiłował umieścić na swojej głowie. Stroił śmieszne miny paszczką, łapami, ogonem. Okazał się prawdziwym mistrzem. Zabawiał gospodarza, podróżnych, równocześnie patrząc wzrokiem na jedzenie, leżące na stole.

Czasem tak był osłabiony i wyczerpany, że dźwigał nogi, jakby podnosił kamienie hańby. W oczach znać było zawstydzienie, kipiący gniew, urażoną dumę. Widocznie odczuwał upokarzającą rolę, odgrywaną przed ludźmi.

Gdy zaś nie chciał wykonać rozkazu, nietylko nie dawano jednego kęsa, ale opór kijem usiłowano przełamać. Głód i kara przemagały. Nikt nie spostrzegał, że ten błazen, za cenę wzgardliwej jałmużny, płaczącą duszę w jaskrawe szmaty śmiechu ubiera na uciechę żołądka.

— Muszę tak, bo chcę żyć.

Może gdzieś, głęboko w sercu chował skomlenie, zgrzytające z bólu? Zresztą nad tem nikt nie zastanawiał się. A pies, to nie człowiek, żeby wszystko wyszczekał.

Jednak ten nędzarz — błazen z karczmy umiał odczuwać upokorzenie za dnia doznane. W nocy bowiem słyhać było skomlenie przeciągłe, to znów krótkie, zadławione.

Może przed Matką Bożą i Dzieciątkiem w kapliczce modlił się, skarżył, o miłosierdzie prosił, może przeklinał swe życie, a może płaczem swej niedoli żalił się, że musi błaznować, a może rozpaczą duszy pytał, kiedy przyjaciel wróci i zabierze go z pod kijów śmiechu, z pod wzgardy jałmużny.

Ucichał nagle. Kiedy spojrzał w oblicze świętej Rodziny, spływała na jego zbolące serce światłość ukojenia. Miłosierne ręce ścierały smutek.

I w piersiach psa rodziła się wdzięczność i miłość do tego Dzieciątka, tak błogo uśmiechającego się.

Na drugi dzień wracał Urwisz na stanowisko pod karczmą. Nie mógł opuścić tego miejsca. Nie chciał stracić uśmiechu Bożego miłosierdzia. Z drugiej strony wierzył w powrót przyjaciela.

Nieraz o świecie widać było psa znieruchomiałego, wpatzonego w pustą dal wyczekiwać.

Oczy, dwa czarne pielgrzymy nieustrudzenie wędrowały po drogach, które po tysiąckroć zdeptał wzrokiem. Serce, leżące na barłogu zwątpienia, biło gwałtownie, chcąc rozłuc ścianę piersi i rozpaść się w tysiące pulsów. A każdy zmieniłby się w imię przyjaciela, w słowa najzarliwszych prośb, aby wrócił.

Odwracał głowę i spotykał zawsze słodkie oblicze Dzieciątka i ręce wyciągnięte, pełne błogosławionych darów dobroci.

Z uporem miłości i tęsknoty wciąż czekał.

W karczmie, na codziennej harówce wiodło mu się rozmaicie. Raz lepiej, raz gorzej, zwyczajnie, jak to przy misce łaski ludzkiej. Czasem skopano go, czasem batem precz wygnano, czasem poczęstowano go chlebem, posmarowanym masłem dobroci. Niczemu się nie dziwił. Przywykł do wszelkich objawów duszy człowieka.

Nabrał doświadczenia życiowego. — Stosując się jakby do gwary ludzkiej, mającej określenia na wszystkie tajniki grzechu, stał się cyniczny, natrętny i bezczelny. Stracił wszelki wstyd, który chustą ognistą rumieńca oddziela duszę od niegodziwości. Leżał jak zawsze w swej kryjówce, na barłogu upokorzeń, na barłogu łez i skowytów. Przed sobą miał cały świat, ogrodzony płotem kolistym niebios. Na turkot wozu podnosił łeb i patrzył na obejście gospody. Nie zrywał się jak dawniej, pędząc nieraz do byle czego na złamanie karku. Namyslał się, zastanawiał, mrucząc po psiemu.

— Obaczymy co to będzie. Czy warto iść. Poco lecieć i wracać z pustym brzuchem, a pyskiem pełnym skomleń. Tutaj o poczęstunek batem nie trudno.

Wyczekiwał. Wysiadające z wozu osoby mierzył od stóp do głów, jak lichwiarz przebiegłymi oczami oceniał, pod światło przepatrywał. Poznawał charaktery, usposobienia, przewęszał duszę i z pod piachu słów, spojrzeń wygrzebywał prawdę, jakby w misce kawał mięsa z pod postnej kaszy.

Czasem tylko zerknął, brał ogon pod siebie i z pomrukiem »ostrożność nie zawadzi« wrywał w pole, aby jak najdalej. Czasem, przypędzony głodem, stawał opodał zawsze czujny i ostrożny. Zapach jedzenia, bijący z talerza, wcale nie odurzył go. Śledził rzuty ocz, ruchy rąk. Kiedy miał paść kij, on znikał. Zdala patrzył drwiąco.

— Tyleś mi zrobił. Obaczę twoje pazury, choćbyś je schował w tłustość i miód.

Kiedyindziej uśmiechnął się życzliwie do jakiegoś chudopachołka, kiwnął ogonem przyjaźnie, mrugnął oczami na »powitackę«.

— Ty masz dobre serce. To zaraz widać. U ciebie słowa jakby para, dymiąca ze smakowitego jedzenia. Cóż kiedy nie masz co do gęby włożyć. Przy dobrym sercu, ale pustej kieszeni to tak, jakby przy próżnej misce. Nie pożywisz się. Trudno, darmo. Tego nie zmienię. Kiedy se podjem, to przyjdę. Miłowaniem to można brzuch, ale pełny smarować. Miłowanie to, nie przymierzając, jak do smarowania chleba tłustość, co się wytapia ze słoniny szczęśliwego brzucha. — Hi, Hi! — A tyś — e — dobryś chłop — ale to mi już nie wystarczy.

Oka nie spuszczał z ludzi, którzy zajeżdżali z hałasem, śpiewami, ze strzelaniem z bicia.

Zaraz zapieniało się serce nadzieją.

— Będzie pociecha dla paszczęki.

Kiedy zaczęto wynosić ze skrytek wozu koszyki, zawiątnątk, kiedy w przechodzie chlusnął zapach kurcząt smażonych, wtedy niespokojnie się poruszył i pożądliwie machnął jęzorem.

Pod ganek karczmy przyłaził dopiero wtedy, kiedy zaczął rozlegać się trzask łamanych kości.

Już tak się wyćwiczył, że na zawołanie krzywił żałośnie paszczkę. Stając u drzwi wejściowych, swemi ślepiami, budzącemi litość, mówił pacierz proszalny, dziadowski do miłosiernych ludzi o wspomnienie.

Zawsze miał tak nieszczęśliwą minę, że prawie każda kobieta na widok udręczonego i tak nieszczęśliwego Urwisza ręce załamywała.

— Jakie to biedne stworzenie.

I łzami roztkliwionej duszy zlewając jedzenie na — talerzu, zjadała kęs po kęsie. Ostatki psu podawała.

— W gardle rośnie, kiedy na ciebie patrzę. Podjedz sobie niebożę.

Nieraz jakiś porywczy podróżny, uniesiony gniewem, ostro zwymyślał karczmarza, że głodzi niewinne zwierzę.

— Pasy darłbym z pana zato.

A karczmarz, rozkładając ręce, Boga biorąc na świadka, pokornie tłumaczył się.

— To nie mój pies — moszterpaniedobrodziejaszku. Przyplątał się skądś ze świata. Chciałem przywiązać przy budzie, żeby gospodarstwa pilnował. Miałby spokojne życie przy misce. Za każdą pracę dobrze płacę. Gdzie mu to w głowie. Urwał łańcuch. Ino po świecie ganiać. Wywłoka! Przez cały dzień tutaj. Daję co mogę, przecie koszuli z grzbietu nie zwlekę. Pysk ma jak nie przymierzając wół. Chlałby i chlał, a zawsze głodny. Goście też nie żałują. Mają z niego sto pociech.

— Chyba znęcają się nad nieszczęśliwym biedakiem.

— Ho! ho! To numerek na czerwono malowany.

— Jakiż on numerek?

— O! to główceka! — Jak zacznie sztuki stroić — parsknął śmiechem — uciecha w całej chałupie.

— Cóż on takiego robi?

— Zaraz ujrzy jaśnie pan. — Urwisz tu do nogi.

Gospodarz lekko opierającego się chwycił za kudły, mocno podciągnął. Potem z namaszczeniem podniósł palec.

— Jak piesek umie prosić.

Pies przysiadł na zadzie, przebierał łapami przednimi i zaszczeakał. Następnie na rozkaz, trzymając kij, przemaszerował po izbie żołnierskim krokiem, wypinając pierś. Błaznował, skakał.

Machinalnie, bez zastanowienia spełniał wydawane rozkazy, równocześnie zaś oczy głodne w napastliwy sposób leciały w stronę jedzenia. Co spojrzał, to oblizał się. Kiedy ćwiczenia zbytuo przeciągały się, z gniewem w duchu mrucał.

— Dokądże tego będzie. Na loterji zdrowia nie wygrałem. Mało łap nie połamie, a ten ani myśli coś dać.

Tam i z powrotem w górę i na dół. Zziajany, zmęczony z sił już opadał.

— Ha! ha! No widzą państwo, jaki to pieseczek — ho — ho — inte-li-gen-tny — z dumą patrzył, chwaląc się psem i ostatnim wyrazem.

Któryś z podróżnych chciał Urwisza zabrać. Pies przewąchał pismo nosem i nagle zniknął bez śladu.

Po kilku godzinach wrócił.

Przejezdni w czasie postoju mieli zabawę. Jedzenie śmiechem sobie maścili.

— Wart piesek — wart — łapaj.

Rzucano ogryzki. Pies w mistrzowski sposób w powietrzu chwytal kęsy.

I tak co dnia.

Urwisz przywykl do nowego życia.

Z nędzy swej, z trudu najemnika, z łez błazna czynił widowisko.

IV.

Zbity, głodny, późnym wieczorem włókl się ostatnim wysiłkiem z pod karczmy. Był umęczony jak po najcięższej pracy, jakby całodziennym znojem ociekający.

Teraz błazeńska szata z serca odpadła i stawał się tem, czem był w swoim schronisku pod kapliczką: nędzarzem, dźwigającym torby pełne wzdargi i upokorzeń, zarobione w męce i krzywdzie.

Gdyby ktoś wpatrzył się w pociemniałe oczy, toby zobaczył przeloty dziwnych błysków, jakby w dwu czarnych krynicach przelewały się łzy, które za dnia wypłakało biedne, niezważone serce.

I w ten wieczór wracał do swego legowiska pod kapliczką.

Cisza wokoło, zamącona tylko szmerem liści, jakby drzewa w śnie drżały bojaźliwie. Kwiaty na polach bezszelestnie kołysały się. W zmierzchu znać było ich kielichy, przyćmione mgłą zapachu. Na niebie gwiazdy nieprzeliczne, jakbyto w bezbrzeżnym zdroju odbijały się łzy wszystkiej nędzy świata. Migotały zawsze jednakowo świetliste brylanciki ludzkich serc, wprawione w ciszę szczęśliwych przestworzy.

Wiś już dawno spała. Tylko okienko służącej w karczmie jeszcze czuwało. W ciemności gorzało niby lampka oliwna. Ono jedno uśmiechało się do samotnego psa, ono jedno rzucało smugę jasną w mrok.

Urwisz przechodził obok kapliczki. Nagle stanął, nieznana myślą tknięty. Spojrzał na figury z drzewa wyrzeżane, jakby pierwszy raz je zauważył. Jasność zalała piersi i oczy. Widzi kobietę, niebieską komornicę, najbiedniejszą, najbardziej opuszczoną na tej ziemi. W obliczu łagodność, słodycz, dobroć.

W oczach dary z Królestwa miłosierdzia Boskiego. Widzi dzieciątko na rękach, chuścina okryte. To maleństwo prawie igra na kolanach, chce zbiec na łąkę, wyciąga rączki do niego, do ptaków, do kwiatów, do gwiazd, mając na ustach uśmiech wysniony przez serce.

Patrząc w oblicze komornicy Bezdomnej, patrząc w oblicze dziecka, wydziwić się nie może, że oni jedni na tej ziemi nie kają błaznować, oni jedni kija nie podnoszą na wywłokę. A tylko z życzliwością pochylają się i darząc hojnie skarbami łaskawości, obydwójce o coś słodko proszą.

Spełniłby wszystko, co rozkażą. Wzruszony do głębi, nie wie, jak wywdzieczy się za ten uśmiech dobroci.

Wpatrując się w oczy Bożego Dzieciątka, stanął na dwóch nogach. Z ogromną tkliwością zaszczekał, jakby chciał wszystkie uczucia wdzięczności wypowiedzieć. Potem stroił najzabawniejsze miny, skakał, błaznował, to znów kroczył z powagą, paradnym krokiem. W sposób śmieszny, zerkając w stronę Chrystusika. Był niewyczerpany w pomysłach. Wszystkie sztuczki pokazywał, jakie umiał, a za które mu w dzień ochłapami łaski płacono. Teraz czynił je z radością. Dokładał wszelkich starań, aby rozweselić to śliczne małeństwo, siedzące na kolanach Matki.

Naraz Boże Dzieciątko jakby ze snu obudziło się. Podskoczyło i z wielkiej uciechy w dłonie klasnęło.

— Matusiu! — Matusiu! ale ten piesek śpasowny. — O jakie figle stroi, o jak ucieszenie łocami łypie. Zmyśny, ze boki z niego zrywać! Ha! ha! Warto popatrzeć. Matusiu, puście mnie, puście mnie — ino się z nim kwilusię pobawię i zaraz przylecę. — Nie chcecie — e wyście zawsze tako. — Pokoz jesce raz — no jesce — piesiu — ślicności — pokoz.

Chrystusik uszczęśliwiony wyciągał ręce i prosił słowami, które jak srebrne dzwoneczki ozwały się wśród kwietnych krzewów.

Matusia Boża i Synaczek pochyłili się, aby pogłaskać psa bezdomnego.

Urwisz, po dniu pracowicie spędzonym pod karczmą, mimo utrudzeń, przed kapliczką żarty stroił. Czynił to z niewysłowioną radością, choć wiedział, że nawet okruszynki chleba nie dostanie.

Słowo dobre — razowy okrucz serca — wystarczało.

Już nie czekał na przyjaciela.

Tutaj w cieniu miłości pozostał.

I tak co wieczora, do późnej nocy z uśmiechem szczęścia zabawiał i rozweselał Dzieciątko Boże — pies — błazen z karczmy przydrożnej.



W. G. R. 10



ZBIGNIEW PRONASZKO:
EMIL ZEGADŁOWICZ
(RYSUNEK)

EMIL ZEGADŁOWICZ:

===== JAŁOWCARZ =====

(Z TRZEMA DRZEWORYTAMI LUDWIKA MISKY'EGO)

Jałowcarz

Jałowce, moje jałowce
na jałowcowej skotnicy —
ide se przez manowce,
nik mych kroków nie licy.

Jałowcu mój zielony
cy to latem, cy zimą —
kto w tobie nimo obrony,
ten nic w życiu nimo.

Tak sie życie zieleni
we mnie ciągiem i wszędy,
az sie śpiewka nie zmieni
w te godowe kolędy.

—
No to dobra! — trzeba iść,
jak trzeba, to trzeba;
już się na buczynie,
już się na dębinie
omrożony złoci liść —
— trza nom soli, chleba — .

—
Ka spojrzys złoto włośnie
tak po tych górach rośnie —
— wszystkie lasy wokoło
zsypują się ściolą. —

—
Złocą się kajnie — wszędzie powarzone drzewa.
W południe, gdy na krótko słońce się przelewa

jak mleko ze dzbana —
wtedy cała skotnica słońcem roześmiana
płynie — płynie, jak rzeka — lecz do góry z dołu —
a tak lekko, tanecznie i tak bez mozołu,
jakby się nie zeliła, a rzeczyła ino,
a już nie o południu, lecz każdą godziną.

—
Na niej-to co półkroku — jałowiec w jałowiec —
mówią cichcem do siebie: »bracie ano powiedz,
cóż-to z twojem odzieniem?« — »a no nic, ostawię«, —
»jak się podrze, co zrobisz?« — »e, wydoli prawie«,
»na całe życie?« — »juści« — »to także i moje?«
»ano tak«, »a jagody?! o nie to się boję!«
»jagody?« — »pocoś rodził, pocoś się mozolił?«
»aby jakiś jałowiec jałowce wyzwolił!«
»wyzwolił??« — »tak! wyzwolił — bo tak już być musi,
żeśmy ino na oko niemrawi i głusi,
lecz wewnątrz się jałowczy jałowcowa dusza
i słońcem się raduje i zawieją wzrusza
i myśli o tej ziemi — ano myśli przecie,
że gdzieś wielki Jałowiec we wielkim wszechświecie
dnia któregoś zawoła: — jałowce! — hej, do mnie!!
— wtedy każdy o braku nóg swoich zapomnie —
.... pójda jałowce gwarnie w ogromnej paradzie
i z tą zieloną wiedzą zasięda na radzie
w wielkim ziół, drzew i kwiatów, gór, dolin zespole,
w unji ziemi i nieba sejmującym kole —
i z animuszem zacnym, krwi żywej podniętą
każdy z zielnych narodów założy swe veto!
Ten wypowie orację o nagłej wichurze,
ów przeklnie mgieł warcholstwo i wychwali burzę,
tamten zakrzyknie: społem, zielne ziemi stany!
ów radnym do stóp rzuci konar odłamany
z okrzykiem: gorze, bracia, z tych naszych rozdzielen





w czerwień zmieni się świetna ojców naszych zieleni!
W on czas skłóci się z sobą krzew, trawa i drzewo,
jedni pójda na prawo, a drudzy na lewo;
chrzęścić poczną gałęzie, a zgrzytać korzenie,
po korach i łodygach zabłyszczą płomienie — —
Nuż do walki na chruście, konary i liście —
— szum, trzask, poświst, lamenty! — aż padnie rzęsiście
na nagą ziemię trzasek deszcz, zawieja ścióły — —
Tak się drzewa i krzewy za łby i za poły
siarczyscie potarmoszą; — a zioła i trawy,
plącząc się pod ciosami — mały bój, lecz krwawy
też wieść będą: kto lepszy?! — ja! — nie! — to ja właśnie!
— — Aż nagle lampa słońca przykręcona zgaśnie —
mrok! — krzyk! — harmider!« — — »I co?« — »A Bóg:
[cicho dzieci,

powie, cicho odmienie, słońce nie zaświeci,
póki się nie zgodzicie, póki nie pojmiecie,
że dla ojca najdroższe, właśnie, każde dziecię,
że każde równo dobre, ważne i potrzebne —
i to wielkie dębowe i to ostne zgrzebne; —
— przyszlście się tu wadzić?! — macie się zielenić
i słonecznić na słońcu, a w bezsłońcu cienie! —
a tem słońcem to miłość! — i w tem wasza sława,
że dąb jest dębem, bukiem buk, a trawą trawa;
ukochaj pracę wiązu, moje wilcze łyko,
twoją niech wiąz ukocha — będzie koniec krzykom».
»A jałowce?« — — Bóg mówi: »jałowcz się krzewino
i tęsknoty swe zmieniaj w jałowcowe wino —! — «
»— a co potem?« — »rozdamy wszystkim sercom siebie,
aż ziarna nasze zalśnią jak gwiazdy na niebie!«
»— no a cóż to te ziarna nasze w takiej cenie —? — «
»— w nich ziemię duch przetapia, krew jej ku nim żenie! —«
»— ej cóż tam te jagody! — jałowcze, nic więcej —! — «
»— modrzą się, gdy je słońce całuje goręcej —! — «

»— ech, cóż tam ziarna nasze, żrają i tyle« —
»— korzeniami się po nie w utrudzeniu chylę —!— «

— Cicho, jałowce, cicho — bo już idzie ku wam
taki co mówi: żrajcie, ja baczę i czuwam —!—
— któż to taki —? — cóż mówi pogwaru zarwanie —? —
— któż to idzie ku górze —? — czyż to śpiewanie —? —

— jałowce, moje jałowce,
na jałowcowej skotnicy —
ide se przez manowce,
nik mych kroków nie licy —

Kasper Koźbiał z Kosińca — boży powsinoga,
co to jego jest właśnie i miedza i droga
każda by-tam najstromejsza, by-tam i nizinna —
z nim żniata od młodu i jemu powinna —
idzie —
śpiewa —

— — —
Dziad jego jałowcarzem był, ojciec tosamo; —
bywa, że tak rodziny jedną wchodzi bramą
w życie — i jedną bramą ze życia wychodzą; —
sadownikom się same sadowniki rodzą;
druciarze, ano śklarze, piecarze, świątkarze —
tym trybem się kierują także jałowcarze
w Beskidzie —

— ano! — wasza wola!
niechże i tobie będzie, jako ojcu — doła
jedna —
tem się miłość rzemiosła ustala i krzepi,
co ojciec robił dobrze, to syn jeszcze lepiej —
co ojciec umiłował, niech i syn miłuje —
niech się tak pieśń rodzinna w chórze świata snuje,

a z pokoleniem każdym wciąż cięższa i krzepsza —
by wszelka praca była nie dobra! — najlepsza!!

—
Ród Koźbiałów w Beskidzie sławny z jałowczarstwa!
I — poprawdzie — na lankur lepszego lekarstwa
niema, jak jałowcowy sok — i na choroby;
przy nim, Bogać! — do kąta wszelakie sposoby!
— ino trza się znać na tem
— i nie zbierać latem
— nie zbyt późną jesienią,
gdy się wichry już żenią —
i nie zimą! — to nanie! —
wszystko ma swój porządek i swój wykres granic! —
tak i — a przedewszystkiem! — w sokowym przemyśle
partactwo całą sprawę do stu djabłów wyśle;
więc choć się ów i tamten do soczenia garnie,
jeśli fachu w krwie niema, no to zrobi marnie,
nieskutecznie —; — a na cóż zda się trud człowieczy,
który nie krzepi serca i bliźnich nie leczy? —
Nie krewniak mówi, każdy! — więc ci nie przechwała:
lepszego jałowcarza niema nad Koźbiała!

—
Kciecie wiedzieć — ? — słuchajcie! —
ale co tam mowa!
Patrzcie i uważajcie,
a już wasza głowa
osądzi należycie i pojmie bezsprzecznie,
że Koźbiał ważną sprawę umiał cale k'rzecznie.

—
No cóż tam na wsi słyszać? —

—
Już-ci ruch przedzimowy znać u każdej wioski,
już się dają we znaki rankami przymrozki,
już rzadko gdzie spóźniony przyłóg pokładają,

a ściolą i szuwarem chałpy osłaniają — ; —
tak się jedna przy drugiej, jak w pierzynie tuli,
choć co dopiero było wezwanie Urszuli —
ale to góry, grapy — tu mróz rozpęd bierze,
zanim sobie w dolinach śnieżne zładzi leże.

—
A cóż tam na skotnicy — ? —

—
Na skotnicy, choć go ta o to nikt nie prosił,
kwitnie sobie srebrzyście, szronno dziewięciosił;
cały dzień wielkiem okiem o rzęsach promiennych
patrzy się po pagórach — i z kolorów zmiennych
miarkuje, czy się wichrów ruchawka wojacka
zacznie wnet — i czy zima nie runie znienacka ; —
— czas jeszcze ; — więc się pyszni, liście swe rozkłada
jak motyl, gdy na murze do słońca przysiada ;
wielką kwiatu żrenicą dookoła patrzy,
rozmyśla, co też świat ten, co to wszystko znaczy ? —
te góry zbłękitnione, lasy i upłazy ? —
— ej, dość tam ! — ileż wracać tu mi trzeba razy —
siać nasienie, a z wichrem, aby się poniosło,
aby zgrabnie upadło, przyjęło się, rosło — —
zmartwień i trudów wiele ! — trza się głowić śmieie,
by w dziewięciosiłowym, narodowym dziele
nie pokpić sprawy. —

—
Te rozmyślania znagła cień jakowyś duży,
długi, szeroki — nakrył — ; — ziele oko mruży,
listki spłaszcza i węży — drży w sobie, jak po śnie,
bo oto z tego cienia drugi, większy rośnie,
przytłaczający, straszny, chłodny, gęsty, duszny,
walniejszy — tamten pierwszy jemu jest posłuszny —
— czarny — zasłania słońce — światłu drogę grodzi — ; —
— czy to chmura opadła — ? — czy to noc nadchodzi — ; —



Dziewięciosile srebrny! — to nie słońce gaśnie,
to jałowcarz beskidzki, to on — Koźbiał właśnie.

—
Że to pora ujdawa, a ciemne jagody
jałowcowe nabrały potrzebnej osłody —
przyszedł na tę skotnicę — powoli — powoli —
— dni ludzkich, moiściewy, do śmierci wydoli,
nima się czego śpieszyć — ci co idą prędej
— bywa — że dojdą wartko — lecz często do nędzy.

—
Wyszedł było dziś Koźbiał po wczesnym obiedzie
(wodzianka i ziemniaki) —; — »bywajcie sąsiedzie« —
»na skotnicę idziecie —? — « »ano tak, dy juści,
bo jak się mróz roz zwali, to już nie popuści;
troche — jagodom to nic, gorzy jak za dużo« —
»— no, a czemu w południe —? —«, »mom ślepotę kurzą,
przy małym świetle kiepsko widze, mętnie,
kożdą prace trza zawdy zrobić dokumentnie; —
no, już ide — bywojcie!« — »i wy« — »z Panem Bogiem,
mom jesce kawoł drogi gronią i rozłogiem,
a trza mi nawyprzodki z jesienną pogodą
iść — bo una nojlepsą moc daje jagodom —
i trza tego napitku zimą zanieść lachom,
niek sie im góry przyśnią — « —
— — a płachtę pod pachą
dzierży wielką, podwójną, szarą, samodzianą —
i kij bukowy; — sprzęt ten przyłodził już rano.

—
— Jałowcu mój zielony,
czy to latem, czy zimą,
kto w tobie nimo obrony —
ten nic w życiu nimo.

Idziecie se, idziecie jałowce po skotnicy,
tele wos co mych kroków, których tyz nik nie licy;
pniecie sie tak ku górze, jak zielone wojoki —
takie widać są lo wos wielgie Boga wyroki.

Co tych jagód, co jagód —! — cyrnią się i plenią
te ziońska woniate pomiędzy zielenią —
na każdej gałązeczce pomiędzy szpilkami
przycupły gęściuteńko kilku szeregi.
Słońce świeci na ukos — cień się długi niesie —
zbałamucić się można w długich cieniów lesie; —
jedne krzewiny stoją — drugie dłuższe leżą —
te i te swój świat mają i sobą świat mierzą; —
cień do cienia, a żywy do żywego ciągnie,
świat cieni w żywy wrasta — żywy cienie łagnie;
tak wiecznie i tak wiecznie cień się z życiem splata,
Bóg jest życiem wieczystem — my cieniami świata!

A teraz do roboty —! — To zdatna krzewina —! —
Kozbial płachtę podkłada, krzewinę przygina —
gibka, więc się posłusznie na tę płachtę kładnie —
a przydeptana nogą — leży tak bezradnie
jako cicha ofiara mądra wolą Bożą,
bez której żadne ręce nie zgna jej — nie złożą.
A Kozbial — tam, gdzie jagód najgęstsza gromada
bije bukowym kijem — grad razów — grad pada —
łup, cup, cup — jak w stodole cepy grzmia w boisko —
wspak, wpoprzek — raz przy razie wali Kasper blisko —
leca ziarna w podskokach — drży w sobie jałowiec —
łup, cup, cup — dudni echem pomroczny manowiec.

Dość —! — Kozbial cofa nogę — a krzew się prostuje,
a cień chytrze ukryty — wychyla się — snuje —
a na płachcie, jak grochy niebieskie i czarne

leżą dary jałowca woniste, ofiarne, —
jak rozrzucone ziarna świętego różańca
zalegają płótnisko od krańca do krańca —: —
chybciejsze przeskoczyły znaczoną granicę
i stoczyły się z płachty w dziury i ciemnice
skotnicy upłazistej —

—
Różańcu jałowcowy! — pójdziesz po kolędzie —
któż się to na twych ziarnach, któż się modlić będzie? —

—
Jałowcarz pracowicie od krzewu do krzewu
idzie wśród tego słońca — modrych ziarn zalewu — ; —
płótnisko już pęcznieje — walnie ciężkie brzemie —
ledwie zdole je podnieść na plecy ze ziemi.

—
A z każdym krzewem mówi.... tyś setny — tyś głuchy,
a ciebie podpolili, umarłyś i suchy —
a z ciebie kore zdarli psiejuchy pastyrze,
ejzebym za to buckiem pomacoł im krzyże —
na biczyska ścinają te pręciny wasze —
ino taki wybiero, którym sie opasze, —
przy paseniu krów, owiec — gromada smarkata
gibki bat mo i strzyło potem z tego bata — ; —
...tyś stary — o znomy sie roków już niemało! —
jakoś ci sie obrodzić latosio nie kciało —
niekta — dy se odpocnij, odpocnij, se stary —
przyjde drugom jesieniom po twoje okfiary — ; —
...ciebie-by mi żol było, tak cie pajencyna
całego pięknie-ładnie wokoło objena,
jakby sie słońce w biegu o ciebie otarło,
zahacyło sukienką, kilka nitek zdarło —
— odbiegło — ostawując te złociste nicie
jaśniejące wraz z słońcem o zorzy i świcie, —
— stojze se w lśniacej sieci tkanej i kądzielnej,

jałowcu słońcem tknięty, jałowcu weselny — ; —
...ty zaś na skraju stois blisko leśnej ścioly —
chrapkę na ciebie mają, wiem jo to, kwicoły —
— no to se miej jagody, żyw to ptoctwo boże,
co se ta żyje, chocios nie sieje, nie orze —
łostoń se lo kwicołów — ; —
...ciebie latoś opusce, boś jesce za mały — —
—

Tak się przykazań strzegą od wieków Koźbiały.
—

»A resztę trza ostawić — i tak tego sporo« —
mówisz jałowcarzowi napomliwa poro.
—

To pierwsza część roboty,
teraz będzie druga —
roboty, jak miłości,
droga bardzo długa.
—

Jedna cierpliwość skraca
tę drogę krzyżową — ; —
cierpliwość, miłość, praca
to jest j e d n o słowo.
—

Ano nazbierał Koźbiał jagód wedle woli,
więc się teraz pożytkiem tych jagód mozoli.
Zesypał wszystko w izbie do chlebowej dzierzy —
kopiastym kapeluszem swój dobytek mierzy — ; —
sporo, sporo — no, zbierka niezła tego roku:
sześćdwaścia kapeluszy! — Bógdaj! — Bezuroku! —
—

Leżały dni kilkoro jagody beczynnne,
a to nato, by było słodko w nich i winnie —
więcże nic nie robiły, nic, tylko pachniały, —
az zjałowczyły izbę i sprzęt izby cały — ; —

a gorącość tej woni z taką mocą niosły,
że tę izbę, strych kurny, cały dom przerosły —; —
aż przeszedłszy na wylot przez dachu poszycie —
parowało ku niebu jałowcowe życie; —
a kłoby mógł to dojrzyć — duszą w wiarę szczodłą —
ujrzałby dom nakryty mgłą śpiewną i modrą.

—
Więcze nic nie robiły — samo w nich się działo:
marzenie, co się w płynne oblec chciało ciało.

—
Uleżały się; — starczy; — więc do szmaty lnianej
nabiera Koźbiał ziarna — a potem związany
kłąb w serownicę kładzie (— podstawiona miska —)
zakręca mocno śrubę — sok wonny wyciska.
Ciecze ten miód podziemny, nadziemny, jagodny,
lśniący jak dzień na grapie nagrzanym, pogodnym,
rzeźwiący jak wiatr, wyrąb, jak las, jak powietrze —
bury sok jałowcowy do glinianki ciecze —; —
a gdy nad ogniem kotlik z wytłoczonym sokiem
wyrasta gęstej pary rozwianiem szerokim,
gdy bulgoce, wrze, kipi, podnosi się, spada
i w nieznanym języku cuda opowiada,
gdy pryska na polepę, na niej się przysmaża
i dymi jak kadzidło wokoło ołtarza —
na Boga! — niema izby! — rozwiały się ściany, —
jeden zapach się ostał, zapach niesłychany —! —
Skotnica do Koźbiała przyszła jałowcowa,
ale już cał inna, odmieniona, nowa —
— — przeinacza się w myślach, w życiu, w poniewierce,
przez te jałowce Boże, przez jałowców serce: —

—
»jałowce, jałowce,
wyciskojcie mi sie —

moja dusa w Bogu,
a wasa na misie* —

»co ty Koźbiół mówis!
misa tyz nacynie, —
a Ponbóg jes wszędy
nik go nie wyminie« —

»co wy tyz godocie
zwodzicie mie do cna,
moze-to być dusa
krzewowa, owocna« — ? —

»Ponbóg, Ponbóg wszędy,
miej sie na bocności —
w nos jes zopoch ziemi
i zopoch miłości« —

Co się tam potem dzieje — to już tajemnica; —
czy oręduje temu księżyc, czy gromnica —
nieodgadnione wieści — zakryte do znaku; —
jedno wiedno, — że kędyś na modlitwy szlaku
jest miejsce, gdzie we wieńcu podbiałów i mięty
błogosławi tej sprawie jałowcowy święty —
czy przez Wowra rzeźbiony, czyli tylko śniony? —
w tem rzecz, że rad udziela, skutecznej obrony —
aż ten Kasper z Kosińca przystanie przed progiem,
by drzwiom, sieni i izbie rzec: ostańcie z Bogiem!

Wiele dróg jest w Beskidzie, gościńców, miedz wiele —
ujrzycie w porze zdatnej tego przyjaciela
dróg wszystkich, gór i grapy i co się w nich zdarza —
ujrzycie idącego ku wam jałowcarza —



— nogi w kierpcach, na sobie leda przyodzieżkę —
dźwiga przez kraj szeroki na plecach konewkę
przykrytą zgrabnem denkiem — ; — przy konewce kubek —
— — poproś — nie żałuj grosza — — należy po czubek —

— tak się życie zieleni
we mnie ciągiem i wszędy,
aż się śpiewka nie zmieni
w te godowe kolędy — —

—
Dla języka to gorycz z słodyczą naprzemian,
dla nozdrzy zapach wielki i niezapomniany,
dla serca chwila święta niepojętych przemian,
dla ducha czar i zachwyty, bracie, niezaznany!

—
Krwi ziemi, burz i lasów — krwi żywa, serdeczna,
o dani jałowcowa — ! — o woni odwieczna — ! —

—
Bracie!

Tem sercem jałowcowem pełną piję do cię —
w szumie lasów, w gór mowie, w gwiazd wiecznym obrocie!
Pachnie ziemia jałowcem — ! — Narodzie jałowców,
prowadź nas i wyprowadź z północnych manowców —
tam, kędy Boże słońce siania się wyżynom —
ku jedynym, istotnym, miłującym czynom!

—
...pójdziemy z jałowcami szeregiem pobratnim
ku wyżynom najdalszym, ku góróm ostatnim,
kędy się człowiek w wieczność, a czyn w bezmiar toczy.

—
Z ziemi dziewięciosiłu nieuśpione oczy
patrzeć będą za nami.

Jałowcarzu,
jałowce twoje gwiazdy rodzą!

Jałowcarzu
twe czary myśl i czucia zwodzą
nasze,
lecz twoje także!

O, nie mów nikomu,
że od dziś Bóg zamieszkał w jałowcowym domu.

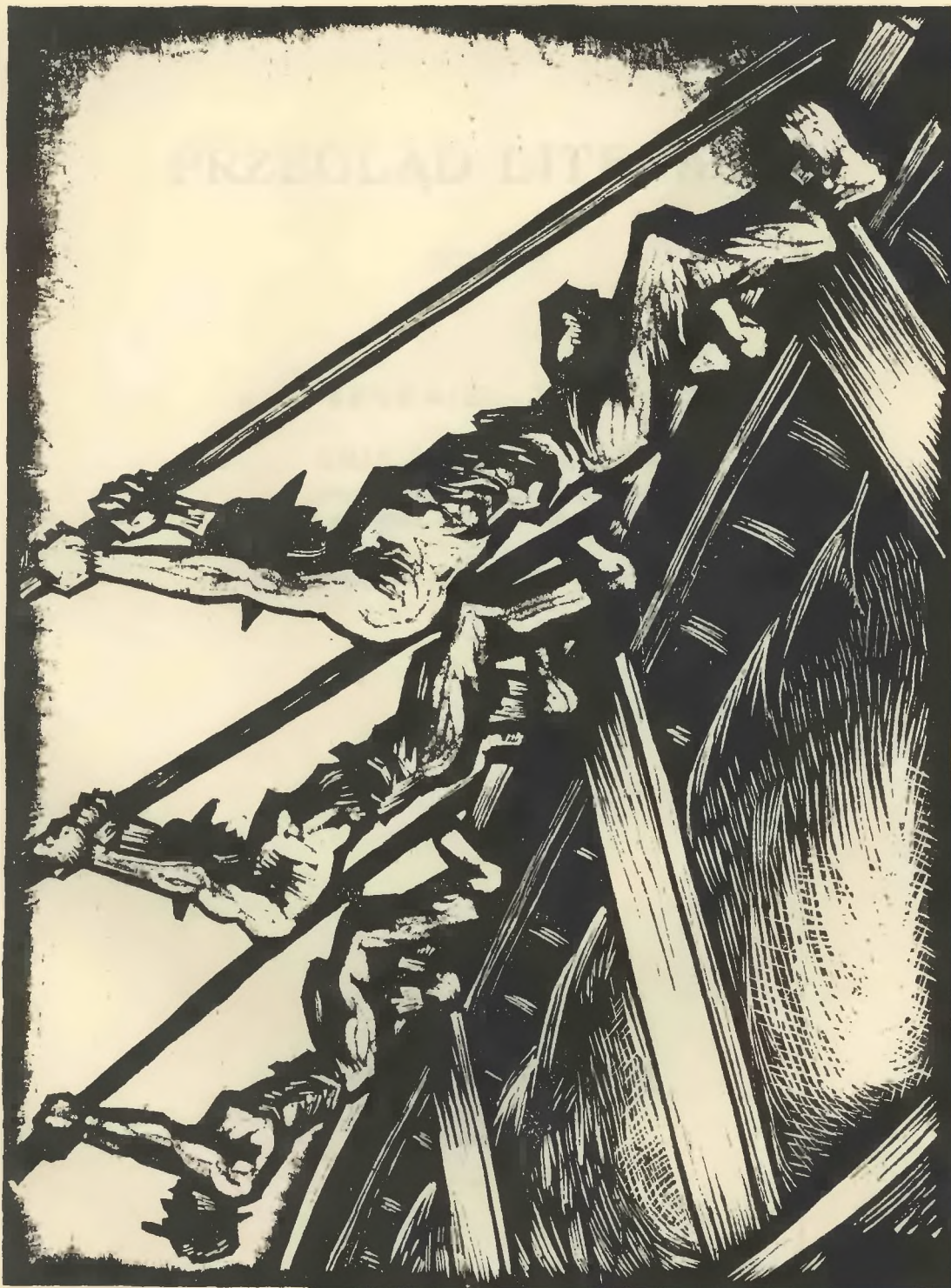
Drogiemu przyjacielowi

Ludwikowi Misky'emu

w dwudziestopięciolecie wiernej przyjaźni

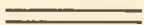
poemat o Jałowcarzu przypisuję

E. Z.



EDWARD PORZĄDKOWSKI:
POŁAWIACZE PIASKU
(DRZEWORYT)

PRZEGLĄD LITERACKI



J. BIRKENMAJER: Z LOTU PTAKA

DZIAŁ SPRAWOZDAWCZY:

(BELETRYSTYKA, POEZJA, PRZEKŁADY,
PLASTYKA, PRACE LIT. NAUKOWE)

===== KRONIKA =====

Z lotu ptaka

Rzymianie, ilekroć u nich zaczynała się wojna, otwierali nawściąg podwoje Janusa. Gdy nastawał pokój, świątynię zamykano — wówczas na forum pojawiali się zgłębliwi kupcykowie i chytry szalbierze, zachwalając towar swój, niezawsze uczciwą drogą nabyty, pojawiały się nieznane przedtem nikomu indywidua, które przekupstwem, ostentacją swej osoby, szafoowaniem igrzysk cyrkowych zdobywały sobie łatwy poklask i odznaczenia. Ale byli też i tacy, którzy, służąc naprawdę celom wielkim i całej ludzkości, stronili od wrzawy i obłudy intryg miejskich — bo mieli dość do gadania ze słoneczną przyrodą Tyburu lub ze świętą ciszą tuskulańskiego osiedla. Tam — po zamknięciu Janusowego przybytku — znajdowali dla siebie świątynię, otwartą na znak rozpoczęcia boju, wznioślejszego i chlubniejszego nad wszystkie walki orężne.

Janus — stróż domowego gniazda i patron pierwszego w roku miesiąca, darzącego nowemi sokami przyrodę — był niestety bogiem dwulicowym..

Polska ustami największego ze swych poetów modliła się niegdyś o wielką wojnę. Wojna ta otwarła nam świątynne podwoje — najpierw Nadziei — następnie Wolności. Rozpocząć się miała nowa doba — Nowych Czasów.

A zamknięcie świątyni Janusowej było dla nas czemś więcej, niż końcem krwawego epizodu, jakich wiele przeżyliśmy w wieku zeszłym. Było zamknięciem okresu dziejów naszych — nietylko politycznych, ale i dziejów naszego ducha, naszej myśli.

Literatura nasza, mówiąc ściśle, istnieje dopiero od lat stu z okładem; snem o literaturze, nie literaturą — snem niekiedy bardzo pięknym — były utwory Kochanowskiego, Sępa, Szymonowica, Skargi, Potockiego, Staszica, Krasińskiego, Karpiń-

skiego. Trzeba było wielkiego bólu macierzyńskiego — rozbiórów Polski — by urodziła się pieśń i myśl prawdziwie wielka. Mickiewicz wskazał drogę poezji polskiej — drogę nie tylko prowadzącą na wyżyny, ale i odrębną, samoistną, jedynie narodowi polskiemu właściwą. Za nim ruszył pochód twórców wielkich, których dzieła mówiły i mówią światu całemu o niepożytych zasobach i siłach polskiego ducha: Słowacki — Krasński — Norwid — Sienkiewicz — Wyspiański — Przybyszewski — Kasprówicz — Reymont — Żeromski. Wymieniam tylko nazwiska najwymowniejsze... Cztery ostatnie z pośród nich brzmią nam jeszcze w uszach jękiem świeżej żałoby... Reprezentują one — razem z nazwiskiem Wyspiańskiego — drugi — po Mickiewiczowskim — okres świetności naszego piśmiennictwa.

Okres ten — przez teoretyków literatury nazwany okresem Młodej Polski — skończył się już, zamknął całkowicie. Zamknięcie zaś jego zbiega się nie tyle z datami (niemal współczesnymi) śmierci wspomnianych twórców, co z uprzednią — wzmiankowaną już — chwilą zamknięcia Janusowych wrzeczędzy.

Podczas wojny twórczość literacka w Polsce ugorowała — zabłysła dwoma tylko dziełami prawdziwie genialnymi: »Księgą ubogich« Kasprówicza i »Kaligulą« Rostworowskiego. Ale i po wojnie nie rozkwitła odrazu i nie odrazu złoty plon wydała. Przedtem musiała przejść chwile szarzyzny nieowocnej, dla której trafna nomenklatura wydaje mi się tytuł »Przedwiośnia«, jaki niebawem najposępniejszej i ostatniej ze swych powieści nadał Żeromski.

»Zdrój« był pierwszym pobłyskiem — ale przelotnym tylko i mgławicowym, jak rzut bladego, przedwiosennego słońca na kałużę powstałą z niezupełnie jeszcze roztających śniegów. W powietrzu było tylko »jakieś oczekiwanie tęskne i radosne«, jakieś nowe nadzieje. Ludzie łaknęli. Był przednówek.

Ale zamiast upragnionej Nowiny — przyszły zrazu tylko nowinki i nowostki. Gdy prysły kordony wojennych okopów, nastąpił u nas import obcych produktów: nie tylko odzież

i żywności amerykańskiej, ale i obcych haseł, prądów, nierzadko fatalaszków i świecidełek. Dziś futuryzm wraz z prądami pokrewnymi sobie lub współdziałającymi z nim (choć niezawsze przyznającymi się do tego i niezawsze umiającymi zdefiniować własne stanowisko) należy niemal do przeszłości, dzieląc losy każdej zresztą mody, i jedynie w »Zwrotnicy« ujawnia żywotną jeszcze i na swój sposób odrębną fizjognomję; nie chcąc więc o nim, jako o istocie już martwej, wydawać jedynie niekorzystnego sądu, podkreślę niektóre jego zasługi, względnie ważniejsze rezultaty. Oto może się poszczycić nietylko nazwiskami kilku zdolnych przedstawicieli, ale i upowszechniającą się reformą formy wierszowej; co do asonansów, zwycięsko wypierających rymy, zaznaczę tylko, że nie są one (jak się zwykło utrzymywać) nabytkiem obecnego pokolenia, skoro istniały w polskiej poezji średniowiecznej, a istnieją i w poezji ludowej (nie mówiąc o rosyjskiej, która częstokroć w tym wypadku była właściwym wzorem). Godne uwagi były te prądy i przez to, że zasiłyły literaturę pierwiastkami treściowymi, mogącymi stanowić zarodek nowego typu poezji — jednakże w nich same zarodki te nie zdołały wykiełkować i zapuścić korzeni, jako że były onemi prądami niesione... po wierzchu, po powierzchni wody. Jako kontrast przerostu intelektualistycznego, oraz nadmiaru łzawego smętku w poezji okresu przedwojennego pożądana była wszakże bezpośredniość odczuwania i radość życia (choćby i jej wybryki), głoszona przez futuryzm, a tak zgodna z powszechnem odprężeniem nerwów po krwawych zmorach wojny. Bo, choć futuryzm — na innych fundamentach — powstał jeszcze przed wojną, jednakże rumowiska i zwaliska powojenne utorowały mu szerszą drogę, u nas był on — zwłaszcza w fazie początkowej — echem powrotnem, odbijającym się od rozłogów rosyjskich.

Echo to brzmiało wrzawą hałaśliwą — ale nie było li pogłosem wojny światowej i społecznych rewolucyj. Oto bowiem jeszcze przed zamknięciem Janusowej wrótni pojawili się na polskim forum zgiełkliwi kupcykowie, szwargotliwi giełdciarze,

niewidywane przedtem osobniki, podstępnie przywłaszczające sobie prawo własności i dziedzictwo tyck, co tymczasem za ojcowiznę swą — mowę swą i ziemię — stawali w potrzebie; pojawili się ludzie o giętym wprzód karku, którzy panoszyli się w opustoszałej dziedzinie i urządzaniem cyrkowych igrzysk kupowali sobie rozgłos wśród tłumu. »Rząd dusz«, o który trudem swojego żywota dobijał się był Mickiewicz, dostał się w ręce tych, którzy ludzili Polskę cudzemi błyskotkami, czyniąc z niej znowu pawia i papugę. Tradycja poezji prawdziwie polskiej się przerwała. W zgiełku trudno było się dopytać o drogę.

I jeszcze inna wrzawa pomnażała chaos. Wrzawa »potępieńczych swarów«, walk partyjnych i zacierzwionego politykierstwa, nigdy prawie nie sprzyjająca rozwojowi poezji; słusznie uciekał przed nią niegdyś Mickiewicz. Plaga to zaraźliwa i zgubna; zdolni — piękną przeszłość mający — powieściopisarze, dramaturgowie, krytycy literaccy ulegli jej i talenty swoje pomarnowali dla spraw błahych, efemerycznych, nieistotnych. Niestety, nie brak i takich, którzy w tej właśnie abnegacji chlubę dla siebie upatrywali...

Lecz, prócz chaosu, wojna przecie przyniosła i nowe pierwiastki twórcze — boć sama stała się tematem. Pojawiło się (i jeszcze pojawia) sporo tęgich nowel i powieści, osnutych na jej tle; Małaczewski dobry dał początek, zaś Goetel (nie — tyle zagranicą sławny — Ossendowski) tchnął w swe przeżycia wojenne największy zasób swego samorodnego talentu — talentu, dla którego niestety złym prognostykiem są dwa ostatnie jego dzieła. Pęd podróźniczy, przyniesiony z »Wiatrem od morza« też już wywołuje utwory conajmniej ciekawe. Nowe, powojenne ustosunkowanie się warstw społecznych również bywa literacką podniętą; powieści obyczajowych współczesnych mamy jeszcze stosunkowo mało (Perzyński, Nałkowska, Choynowski) i są one przeważnie poświęcone warstwom inteligentnym — powieści i nowele o chłopach i robotnikach (Grzymała-Siedlecki, Gwiżdż, Dąbrowska), należą do rzadkości. Zjawiskiem prawie nowem są

nowele i powieści bio- i autobiograficzne (Kaden, Bandrowski, Zegadłowicz i inni). Nową treść w nowelę i powieść tchnął Grabiński.

Nie ożywiła wojna w wysokim stopniu twórczości dramatycznej poetów. Dziedzina ta opustoszała zapewne wskutek konkurencji kinematografu. Namnożyło się banalnych »lekkostrawnych« pigulek komedjowych, zawsze z etykietą francuską... a było to w czasie, gdy Żeromski w »Ponad śnieg« i »Turoniu« (nawet i w »Przepióreczce«) ukazywał narodowi nieuśpione jeszcze widma...

Liryka stała się zjawiskiem niemal nagminnem, jednak jeżeli gdzie, to tu właśnie rozpanoszył się z jednej strony snobizm, z drugiej system protekcyjny; poeci niewątpliwie mocno utalentowani (Wierzyński, a zwłaszcza Tuwim) znajdują adherentów i naśladowców, tuczących się ich dorobkiem i sławą, a niekiedy tworzących niejako spółkę wzajemnej reklamy; słyszało się i głosy, jakoby to oni właśnie byli pierwszymi (z wieku i urzędu) poetami na całym obszarze dziejów Polski. W tym to czasie w zacisznym domku podhalańskim pisał — prawie na łożu śmierci — swe genialnie proste i skromne strofki Jan Kasprowicz... jeden z prawych dziedziców myśli, przez Mickiewicza poczętej, a wyrosłej i zagłębianej korzeniami w podłożu swojej, rodzimej, polskiej kultury.

Rodzimość jest pokrewna oryginalności nawet z etymologicznego punktu widzenia (łacińskie *origo*). Prawda-ć, że kraj żaden, ani naród, tem mniej zaś prowincja lub grupa etnograficzna, nie jest jeszcze ostatecznym celem i wszystkim dla człowieka; ponad wszelki patryjotyzm, lokalny czy nacjonalny, rzeczą o wiele wznioślejszą jest (jak dawno wiadomo z Ewangelij chrześcijańskich) miłość ludzkości całej i służenie jej pożytkowi.

Służyć całej ludzkości powinna i poezja. Jednakowoż tak pojęty uniwersalizm (nie chcę bynajmniej wszczynać dyskusji w sprawie tak modnego dziś hasła) nie powinien się wyrażać

w u n i f o r m i z m, który, koniec końców, prowadzi do szablonu, mechanizacji, a tem samem do zabicia wszelkiej twórczości i oryginalności; cóż bowiem się stanie z poezją, gdy na jedno kopyto pisać będą wszyscy pisarze u nas i w Australji? Będzie to legalizacja powszechnego plagiatu, będącego przeciwieństwem poezji (*poiesis* znaczy: tworzenie). Mają więc głęboką rację bytu wszelkie regionalizmy — a regionalizmem jest również wyodrębnianie specjalnego, swoistego typu poezji polskiej, niemieckiej, angielskiej i innych; w ich — ciasnych może — granicach wypracowuje się bowiem twory odrębne, które mogą i mają służyć ludzkiemu *universum*. Chcąc dzwon utworzyć, nie leje się bronzu w ocean bezbrzeżny, lecz w wąską formę — a on i tak da o sobie znać szerokiemu światu swym dźwiękiem. Astronom, chcąc obserwować i opisywać zaziemskie przestrzenie świata, zamyka się w murach dostrzegalni — a i tak zobaczy więcej, niż człowiek biegający po wielkim placu; niech sobie mówi, kto chce o ciasnocie umysłu astronoma.

To też oparcia się o rodzimą podstawę — o tradycję, wierzenia, psychologię i przyrodę swego narodu i kraju — nie wstydzili się najwięksi twórcy polscy, którzy z niej właśnie dochodzili do wyżyn ponadludzkich i ponadziemskich. Z regionalnych kręgów wyszła najpiękniejsza z kultur ludzkości — piastunka innych kultur — kultura grecka, która miłościwie przygarnęła do siebie całą ludzkość w tylu jej pokoleniach... Nie powinniśmy murem chińskim wyodrębniać się od innych kultur — owszem powinniśmy je poznawać (nietylko powierzchownie, ale i głębiej!) i przyswajać sobie to, co godne przyswojenia; jednakże powinniśmy też (i przedewszystkiem) korzystać z wielkich zasobów, tkwiących w nas samych, w bliższym naszym środowisku, w naszej glebie. Powinniśmy nawiązać przerwana pracę i tradycję wielkiej poezji istotnie polskiej.

O zasobach tych — niewyzyskanych — pisał Żeromski w bezładnej może, ale rozumnej książce »Snobizm i postęp«. Omawiał tam doniosłe wysiłki polskich uczonych — historyków,

językoznawców (zwłaszcza najzasłużeńszych: Łosia, Nitscha, Brücknera, Rozwadowskiego) — wskazywał potencjalne czynniki, kryjące się w baśni ludowej — w etnologji — w dziejach naszych — w mowie naszej. Zasobów tych znacznie jest więcej. Umiejmy tylko — i chciejmy — je znaleźć. Wierzmy w to, że poezja polska umie nie tylko być echem cudzem, ale że umie też innym — swój ton nadawać!

Józef Birkenmajer

DZIAŁ SPRAWOZDAWCZY

BELETRYSTYKA, POEZJA, PRZEKŁADY

Stanisław Bąkowski: „Gawędy z Panem”. Kraków 1926.
— „Ścieżki ułomnych”. Kraków 1926.

— „Oczy godzin”. Poznań 1927.
Wiersze Bąkowskiego — szorstkie i zgrzytliwe — mają odrębną wymowę, choć w treści dadzą się uchwycić gdzieś może odźwięki Zegadłowicza, Kasprowicza i dawniejszego od nich Syrokomli, — jednakże „Gawędy” owe, czy to z Panem, czy też z ludźmi — ślepcem, niemy i głuchym — wydarły się naprawdę z głębi duszy (a głębi jest w nich sporo). Obok mocno pierwotnej brutalności spotykamy w nich (zwłaszcza w „Ścieżkach ułomnych”) subtelne wyczuć rzeczy, niespostrzegalnych dla ogółu ludzi, choćby mieli wzrok, słuch — i gładką mowę. *J. Birk.*

Piotr Choynowski: „Młodość, miłość, awantura”. Gebethner i Wolff 1926.

Tytuł jest jakby sylogizmem: młodość i miłość są przesłankami, awantura konkluzją. Młodość tu

nietyle „wylatuje nad poziomy”, ile rozбивa się po świecie, bo szeroką naturę ma urodziwy Rosjanin („i z Paliakow”) Lewicki, anarchista nietyle z przekonania, co z usposobienia. Sekunduje mu przez czas jakiś („o tyle, o ile”) Tadeusz Brzeski, spotykając się z nim wśród dziwnych okoliczności — to w Szwajcarii, to na okręcie, wiozącym żołnierzy rosyjskich, to na Ukrainie (gdzie Lewicki jest atamanem), to w Moskwie bolszewickiej. Wypadki wojenne i rewolucyjne, przesuwające się w żywym tempie, mają cechy istotnego przeżycia; jedynie ofensywę brusiłowską mylnie umieszczono — po rewolucji. Z licznego zastępu figur drugorzędnych plastycznie nakreślone zostały zwłaszcza dwie: chana Pietrowa i szofera Jegora. *J. Birk.*

Marja Dąbrowska: „Ludzie stamtąd”. Cykl opowieści. Warszawa 1926. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Pod koniec książki, zatytułowanej „Uśmiech dzieciństwa” — w no-

welce „Piosenka“ — Marja Dąbrowska odnalazła dla siebie nową, a właściwszą dziedzinę twórczości. Wyszedłszy z dziecięcego pokoiku na podwórzec dworski, przyjrzała się doli-niedoli dziwnego społeczeństwa, składającego się z dziewczuch, bab starych, fernali, pastuchów, a także i psów i bydła. W opisywaniu tego życia dwóch miała poprzedników, ale od obu różni się sposobem ujęcia rzeczy; Bartkiewicz patrzył na podwórze z ganku dworskiego, Wiktor z punktu widzenia najniższego z proletariuszów: psa podwórzowego. — Dąbrowska stanęła pośrodku, koło czworaków czeladnych. „Ludzie stamtąd“ — to jedna gromada, jedno jakoby koło tych samych osób (Maryna, Ślupecki, Dionizy i i.) tylko, że jak w jakimś tańcu — smutnym zresztą, nie hulaszczym — to jedna, to druga osoba (lub para) naprzód się wysunie ze śpiewką o swem życiu, a inne tylko jej wtórują pomrukiem lub przytupywaniem. Dlatego książka ta, w treści swej bardzo spoista i symetryczna, słusznie została nazwana nie zbiorkiem nowel, ale cyklem (kręgiem) opowieści — można ją nazwać i powieścią. Język — nawet w gwarze ludowej — wprowadza autorka odrębny, nie mający dotąd wzoru w literaturze, co najwyżej spokrewniony nieco z językiem wczesnych nowel Reymonta, do których ponadto zbliżają się „Ludzie stamtąd“ surowym — często brutalnym — realizmem, a niekiedy i szczegółami. *J. Birk.*

Juljan Ejsmond: „Bajki“.

Nakładem autora. 1927.

Utarło się przekonanie (w podręcznikach literatury i w głowach uczonych), że bajka jest już rodzajem literackim skostniałym, który nie może dać nowych wątków nad te, które przekazał nam Ezop

i jego kolejni plagjatorowie, z Fedrusem i Lafontaine'm na czele; mogą być rzekomo tylko różne formy opracowania (epigramatyczna, charakterologiczna, lub też gawędziarska...), ale treść bajki i typy jej osób muszą być stereotypowe. Pogląd taki mógłby mieć pewne uzasadnienie w teni, że człowiek nowoczesny coraz to bardziej zrywa bliskie pożycie ze zwierzęciem: dziś można spotkać ludzi, którzy nie widzieli innego ptaka jak wróbla (gęś i kurek tylko czasami na półmisku), za lat sto do mitologii przejdzie koń-zwierzę, wyrugowany doszczętnie przez konie parowe i motory. Niemniej jednak powyższy pogląd historyków literatury uważać należy za mylny: że ludzka inwencja czasem za leniwa jest na wysiłek w dziedzinie bajki, nie wynika stąd, by nikogo nie było stać na nowe pomysły. Dowodem tego literatura polska, która ma nie tylko Krasickiego (Trembeckiego przechwalono niezasluzenie), ale niedocenionego w tym względzie Mickiewicza i Lemańskiego. Ci wyrażają odrębny typ bajki polskiej — pierwszy stworzył bajkę dowcipnych kontrastów (mówię o pierwszym tylko zbiorze jego bajek, bo drugie są nieoryginalne, Lafontaine'owskie), następni — bajkę kalamburów, opartą na rodzimych przysłowach, dwuznacznikach... i stosunkach, zwłaszcza politycznych. Ejsmond, niegdyś wydawca antologii bajek polskich, przeszedł w tej dziedzinie dobrą szkołę, więc dowcipem włada zręcznie. Tematu dostarczyły mu w obfitości stosunki dzisiejsze, zwłaszcza panujące w biurokracji; w polityce poeta stara się być neutralny. Myśliwskie upodobania Ejsmonda dały mu ponadto możliwość zasilenia bajki nowymi, jeszcze niewyświechtanymi szczegółami z życia zwierząt.

J. Birk..

Józef A. Gałuszka: „Gwiazda komandorji”. Gebethner i Wolff 1925.

— „Ludzie bez twarzy”. Gebethner i Wolff 1927.

W poezji Gałuszki zaczął się zwrot: autor „Uśmiechów Boga” narzucił sobie — niewiadomo czy jako wewnętrzną konieczność — motywy urbanistyczne o tonach przeważnie posępnych, bolesciwych. Jednocześnie zaczął wyrabiać sobie formę rytmiczną, polegającą głównie na onomatopejach. Dała ona pewne efekty w „Szarży ułańskiej”, „Ahaswerach” i w innych. Autor traci jednak często umiar i prostotę, to też nie wszystkie utwory są jednako przekonujące, a za często pretensjonalne.

J. Birk.

Stefan Grabiński: „Salamandra”. Poznań—Lwów. Nakład Wydawnictwa Polskiego 1925.

— „Cień Bafometa”. Lwów. Zakład Nar. im. Ossolińskich 1926.

Dwie pierwsze powieści Grabińskiego świadczą, że autor jest z powołania przedewszystkiem nowelistą; w czasie ich lektury wydaje się nam zrazu, jakoby akcja pozbawiona była spójności i stanowiła szereg luźnych epizodów, z których każdy tworząc sam dla siebie samodzielną całość, zamyka się w jednym rozdziale — rzechy się chciało: w jednej noweli — i dopiero pod koniec spostrzegamy, że niemal wszystkie nici, napozór rozbieżne, zawiązują się (i to zgoła nieoczekiwanie) w jeden silny węzeł, spostrzegamy, że założenie całego dzieła jest jednolite i to nawet nader proste. Epizodem istotnie luźnym jest tylko w „Cieniu Bafometa” pierwsza połowa „Pamiętnika Tad. Wrześniana”, coś w rodzaju para-

bazy, gdzie autor sam od siebie wypowiada parę słów gorzkiej prawdy swym dotychczasowym krytykom. Ta polemika jest wtórną głębszego konfliktu dwu prądów: materjalizmu i mistycyzmu, reprezentowanych przez ministra Praderę i poetę Pomiana. Tajemna władza Zła, która w osobie „Salamandry” triumfowała tylko nad jednostką, w „Cieniu Bafometa” triumfuje chwilowo nad masami ludu, skupionymi w ascetycznej procesji. Wprowadzenie bocznych scen zbiorowych i szeroko pomyślnych kompozycji — to nowa zdobycz talentu Grabińskiego, który ponadto dał szereg nowych i niezwykłych pomysłów: pewne pomysły jednakże zaczynają się już powtarzać, zwłaszcza owo tajemnicze znikanie domu, który był widownią najbardziej intrygujących zdarzeń (w „Salamandrze” dom Wierusza, w „Cieniu Bafometa” dom Kuternówki), co już spotykało się w nowelach Grabińskiego.

J. Birk.

Ferdynand Goettel: „Z dnia na dzień”. Nakład Gebethnera i Wolffa 1926.

Paralela dwóch opowiadań: jedno o zdarzeniach przeszłych, drugie o współczesnych; jedno ujęte w formę powieści, drugie w formę pamiętnika. Ale oba wiążą się z sobą — i to ściśle — „tematem bliskim a niepokojącym”, oba uzupełniają się wzajemnie niemi zdarzeń (tragedja Marusi); co więcej, wspólną mają zarówno metodę pisania, jak i myśl przewodnią. I powieść i pamiętnik pisane są „z dnia na dzień”, stanowiąc dla siebie wzajemne intermezja; „z dnia na dzień”, bez oglądania się na jutro, żyją prawie wszystkie występujące tu osoby — zarówno w pożodze czasów wojennych, jak i w gwałnym toku lat powojennych. Pamiętnik

obfituje w uwagi krytyczne i spostrzeżenia dotyczące powieści; to ustosunkowanie się autora do własnego dzieła przypomina nieco „Pałubę” Irzykowskiego z tą jednak różnicą, że u Goetla te autorecenzje nie są celem utworu. *J. Birk.*

Artur Górski: „Śluby”. Dramat. Nakład Księg. Św. Wojciecha 1927.

Z trzeciej części „Dziadów” i z „Kordjana” poczęty to utwór — dramat — nie-dramat. Jeszcze jedno pytanie — bolesne i dogłębne — rzucone w sprawie męczeństwa Polski pod władzą caratu... Pytanie, które dziś brzmi tylko jak echo... „Niepoprawni romantycy” — określa jedną z osób dramatu generał-gubernator rosyjski. Ale słowo i pojęcie „romantyzmu” — tak przez niektórych oplwane — różne miało znaczenie dla różnych ludzi; bywali i tacy, dla których było ono złotym kielichem — nietylko sztuki jubilerskiej — ale i krwawej, a tem samem żywotnej, ofiary Przeistoczenia: do takich należy i Górski. Z licznych postaci dramatu najsilniej do czytelnika — czy widza — przemówić powinna wzniosła postać cierpiénicy — Joanny. *J. Birk.*

Juliusz Kaden-Bandrowski: „Miasto mojej matki”. „W cieniu zapomnianej olszyny”. „Europa zbiera siano”. — Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Twórczość Kadena-Bandrowskiego była w swoim czasie zanadto obarczona — zarówno pod względem stylu, jak i treści. W samą więc porę przyszła odmładzająca kuracja woronowska, w postaci dwóch tomików wspomnień o latach dziecinnych. Choćby i prawdą było, co zdarzyło mi się słyszeć, że natchnieniem obu książek były fel-

jetony starszego Bandrowskiego, drukowane przed laty w jednym z pism lwowskich, jednakże niepospolite walory tej Kadenowskiej „Dichtung und Wahrheit” są niewątpliwie własną zasługą jego talentu — i jego życia; bo dobrze bywa, gdy twórca czerpie z tego, co naprawdę przeżył (nietylko widział lub jedynie słyszał) — utwór jego sięga wówczas w głąb, zarówno plastycznie jak i ideowo, a jednego i drugiego pogłębienia nieraz przedtem brakło utworom Kadena. Odbiło się to odświeżenie tematu dodatnio i na stylu, który w znacznej mierze wyzbył się dawnej — zapewne oryginalnej, ale niezawsze odpowiedniej, chropowatości. Liryczna nuta w „Kukułce” będzie budziła oddźwięk w duszy czytelnika pod każdym „znakiem czasu” — boć efemeryczna bywa wszelka aktualność (zwłaszcza w powieściach), ale ból ludzki jest nieśmiertelny. Niepotrzebne są dygresje — „refleksyjne” czy nie „refleksyjne”, w każdym razie retoryczne i kaznodziejskie; przypominają one gwałtem czytelnikowi, że zajęciem autora była swojego czasu publicystyka. Ten sam ton — od którego Kaden, o ile ceni swój talent, odstąpić stanowczo powinien — brzmi w impresjach wojażerskich (nie podróźniczych!) p. t. „Europa zbiera siano”. Oj, siano, siano! — głosi pieśń staroświecka... Są może tacy, dla których stanowiąc ono będzie obrok duchowny, we mnie jednak obudza jeno — senność. Takie czuło-szumne deklamacje o Weimarze i Goetem (ze sporą jednak dozą trafnej ironji) czytałem już przed laty w „Listach” śp. A. E. Odyńca. Spotykamy tu — na innem miejscu — i drugą „rozmowę umarłych” ze Słowackim, i trzecią — z Conradem; niestety Kaden to nie Lukjan. Zadużo tego patosu i taniej

grandilokwencji! Takie to... bania-
ste, jak ten Panteon, do którego au-
tor w przystępie szczerości — choć
skromnością jej nie nazwę — przy-
równywa swą zasługę. Zasług nie
odmawiam — talent Kadena-Ban-
drowskiego jest nieprzeciętny —
jednakże sędzę, że pisarze, którzy
dźwigają na sobie brzemień sławy,
nie powinni się pod brzemieniem
tem — zniżać wdół. I powinni też
wysłuchać się w siebie samych i roz-
ważyć, co w nich naprawdę jest
oryginalne, słuszne i trwałe.

J. Birk.

J a n K a s p r o w i c z: „Mój świat,
pieśni na gęśliczkach i malo-
wanki na szkle“. Warszawa
1926. Instytut Wydawniczy Bi-
blioteka Polska

Pierwszy z naszych wielkich poe-
tów, przed czterema prawie wieka-
mi, z dumą o sobie pisał, że „wdarł
się na skałę pięknej Kaliopy, gdzie
dctychczas nie było śladu polskiej
stopy“. O twórcy „Hymnów“ mo-
żna powiedzieć, że wdarł się na
wyżyny, gdzie przez długi czas po
nim (obym fałszywym był proro-
kiem!) nie postanie stopa drugiego
poety polskiego.

Ale „Hymny“ — to nie suma wy-
powiedzeń się twórczych Kaspro-
wicza. Miał on — jak przed nim
Mickiewicz — chwile, gdy „wolniej
o struny uderzał i z hymnu zstę-
pował do prostej powieści“. Doszedł-
szy w „Chwilach“ do złagodzenia
bólów i zwątpień, szarpiących mu
duszę, Kasprovicz — a było to
w czasie, „kiedy reszta świata we
krwi i łzach tonęła“ — napisał
„Księgę ubogich“, przedziwny poe-
mat miłości ku światu całemu —
ludziom i przyrodzie. Dalszym cią-
giem, jakby drugą „Księgą ubo-
gich“ jest ostatni zbiorek poetycki
Kasprowicza, zatytułowany „Mój
świat“.

Zbiorek ten możnaby nazwać
drugą „Księgą ubogich“ także i dla-
tego, że główną rolę w niej odgry-
wają zastępy „ludzi ubogich“ —
jakże pokrewne „Powsinogom bes-
kidzkim“! Są tu więc druciarczyki,
pastuszkowie, dziady kalwaryjskie
i najbiedniejsi ze wszystkich — „ba-
raby“, robotnicy miejscy; są cyga-
nie i złodzieje... jest stary warjat
Misiaga, jest niedorajda Kubań-
czyk, jest kobziarz Mróz i świąt-
karz Wojciech Dłuto, kum Wowro-
wy; jest i zakrystjanin Palica, co
świątków okurzał, Panjezusowi bro-
dę na święto golił i ze świętym
Franciszkiem rozmawiał...

W tych pieśniach — prostych,
gęślikowych — nieraz odzywa się
przecucie rychłej śmierci... prze-
czucie jakże rychło spełnione!...
Jakże wiele ucichło z tą pieśnią!...
„Wracamy z jego pogrzebu weselni
grajkowie niezdarni!“... J. Birk.

W a n d a M i ł a s z e w s k a: —
„O złoty włos“. Powieść. Na-
kład Księgarni św. Wojciecha.
Poznań 1927.

— „Zatrzymany zegar“. Powieść.
Ibid. 1926.

Obrazki miłe, prawie zawsze po-
godne, nie naginające się do panu-
jącej mody takiej czy owakiej. Au-
torka lubi przebywać w nastrojach
epoki nieco dawniejszej — rzeko-
mo szczęśliwszej i lepszej, jak to
już nieraz mówiono od wieków.
Stara Balbina jest już może ostat-
niem literackim wspomnieniem
czaru owego środowiska, które
niegdyś *com amore* opisywała np.
Orzeszkowa. Nawet ta „powojenna“
powieść, kusząca złotym włosem
„pani Ryśki“, ma przecie swoją Ma-
rychnę, wprawdzie nie Połaniecką,
ale Halicką; oddać ją wszakże mo-
żna za jej młodszą siostrę „Wan-
dzię, co pisze pamiętnik“.

J. Birk.

Zofja Nałkowska: „Romans Teresy Hennert“.

— „Choucas“. Powieść międzynarodalna. Gebethner i Wolff.

Autorka nazwała jedną rzecz romansem, drugą — powieścią, jakby chcąc wskazać różnicę w nateżeniu akcji obu utworów; właściwie jednak obie nazwy niezupełnie są ścisłe, zwłaszcza jeżeli pierwszą z nich weźmiemy w znaczeniu potocznym, jako nazwę powieści o zawikłanej intrydze miłosnej. Akcja bowiem sama, o ile przez nią rozumieć będziemy obfitość i różnorodność wiążących się z sobą wypadków, jest w obu dziełach nader prosta — i nie o nią to, zdaje się, autorce przedewszystkiem chodziło. Albowiem szczególnie uderza nas wielka rojność i różnorodność osób, „wśród których czasem niewiadomo którą nazwać „główną“ (np. w „Romansie“ taką osobą główną zrazu wydaje się Gondził, nie Omski), gdyż scharakteryzowane tego są wszystkie. Wskutek tego szerokiego rozpięcia tła (choć na niewielkiej przestrzeni) obie książki stanowią jakby miniaturowy obraz społeczeństwa powojennego: — specjalnie polskiego w „Romansie“, kosmopolitycznego w „Choucas“. I rzecz ciekawa: w pierwszej z tych książek autorka częściej dawała wyraz odrazie, w drugiej — współczuciu...

J. Birk.

Artur Oppman (Or-Ot): „Poezje“. Tom I. Stare Miasto. Tom III. Pieśni o sławie. Wydanie zupełne. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Artur Oppman był przed laty jak jego legendarny imiennik, królem Okrągłego Stołu wzajemnej adoracji — stołu tak okrągłego, że formą zbliżonego niemal do zera; w każdym razie przyznać należy, że był w tem kole jedynym zdolnym poetą, szkoda tylko, że wkońcu wła-

śnowolnie zdegradowanym na stanowisko składacza powinszowań i wierszyków okolicznościowych. Dziś, gdy się twórczość jego już zamknęła, urządzono pokaz jej muzealny — czy też, jak kto woli, retrospektywny, — inicjując zbiorowe (pewno jubileuszowe) wydanie oppmanowskich „Poezji“.

Zaczęto od najlepszego zbioru, który jest głównym tytułem sławy Or-Ota, — od „Starego Miasta“. Przebarwna to książka i żywego sentymentu pełna. Zaludniły ją przemile postacie: cechmistrz Ilalabarda, szewc Onufer, Maciejowa z Bartłomiejem, ksiądz kanonik Kropidło, rotmistrz Jacek Cholewa i tylu innych... Wszystko przeważnie typy wymierające lub już wymarłe — i tylko w tej poezji jeszcze żywe. Ba, życie tu mają nawet te mury, zmurszałe często i brudne, na które poeta patrzy okiem miłującego dziecka. I nawet nas to nie razi, że gawędziarski ton, tak nieraz przypomina Pola i Syrokomlę; nawet to, że zdarzają się liczne powtarzania tych samych motywów; ten tomik utworów młodego niegdyś Or-Ota zdolny jest nas — dzisiaj młodych — jeszcze zająć i rozrzewnić, jak gadulstwa starego, kochanego dziadunia. Natomiast powiedzieć tego nie można (mimo całej czci i uznania dla zawartych tam uczuć) o zbioru „Pieśni o sławie“. Książka to dla ludzi starszych — dla zeszłego pokolenia, które żywiło się poezją krwawą i łzawą, pozostałą z dziedzictwa trzech wieszczów. Dziedzictwo to wycisnęło silne znamię na patryjotycznych pieśniach Or-Ota. Nieraz tu powtarzają się myśli, słowa, ba, całe wiersze z Mickiewicza, Krasińskiego, a zwłaszcza Słowackiego; weźmy dla przykładu taką „Świętą Helenę“, która powtarza (nb. obok Lermontowskich) moty-

wy znanego wiersza „Na sprowadzenie zwłok Napoleona“, albo taki „Koncert Chopin'a“, stanowiący silne echo (choć mniej niewolnicze niż „Mocznacki“ Lechonia) „Koncertu Jankiela“. *J. Birk.*

Stanisław Przybyszewski: „Moi współcześni“. Wśród obcych. Biblioteka Polska 1926.

Jest to dopiero część pierwsza zamierzonego dzieła; część druga miała objąć okres życia i twórczości Przybyszewskiego po r. 1898. Rok ten jest datą przełomową dlatego, że w nim to Przybyszewski zaczął pisać po polsku, co więcej, stanął na czele polskiego pokolenia literackiego. Tytuł cz. I. „Wśród obcych“ po części tylko jest uzasadniony, bo w pierwszych rozdziałach opowiada autor nietylko o ziemi swej rodzinnej — kujawskiej — ale i o „swoich współczesnych“ rodakach (Kasprówicz, Rabski i i.). Zresztą i tam, gdzie opisuje swój „Sturm und Drang“ w Niemczech i Skandynawji, wspomina i o tem, jak „Dusza i na dniu i w nocy wyrzynała się do Kujaw lub na Pałuki, do wągrowieckich jezior — nad Gopło i Noteć, Wełnę i Durrowskie jezioro“... I ciekawe jest to wyznanie: „Ja wiem, że język do tego stopnia opanowałem, jak żaden z Polaków przedemną — to śmiało mogę twierdzić — nigdy nie doszedłem do tego, by po niemiecku myśleć: wszystko, co w niemieckim języku pisałem, było tylko niesłuchanie szybkim tłumaczeniem polskiego tekstu — tego wszystkiego, com w polskim języku myślał“.

Księga cała jest nietylko pamiętnikiem — jest to w bogactwie szczegółów wprost dokument (może ostatni i ostateczny) zamkniętego już okresu literatury światowej... u nas zwał się on Młoda Polska. Jednakowoż głęboka nuta serdeczna, przenikająca zarówno wątek

historyczny, jak i dygresje (o sataniźmie, gotyku etc.) czyni z rzeczy całej prawdziwy utwór poetycki — jeden z najlepszych, jakie napisał Przybyszewski *J. Birk.*

Wł. St. Reymont: „Bunt“, „Baśń“. Nakład Gebethnera i Wolffa 1925.

Powieść ta ma dwa kapitalne momenty, w pewnej mierze sobie odpowiadające: jeden, gdy pólgłówek Niemowa przedmiotem swych uczuć czyni lalkę; drugi — gdy przeciw człowiekowi zbuntowane zwierzęta, chcąc kres położyć bezhołowości, oddają cześć małpie, „uczynionej na podobieństwo“ człowieka. Dla tych dwóch momentów, pełnych oryginalnej ironji, warto było napisać powieść; przyznać też należy, że „Bunt“ jest pod każdym względem dziełem lepszym od utworów bezpośrednio go poprzedzających („Księżniczka“): — jest w nim moc zamaszystych, soczystych zwrotów, które zasługują na to, by wejść w przyszłość, są też i epizody doskonale w barwie i ruchu (wymarsz zbuntowanych zwierząt). Mimo wszystko jednak „Bunt“ nie należy do najlepszych dzieł Reymonta. Charakterystyka postaci zwierzęcych jest błada, czasem wprost konwencjonalna: główny bohater, Rex, przedstawiony jest pod względem „psy-chologicznym“ bardzo niekonsekwentnie (jednocześnie bywa tchórzem i zuchwalcem itp.); druga wybitna „osoba“, wilk Kulas, jest poprostu kopją Kiplingowego tygrysa Shere-Khana. *J. Birk.*

Tadeusz Rittner: „Most“.

Powieść. Inst. Wyd. Biblioteka Polska 1926.

Autor „Głupiego Jakóba“ wziął pod obserwację znów Jakóba, tym razem mądrego, tak mądrego, że aż przemądrzałego — — dziecko, co „nie hasa na kijku, nie bawi się lalką, nie kradnie łakoci, nie oble-

wa łzami wszystkich liter od A do Z". Nie jest to jednakże sobowtór Orcia. Nie na poetę-snowidza się wychowuje, lecz na inżyniera — i za przykładem swego przyjaciela-inżyniera (i więcej niż przyjaciela — mogłaby o tem powiedzieć coś niecoś Jakóbową matka Eugenia), myśli o przedmiotach „trzeźwych“, „suchych“, „ścisłych“: o elektrotechnice itp. Jednakże ta właśnie „trzeźwość“ i „ścisłość“ wiedzie go na bezdroża wybujałej fantazji. Nie zdołał Jakób „przejsć“ na drugą stronę mostu, który miał połączyć odległe części świata — przeszkodą stała się przysłowiowa „dziura w moście“, a raczej w umyśle chłopca. — Natomiast autor sam wyszedł zwycięsko z wszelkich komplikacyj technicznych swej powieści; konstrukcja „Mostu“ jest sumiennie przemyślana od najdrobniejszego szczegółu. J. Birk.

K. H. Rostworowski: „Antychryst“. Tragedja w trzech aktach. Lwów—Poznań. Nakładem Wydawnictwa Polskiego 1925.

W „Judaszu“ i „Kaliguli“ — najwspanialszych dramatach, jakie pojawiły się w Polsce od śmierci Wyspiańskiego — Rostworowski podejmował wątki starożytne, by następnie poprzez „Zmartwychwstanie“, a poniekąd przez „Miłosierdzie“ i „Straszne dzieci“, przybliżyć się ku współczesności. Jednakowoż ów pochodź dzieł ma jeszcze inne znaczenie: oto pierwsze z nich były dramatami *jednostek*, występowały w nich wprawdzie tłumy, ale tylko w charakterze reżyserskiego akompanjamentu; późniejsze dramaty biorą już za treść zagadnienia *ogólniejsze*, dotyczące społeczeństw i narodów. W tym sensie jest to *gradatio a minore ad maius*. Natomiast — niestety — wprost odwrotną *gradację*

odbył tymczasem wielki talent poety, gdyż „Antychryst“ — mający treść rozleglejszą, bo narodowo i międzynarodowo-społeczną — nie dosięga poziomu artystycznego „Miłosierdzia“. Szkoda, niezmienna szkoda, bo w samym dramacie są miejscami potencjonalne zasoby, które mogłyby go postawić obok „Nieboskiej“ Krasńskiego i „Ponad śnieg“ Żeromskiego. Obóz rewolucyjny (snać autor nie widział go nigdy zbliżka) przedstawiony jest stereotypowo; jedynie w dramacie *jednostki* (choć tym razem nie on był ponoś osią zamierzeń Rostworowskiego) są momenty wstrząsające nieco silniej — mówię o hamletycznej sytuacji lokaja Józefa.

J. Birk.

Wacław Sieroszewski: „Miłość Samuraja“. Warszawa 1926. Nakł. Tow. Wydawn. „Rój“.

Literatura japońska jest bogatą skarbnicą legend, baśni i romanśów, często bardzo dawnych, które powinny kiedyś w Polsce znaleźć godnego tłumacza. Cieszyć się więc należy, że jeden z tych romansów (z XVII w.) opracował tak świetny pisarz i tak świetny znawca Wschodu, jakim jest Sieroszewski. Tytułowym samurajem jest „ronin“ (błędny rycerz) Gompaci, zostający pod klątwą krwawej vendetty, a jego miłością uroczą Komurazaki, imienniczka bohaterki — jednej z nowel Reymonta. Powieść cała — czy przeróbka powieści — tchnie urokiem romantycznym. Język jej jest subtelny, pięściwy, melodyjny, do czego niemało przyczyniają się wtrącone tu i ówdzie wyrazy i zwroty z pięknej mowy japońskiej. Gdziekolwiek trafiają się rusycyzmy, np. stałe używanie „a to“ zam. „w przeciwnym razie“. Strukturę powieści psuje nieco, przydługie opowiadanie Sanzy. J. Birk.

Wacław Sieroszewski:
„Dalaj-lama” (2 tomy). Inst.
Wyd. Biblioteka Polska 1927.

Krwawa fala rosyjskiej rewolucji załamuje się o rubież tajemniczej Mongolji, krainy „Białego Boga”, — wyrzucając na tamten brzeg szczątki ludzkiego mienia i garstkę rozbitków. Przed rozszalałą czernią ucieka dwoje ludzi, brat z siostrą, ma się rozumieć Polacy; o n a przebrana, ponieważ autor jednak nie uczynił jej — niemową, stąd nieraz nie chce nam się wierzyć, że jej przez czas tak długi po głosie nie poznano. Ale wkońcu poznano — i ratuje ją tylko wszechmocne „Ommani-padmé-chum” — przerobione przez przybłędę — Maćka na „Ommani-podmuchi”. To słówko magiczne przywodzi nam na myśl F. A. Ossendowskiego, a jest tu i Urga i Ułaszutaj i sam „krwawy baron” Ungern v. Sternberg, a nawet żywy Budda. Najwięcej zaciekawiającej treści zawierają stronicę, na których mowa o zakulisowych sprawach klasztorów lamaistycznych, gdzie więziona była przez czas pewien owa Polka, uważana za „Białą Darichu”. W barwnie przedstawionym obozie mongolskim wybijają się postacie starej Geriltu oraz młodego Szagdura, nakreślone z doskonałą pewnością rysunku. Mniej szczęśliwą figurą w powieści jest np. spadły z samolotu Domicki (po „Urodzie życia” druga to katastrofa lotnicza w naszej literaturze!).

J. Birk.

Leopold Staff: „Ucho igielne”. Warszawa 1927. J. Mortkowicz.

Tytuł ewangeliczny — i treść przeważnie ewangeliczna; już to samo czyni nam ten tomik niezmiernie bliskim. Niewszędzie poeta umiał się zdobyć na ewangeliczną prostotę, dlatego też nieraz za-

prawdę przeciska się przez ucho igielne w drodze do Królestwa niebieskiego. Śnił niegdyś Staff o potędzie — dziś tę potęgę zdobywać zaczął, przejęty duchem pokory i Bożej miłości; bo po dary Boże nisko się nieraz schylać należy, by z ziemi je podjąć; by dojść do Boga, chociaż On tak bliski, trzeba przejść światy całe — choćby w męce i utrudzeniu. O tych mękach i utrudzeniach człowieczych wciąż tu słyszymy — najwymowniej w wierszach „Idą gościńcem” i „Chory w poczekalni”; jednakże strofy te brzmią tylko skargą, nigdy rozpaczą, boć mają za wzór skargę, jaką niegdyś rozbrzmiewał ogród Gethsemani. Wkońcu ton ten się scisza, odzywają się i nuty nadziei, ukojenia, prawie radości. Sześć części tej książki — to jakby kolejne tony wielkiej gamy, idącej coraz w górę. Tonem siódmym i ostatnim dźwięczą utwory końcowe, poświęcone — zmarłym: Wyspiańskiemu, Żeromskiemu, Kasprowiczowi... trzem wielkim, z których pierwszy był prologiem, ekspozycją wielkiego dramatu ducha polskiego, drugi — punktem najwyższego napięcia tragizmu, trzeci — epilogiem akcji i triumfem dramatycznej idei. Staff po przebyciu trzech jakby faz psychologicznych, znalazł się wkońcu na śladach ostatniej drogi Kasprowicza.

J. Birk.

Andrzej Strug. „Pokolenie Marka Świdy”. Wacław Czar-ski i Ska. Warszawa 1925.

„Jego marzenie, jedyne dzieło żywota — powieść o Polsce”... Takie słowa spotykamy na którejś (bodaż że 400-nej) stronicy tego dzieła Strugowego, opowiadającego o pokoleniu (jak tam ktoś cytuje za Mickiewiczem) „narodzonem w niewoli, okutem w powiciu”, a noszącym ślady tego okucia na-

wet po odzyskaniu wolności. Tło powieści z natury rzeczy musi być szerokie, obejmując wiele lat i wiele typów ludzkich, to też nic dziwnego, że akcja niekiedy rozlewa się w epizodach, niekiedy zaś operuje nadmiernymi skrótami; nazwa „kroniki“, którą Strug nadał jednemu z dzieł swych poprzednich, byłaby zapewne i tu stosowna. Jednakże w epizodach znajdujemy nieraz rzeczy, które u innego pisarza mogłyby być zaczątkiem całej powieści lub przynajmniej noweli (np. pyszna sylwetka majora Muchinki); z tłumy postaci, które przewijają się przez powieść, niejedna ma fizjognomję wyrazistą i konsekwentną — dotyczy się to zwłaszcza kolegów szkolnych Marka. Sam Marek, tworzący z bratem swym hreczko-sieciem kontrast, podobny poniekąd kontrastowi dwóch mickiewiczowskich Sopliców, lub dwóch braci Strawińskich z „Listopada“, nosić ma w sobie — jak autor pono zamierzał — wszystkie charakterystyczne cechy człowieka, stojącego na rozdrożu epok: jest coś z epigona romantyzmu w tym niedoszłym literacie, co życiem swoim pisał powieść (niezupełnie może jeszcze skomponowaną) o wiele lepszą od utworów pióra. Powieść literacką o Polsce napisał dopiero drugi Marek Świda, przedstawiciel młodej generacji — tej, którą stryj jego obserwował bawiącą się w alejach parku Ujazdowskiego.

Nicią czerwoną, która powieści Struga daje najsilniejszy węzeł „intrygi“ oraz ostateczny drogowskaz, jest stosunek Marka do rotmistrzowej Goślickiej; rozdział opowiadający o pobycie ich dwojga na mogiłce Goślickiego (podobny nieco w pomyśle do jednego z rozdziałów w „Wietrze od morza“ Żeromskiego) jest bodaj najlepszy w powieści.

J. Birk.

Józef Weyssenhof: „Mój pamiętnik literacki“. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań 1926.

Z całą słuszością chwali się autor „Puszczy“, że ma w sobie sporą dozę samokrytycyzmu. Z sądów krytyki, poświęconych jego dziełom, a cytowanych tu często, prawie zawsze najtrafniejszy i najbardziej stronniejszy bywa — jego własny. Weyssenhof zdaje sobie dobrze sprawę, które dzieła jego były lepsze, które gorsze — do wad „Cudna i ziemi cudęńskiej“ czy „Nocy i świtu“ przyznaje się szczerze, bez fałszywej skromności, jedynie tłumacząc ich powstanie (dzieł i błędów) względami innemi, zdaniem jego, ważniejszymi. Najwięcej miejsca poświęcił — zupełnie słusznie — najlepszemu ze swych dzieł: „Pod-filipskiemu“. Cały Pamiętnik ma charakter poufalej gawędy z czytelnikami, zwłaszcza tymi, którzy w „Sobolu i pannie“ i „Puszczy“ widzieli nie tylko dzieła literackie, ale i przedmiot swego ukochania. W epilogu „Puszczy“ — owej przeducudnej opowieści o śmierci Morza — niestety zamknęła się wielka twórczość Weyssenhoffa... „duszu ubył“ — duszę swej poezji zabił nieźrównany śpiewak kniej. Ale została mu jeszcze klasyczna piękność polszczyzny, staropolska swada i wielka serdeczność, które sprawiają, że „Pamiętnik“ — mimo pewnej niekiedy pobieżności szczegółów — czyta się z przyjemnością. Dygresje (o muzyce, stylu pisarskim itd.) stanowiłyby mogły osobne feljetony, w rodzaju tych, jakich kilka zamieścił autor na końcu książki; widać z nich nie tylko żłkę, ale i zacięcie publicystyczne. Jednakże człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. W Weyssenhoffie publicysta zabił powieściopisarza!

J. Birk.

Stefan Żeromski: „Puszcza jodłowa”. Warszawa. Tow. Wydawnicze 1926.

„W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości, choć tyle lat nie dano mi go słyszeć na jawie!” Tak się zaczyna czarowna gędzba tęsknoty do stron rodzinnych — najczarowniejsza od czasów „Pana Tadeusza” — łabędzia pieśń Żeromskiego, nazwana przezeń „Puszczą jodłową”. Puszcza bowiem — którą Mickiewicz obdarzał tak słusznym mianem matecznika — puszcza macierzyństwem i macierzyńską opieką zasobna była kolebką twórczych natchnień Żeromskiego. Tu (jak sam pisze) był, nihy Mickiewiczowski „błahy strzelec” — „największym, bo jedynym na całe góry Świętokrzyskie poetą, udającym myśliwca i rybaka”. Tutaj wiatr naszeptował mu powieści o dawnych czcicielach Poświęta, o królewiczu Emeryku, benedyktyńskich eremitach, o biskupie Bodzancie, któremu szum jedli wywodził pieśń niezmierną „o przepotędze i zuchwałych żądzach młodości i zgniłej rozpacz starości, o pasjach i furjach ducha rozszalałego”. Wołały go te jedge „ku modlitwie, lecącej w niebo, gdyż przesmutnem wzdychaniem swoim trwogę poznania wszechrzeczy rzucały w jego sumienie. Wspominały mu lata minione, odpłynione, których nie wróci nikt, nigdy”. Te słowa pisał Żeromski na przedśmiertnem łożu boleści. „Nie ja to już, człowiek dzisiejszy, wciągam zdrowemi płucami tameczne powietrze, kryształ niewidzialny, niezmierzone, nieskazitelne, przeczyste dobro”. Ale żywie duch, co woła: „ja śmierci nie nawidzę!” i — jakby pomnika żywego się dopominając dla siebie — głosi potężne „Nie pozwałam!” tym, co chcą zniszczyć, wyrąbać mateczniki wielkiego pisarza — jodłową puszcę Świętokrzyską. *J. Birk.*

Biblioteka Laureatów Nobla. Rudolf Eucken: „Wielcy myśliciele”. Romain Rolland: „Jan Krzysztof”. Maurycy Maeterlinck: „Skarb ubogich, Życie termi-tów”. — Karol Gjellerup: „Młyn na wzgórzu”. — Rabindranath Tagore: „Dom i świat”. — Selma Lagerlöff: „Charlota Löwenskjöld”. — Wydawnictwo Polskie. Poznań.

Poczet nazwisk dostojnych, darzonych czią przez wszystkie narody, przemawia do nas z tytułowych kart tych książek. W „Bibliotece Laureatów” brak jeszcze nazwisk paru: Carducci, Mistrala, Echegaraya, Mommsena, Shav’a i naszego Sienkiewicza; ale są też nazwiska, których przedtem nie znała publiczność czytelnicza polska — nazwiska Spittellera, Benaventa, Pontoppidana, Gjellerupa. Są i nowe opracowania dzieł już w Polsce znanych — oto Staff przełożył naprawdę w sposób doskonały arcydzieło Rollanda. Maeterlinck reprezentowany jest w „B. L. N.” jednostronnie, przez swoje artykuły i rozprawy przyrodniczo-filozoficzne; tak samo jednostronnie przedstawia się tu Hauptmann — wszak główna siła twórcza obu pisarzy spoczywa w dramatach, podobnie jak liryka jest właściwą dziedziną Tagore’a, którego w Polsce zna się przeważnie jako powieściopisarza. Dzieło Euckena o „Wielkich myślicielach” wiąże nazwiska laureatów Nobla z myślą o zastępie dawnych, niezawsze wieńczonych za życia, duchowych przywódców ludzkości. *J. Birk.*

Jerzy Brzęczkowski: — „Asza”. Tow. Wydawn. „Rój”. Warszawa 1927.

Z kilku nowel, zamieszczonych w tej książce, jedynie czołowa, opatrzona tytułem „Asza”, odpowiada

jakim takim wymaganiom prozy beletrystycznej. Naogół nowe te, wyrosłe w cieniu lektury Sieroszewskiego, Conrada, a nawet... Londona, odarte jednak z wszelkich walorów uczuciowych tych pisarzy, znamionuje jedynie mętna i chaotyczna treść podana w ciężkiej i mało starannej polszczyźnie. Duchowo są one obce kulturze polskiej i wykazują raczej łączność ze współczesną literaturą rosyjską — Pilniaków, Zamiatinów.

E. K.

Marja Dąbrowska: „Przyjaźń“. Opowiadania. Wyd. J. Mortkowicza. Warszawa—Kra-ków 1927.

Książki dla młodzieży pisane są przeważnie pod dyktando dydaktyzmu. Tendencja, wysuwająca swe rożki jak ślimak ze skorupy, przesądza o poczytności książki. Młodzież wymaga szczerości, prostoty i bezpośredniości. Z żyjących pisarzy, uprawiających literaturę dla młodzieży, jedynie Korczak zdobył sobie uznanie wśród młodych czytelników. O taką gościnę w sercu młodzieży zabiega i Marja Dąbrowska. Mam jednak pewne wątpliwości, czy tytułowa nowela odpowiada zasadniczym warunkom typu powieści dla młodzieży, ustalonego przez Korczaka. Grubemi ścięgniemi szyta tendencja przebija z tej noweli, gloryfikującej ideę przyjaźni. Mimo pewnych wzruszających momentów w opisie choroby Stefana, mimo tu i ówdzie wplecionych uśmiechów miłego sentymentu, wy-czuwa się rozbieżność między wykonaniem artystycznym a podstawioną tendencją ideową. Dopełnia książkę krótka opowieść p. t. „Kury w naszym ogrodzie“, pisana bezpretensjonalnie i dlatego górująca nad pierwszą. Obserwacja świata ptaków — sumienna i dokładna.

E. K.

I. K. Iłłakowicz: „Płaczący ptak“. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Autorka „Płaczącego ptaka“ wypracowała sobie w zbożnym trudzie własną drogę poetycką, o której może bez przesady powiedzieć, że jest wyłącznie jej drogą. Ta żmudna praca przy warsztacie poetyckim, który przyszło przy wątych siłach kobiecych i ograniczonej wyobraźni („Ikarowe loty“, „Śmierć Feniksa“) opanować, uwieczniona została takimi wreszcie dwoma dużej wartości tomami, jak „Połów“ i „Płaczący Ptak“.

Wznieść się ponad mdły sentymentalizm, piastując jednak na dnie serca, które „jest jak najcichsza struna w maleńkim szpincie“, nieskażony kryształ prawdziwego sentymentu, to — wiele i czy nie wszystko, na co może się zdobyć licha istota ludzka.

Wszystkie przeżycia swoje zamyka autorka w granicach życia codziennego, poruszając się w niem z ujmującą swobodą. Ta pełna tkliwości zażyłość z szarzyzną dnia powszedniego jest wzruszająca, ile że poetka rozmyślnie unika wszelkich efektów powierzchownych, sięgając w głąb rzeczy i ludzi.

Może niektóre wiersze rażą krawcową naiwnością, która chwilami staje się manieryczną, ale przecież szczęściem jest wierzyć i wmawiać w innych, że „anioły stróże zejdą i wszystko się nagle naprawi“. Mimo różnych niedociągnięć i braków, od których nikt z nas przecież nie jest wolny, zamykamy z żalem tę książkę rasowej poetki.

E. K.

Jarosław Iwaszkiewicz: „Pejzaże sentymentalne“. Nakład Gebethnera i Wolffa. — Warszawa 1926.

Po tych „Pejzażach sentymentalnych“, o których pisze autor, że służyły mu one do „kompletnego opa-

nowania“ metier, widać, jak na dłoni, ile przesady krzywdzącej dla samego pisarza mieściło się we wszystkich sprawozdaniach, dopatrujących się w Iwaszkiewiczu co najmniej rewelacyjnego talentu. Już w samym tytule dostrzega się ten rys pretensjonalności, który towarzyszy czytelnikowi uparcie od pierwszej do ostatniej kartki. Nieznośna egzaltacja, ponosząca autora bez żadnej przyczyny, nieraz nieumotywowana, jak np. w wizjach Pieczyngów, rodzących się z błahego powodu pewnych analogii etymologicznych z nazwą miasteczka Peczeniżyn. Zawilłość i mętność myśli, obrazów, stylu walczą o lepsze na każdym kroku w tej książce. Taki wyimek (str. 21) ilustruje chyba należycie moje zarzuty. — „Doznaje się nowej radości, mimo całe morza, lądy i nieba, radości ze swojego ja i wraz z wznoszącą się falą rośnie radość z siebie (i ze swojej młodości) — aż wybuchła, w przeciwstawieniu do chwili poprzedniej, w szale poczucia jedynie ważnej i istniejącej kwestji, swojej istoty, najważniejszej, którą się można cieszyć, którą można wieść i utwierdzać, nie bacząc na wszystko, co się naokoło dzieje i będzie działało do ostatka, i że siebie się będzie miało aż do końca“. Doprawdy, męczące jest to ciągle obcowanie z osobowością autora, który wmawia w czytelnika, że wszystko, co napisze godne jest przeczytania. Ciężki czad egotyzmu przesyca te „świadome wprawki“, które mówią niezbyt pochlebnie o ćwiczącym.

E. K.

Juliusz Kad en - B a n d r o w s k i: „Nad brzegiem wielkiej rzeki“. Wydawnictwo Zakładu Nar. im. Ossolińskich we Lwowie. 1928.

Ta najnowsza książka Kadena, przeznaczona dla młodzieży, naje-

zona jest tak dalece moralami, że mało jest danych, aby mogła stać się książką poszukiwaną przez młodych czytelników. Poza jednym „Dokumentem“, w którym podkład dydaktyczny został dość zręcznie zamaskowany urozmaiconymi tokami akcji, inne opowiadania stoją na poziomie co najmniej gawęd Teresy Jadwigi z przed pół wieku, w których nauki moralne odgrywały rolę naczelną. Nie ukryje ich nawet pasja obserwacyjna Kadena, który tą drogą chce wmówić w młodego czytelnika, że ma do wyjawienia wiele ciekawych rzeczy.

E. K.

Z y g m u n t K i s i e l e w s k i:
„Błąd“. Powieść. Nakładem F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Osią tej powieści jest kompleks zagadnień społecznych, które autor na tle dziejów znanego nam już z innej powieści Juliusza Syrenia, stara się ze swego punktu widzenia oświecić. Bohater Kisielewskiego obrabowuje podczas przewrotu bolszewickiego skarbiec carski w Petersburgu i za uzyskane ze sprzedaży klejnotów pieniądze zakłada w Polsce współdzielczą gminę robotniczą. Ta filantropja wzbudza podejrzenie w obdarzonych. Powstają nieporozumienia i konflikty, które prowadzą do zabójstwa Syrenia. — Niewiadomo wkońcu, czy błędem było użycie zrabowanych pieniędzy na realizację szlachetnej skądinąd idei, czy idea sama stała się wkońcu błędna, czy wreszcie całe dzieje Syrenia nie oparte są na fałszywych przesłankach. Mimo pewnej potoczności fabuły, mało w tej powieści psychologicznego uzasadnienia, co sprawia, że cała ta przedstawiona rzeczywistość nie nosi znamion prawdy ani możliwości powieściowej.

E. K.

Marja Kuncewiczowa: —
„Przymierze z dzieckiem”. —
Wydawnictwo J. Mortkowicza.
Warszawa 1927.

Z radością powitać należy ten nowy talent prozatorski, debiutujący w dojrzałej ze wszech miar książce. Powieść „Przymierze z dzieckiem” nie jest właściwie powieścią tętniącą żywą fabułą. Treść sączy się wąskim ponikiem przez budowane starannie zdania, będące raczej jakimś odbiciem przeżyć i docieraniem do jądra psychiki, byle oddać najszczerzej i najistotniej te przyczajone na dnie wrażenia. Czasem zadziwia aż wielkie opanowanie tematu i zdolność konstruowania żywych ludzi. W tytułowej powieści od analizy stanów psychicznych, zachodzących w związku z okresem macierzyństwa, autorka dochodzi do uświadomienia dojrzewającego w sercu przymierza z dzieckiem, wchodząc „do domku syna na wieczne zamieszkanie”.

Dopełniają tomu: „Tamto spojrzenie”, „Prawa i lewa ręka”, „Polska na fiszmarku”. „Tamto spojrzenie” — to głęboki, drobiazgowy rozbiór psychologiczny powracającej wiecznie melodii, która zjawia się nieproszona zarówno w godzinach szczęścia, jak i w chwilach troski. „Polska na fiszmarku” to rodzajowy obraz z oksywskich piasków, malowany jędrnym i zdrowym językiem.

Najlepiej świadczy o nowej pisarce czysty, staranny język, unikający, jak ognia, utartych porównań, trochę może tonowany chłodem refleksji. W sposobie analizowania stanów psychicznych autorka wykazuje szkołę Żeromskiego bez romantycznego jednak zabarwienia, którem żyją dzieła autora „Popiołów”.

E. K.

Zofja Nałkowska i Marja Jehanne Wielopolska:
„Księga o przyjaciółach”. Nakład Gebethnera i Wolffa 1927.

Temat zwierzęcia ma swoją dawną i świetną tradycję w literaturze polskiej. Najprzedszybie pióra tematowi temu poświęcały czas i natchnienie, jeśli wymienić ze starszych — Dygasińskiego, doskonałego znawcę duszy psa, zająca, wilka. Z młodszych — Jan Wiktor dał w „Burku” psychologję psa, zwyczajnego kundla podwórzowego.

„Księgę o przyjaciółach”, t. zn. o zwierzętach, które tem bardziej kochamy, im bardziej poznajemy ludzi”, pisały dwie autorki. Ciekawy jest ten dwugłos prozatorski o sarnach, zającach, królikach, psach, kotach, ciekawy jako materiał przy wyprowadzaniu wniosków na marginesie twórczości. Niestety, brak nam miejsca na tego rodzaju roztrząsania.

Opowiadania Nałkowskiej są łatwe, proste w samem ujęciu tematu, pisane prozą spokojną, mądrą, opanowaną, gdy tymczasem opowieści Wielopolskiej charakteryzuje kapryśność, bałagulstwo (w dodatkiem tego słowa znaczeniu). Ze wszystkich opowiadań na pierwsze miejsce wysuwa się „Sarna” Nałkowskiej, — tkliwa, dyskretna, pełna serca opowieść. Pozatem, jakże blisko naszych umiłowań tętnią takie zdania Nałkowskiej:

„Niebieskie niebo jest zawsze
oknem do Boga,
Zielona ziemia — wieczną pociechą
dla serca”.

E. K.

Adolf Nowaczyński: „System doktora Caro”. Utopja humorystyczna. — Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Ten pamiętnik matola i impotentu życiowego, Kołtońskiego, któ-

ry — gwoli odzyskania sił — jedzie do Florencji, aby poddać się tam regeneracyjnej operacji Dra Caro, nie wiedzieć poco został wydany w formie książkowej. Swego czasu drukowano to „dzieło” w odcinku jednego z pism warszawskich. Aczkolwiek odcinki zapełnia się przeważnie mniej lub więcej porzniętą sieczką dziennikarską, sądzę, że opowieść ta dostąpiła już naówczas niemałego zaszczytu. — Wydanie książkowe było zbędne, autorowi bowiem dzieło to nie doda ani jednego listka do jego wieńca laurowego. Jest to niejako wyciąg ze wszystkich artykułów politycznych Nowaczyńskiego. Mamy więc antysemityzm, odwieczne wyrzekanie na Małopolan, lamentacje z powodu słabej produkcji przemysłu krajowego itd., itd. Na każdej stronie jest destrukcja, dezorganizacja, dekompozycja. Jedynymi zbawcami Polski ma być towarzystwo głuptaków czy matołów, którzy chcą odrodzić kraj po uprzedniej transfuzji krwi, zapożyczonej od jakichś genialnych dzikusów z Afryki. Nie jest to satyra na Polskę, nie jest to humoreska, nie jest to powieść. Na twórczość Nowaczyńskiego wpłynęło fatalnie kilka lat pracy dziennikarskiej.

E. K.

Władysław Orkan: „Listy ze wsi”. Tom I. Nakład Gebethnera i Wolffa 1925.

„Listy ze wsi”, których tom I-szy doszedł do rąk naszych, mają charakter publicystycznych rozważań na temat różnych bolączek wsi i jej mieszkańców, stosunku wsi do miasta i miasta do wsi. Świetny poeta, syn ugornej ziemi, sam chłop z dziada pradziada, patrzy w duszę chłopską bez żadnych złudzeń, widzi jej braki i niedociągnięcia, — opisuje też w „Listach” chłopą takim, jakim on jest, twar-

piero z tych wynurzeń wyjaśnia nam się to i owo i zaczynamy rozumieć, dlaczego „lud jeszcze w Polsce nie wszedł”, mimo tylu partyj politycznych i czemu „w masie jest monarchistyczny”.

Tu i ówdzie można się nie zgodzić z autorem, zwłaszcza gdy mówi, że „Podhale jest jedyną w Rzeczypospolitej ziemią”, która ma prawo do odrębnej fizyognomji politycznej. Takich ziem jest więcej. Choćby Beskidy, które przecież z Podhalem mają bardzo luźny związek. Słuszniejsze natomiast wydaje się określanie granic Podhala przy pomocy „portek góralskich”.

E. K.

Ferdynand Antoni Ossendowski: „Płomienna północ”. Podróż po Afryce północnej. Marokko. Nakładem Wydawnictwa Polskiego. Lwów—Poznań 1927.

— „Pod smaganiem samumu”. Podróż po Afryce Północnej. Algierja i Tunisja. Nakładem Wydawnictwa Polskiego. — Lwów—Poznań 1927.

— „Wśród czarnych”. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Lwów—Warszawa—Kraków 1927.

Relacje z podróży wymagają przy ocenie nie tej miary, jaką stosujemy przy rozpatrywaniu dzieł typowo literackich. Inna to — dziedziina, inne też — kryterja. Nasza literatura podróżnicza odznacza się zrozumiałem ubóstwem, z radością przeto witać należy ukazanie się każdego talentu, tembardziej, jeśli mamy do czynienia z piórem tak żywym, energicznym i nieustrudzonym, jak Ossendowskiego. Poza tem inne jeszcze względy trzeba mieć na uwadze. Mam na myśli — przekłady na języki obce dzieł Ossendowskiego, które popularyzują imię naszego kraju.

Opisy podróży do Afryki Północnej, ściślej — do Marokko, Algierji i Tunisji, oraz do Afryki Podzwrotnikowej, są treścią trzech dzieł, wydanych w ostatnich czasach.

W barwnych, pisanych z rozmachem opowieściach daje autor żywy obraz życia i obyczajów mieszkańców tych stron, oraz opisy przygód osobistych i przeżyć myślowych.

Interesujące są również spostrzeżenia Ossendowskiego, dotyczące odwiecznej walki rasy białej z czarną. Autor dostrzega, że „nasza cywilizacja jest zagrożona, że przed bramami naszej europejsko-chrześcijańskiej twierdzy stoi już wróg, wróg, który mógłby być przyjacielem, lecz w którego sercu rozpaliliśmy niebezpiecznie płomień gorącej i ślepej nienawiści“.

Książki te — o ile czemś grzeszą — to może zbyt esencjonalnemi zabarwieniami osobistemi, a nawet czysto rodzinnemi frasunkami i troskami autora, które czytelnika, zwłaszcza eksportowego (dla którego są przeważnie przeznaczone) najmniej obchodzić mogą. E. K.

Jan Parandowski: „Dwie wiosny“. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. 1927.

„Są to w istocie dzieje dwóch wiosen. W roku 1925 byłem w Grecji, a w r. 1926 na Sycylii i na Capri“ — zwierza się autor w przedmowie do tej książki.

Parandowski należy do tych kilku uczonych i poetów polskich (można ich przeliczyć na palcach), którzy tworzą związek miłośników kultury antycznej.

„Dwie wiosny“ noszą charakter raczej informacyj historycznych i geograficznych, niżli jakichś osobistych przeżyć na tle bezpośredniego zbliżenia do ruin świata klasycznego. Książek tego rodzaju jest tak

niewiele w języku polskim, że „Dwie wiosny“ powitać należy właściwie bez uprzedzeń i z uznaniem. Choćby dlatego, że wyczarowują czasy starożytnego piękna, za któremi pokutuje w każdym inteligentnym człowieku nieświadomiona tęsknota.

E. K.

Marja Pawlikowska: „Wachlarz“. Zbiór poezji dawnych i nowych. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Te błyskotliwe liryki, rozsypane jak świecidełka weneckie na kilkudziesięciu stronicach, to — jakiś odmienny świat kobiecych przeżyć, uczuć i kaprysów, do których — być może — my mężczyźni, nie dorosłiśmy nawet wyobraźnią. Z drugiej jednak strony nietrudno przecież dostrzec wartość takich wierszy, jak „Listopad i listonosz“, „Ranny ptak“, „Woda“, a nawet zdań niektórych jak np. „zapachniał do rymu złoty kwiat nasturcji“. Trudniej, już, o wiele trudniej, pogodzić się z drugą częścią tomu, spiętą wiele mówiącą klamrą „Pocąłunków“, w których właściwie jeno „bezsenna Wenus“ przewraca się z boku na bok“. Naogół dużo bez troski, zachłystującej się niewielkimi dawkami poezji. Ponadto — pewna przesada w lekceważącym traktowaniu zagadnień istotnych, a na serjo — kaprysów, zrodzonych w cieple różowych pokojów. E. K.

Marja Pawlikowska: — „Dancing“. Karnet balowy. Nakład F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Być może, że „przyszliśmy na świat wśród takiej muzyki“, w której „beczą owce, kłapią wilcze kłanice, wyją psy, płaczą koty w tęsknocie“, ale — sądzę — nie jest to jeszcze dostatecznym powodem, aby poezji „kazano tańczyć charlestona“, zmuszając ją do różnych łamańców pod takt saxofonu. W nie-

skromnem przeświadczeniu mnie-
mam, że autorka wcześniej, czy pó-
źniej zgodzi się ze mną, dochodząc
do podobnej konkluzji. E. K.

Antoni Słonimski: „Pod
zwrotnikami“. Dziennik okrę-
towy. — Nakład Gebethnera
i Wolffa 1927.

„Nie będzie to dzieło o Brazylii
ani powieść — jest to krótka histo-
ria paru szczęśliwych miesięcy ży-
cia“ — informuje autor w przed-
mowie do tej książki, opisującej co-
dzienne, drobne wydarzenia na
okręcie i na lądzie, bez żadnych
pretensyj do insynuowania czytel-
nikowi dokładnej znajomości kraju.
W sposób dowcipny, w formie lek-
kiej doskonałego causeura, autor
przeplata ten dziennik wynurzenia-
mi osobistymi, jak np., że w ogro-
dzie miejskim w Rio de Janeiro
oglądał drzewa pokryte kwiatami
bez liści i że to zjawisko mógłby
porównać ze swą karierą literacką
z pominięciem szkoły średniej i ma-
tury. Na marginesie niejako książ-
ki autor notuje krótkie wiadomo-
ści o kraju, życiu i ludziach. Spo-
strzeżenia te nie mają — jak po-
wiedziałem — wartości sądów ob-
iektywnych, gdyż autor w pogoni
za jakimś kalamburem czy dowci-
pem poświęca nieraz prawdę isto-
tną.

Z częstego obcowania z przyrodą
autor wynosi zrozumienie potęgi
ożywczej i zdrowia, płynącego z zie-
mi i słońca. „Jest tak wiele powie-
trza i przestrzeni, że mogłaby się
tu rozpuścić cała gorycz ludzka“ —
wyznaje Słonimski, — a „każdy
dzień spędzony w lasach jest rado-
snym wydarzeniem“.

Książka ma wiele akcentów szcze-
rości — bezpretensjonalna i pro-
sta — odsłania nam człowieka, któ-
rego znaliśmy dotąd może nazbyt
jednostronnie. I dlatego zdania koń-
cowe, zamykające poniekąd książ-

kę, są czemś więcej, niżli literackim
kaprysem. „Powrót do zimnej, za-
błoconej Warszawy. Powrót do
dusznych kawiarni i restauracji, do
bieganiny po mieście, do trosk fi-
nansowych, do pustki długich, mro-
żnych wieczorów i tej przeklętej
gieldy artystycznej, tego targowi-
ska próżności, gdzie trzeba codzień
przynieść na rynek nowy żart, po-
mysł, lub nowy mizerny triumf to-
warzyski“.

E. K.

Antoni Słonimski: „Z da-
lekich podróży“. F. Hoesick.
Warszawa 1926.

Dobrze byłoby, aby przy odrobi-
nie trudu zbadano, jak daleko się-
ga wpływ nieśmiertelnego Rim-
baud'a, na ile lat wyprzedził on swą
współczesność, oraz ile i jak współ-
cześni nam poeci korzystają z do-
robku twórczego tego wielkiego
poety. Poezja Słonimskiego opiera
się jednym skrzydłem o twórczość
Rimbaud'a. Sporo w niej poza tem
cech parnasizmu francuskiego. Pod
powłoką toczonych gładko słów —
mało w tej poezji krwi serdecznej.
Gdyby ze wszystkich metafor, po-
równań i przenośni obrać tę poezję,
jak owoc bananu, nie pozostałoby
o wiele więcej od owocu bananu.
Nuda, na którą skarży się nieje-
dnokrotnie poeta, jest również
szczętkiem okrętu poezji minionej,
jak i owa nikłość uczuć, trzepocą-
ca skrzydłami zabłąkanej ćmy. To-
nu współczesności doszukiwać się
raczej należy w takim wyznaniu —
„nie jest chrześcijaninem ten, któ-
ry ludzi nie kocha, a kocha kraje“.
Tu i ówdzie wyluskać można ró-
wnież niejaką odwagę spojrzenia
w oczy współczesnej rzeczywistości.

E. K.

Ewa Szelburg: „Dokąd?“

Powieść. — Wydawnictwo J.
Mortkowicza. Warszawa 1927.

Nie znam pierwszych prac Ewy
Szelburg, nie wiem nawet, czy „Do-

kad" nie jest pierwszą powieścią w dorobku nieznanej mi pisarki — ta jednak książka świadczy o pełnej dojrzałości przemysłu. Odwieczny problemat wiary jest osnową tej powieści, której fabuła rozgrywa się między trzema czołowymi postaciami — księdzem Niewidomym, Symeonem świątkarzem i małą dziewczynką, wnuczką świątkarza. Nową niejako postacią jest świątkarz Symeon, który żyje w rozbracie z Bogiem i w ostatniej godzinie odchodzi „tam, gdzie nie ma gwiazd, ni słońce, ni księżyców, ni małej ziemi”. Może ścigać go będzie wyrzut zrodzony w sercu dziecka — „To ty Go, dziadku, przybiłeś temi prawdziwymi gwoździemi. Wi-działam, wystają na wylot”... Zostaje na ziemi mała istotka, która czci Boga nawet w zawieszonym na gałązce ptaku, kryjąc w sercu płomień wiary, zapalający się ogniami wszystkich niewinnych uśmiechów. Mimo pewnej nierówności w konstrukcji „Dokąd” należy do rzędu nieprzeciętnych powieści ostatniej doby.

E. K.

Anatol Stern: „Bieg do biegun”. Nakładem F. Hoesicka. Warszawa 1927.

Z całej książki pewne znamiona bezpośredniości posiada jedynie spowiedź autora, zamknięta w formę przedmowy. I niewątpliwie burzy ona ten mur obcości, na który skarży się poeta. Wrażenie jednak, osiągnięte po przeczytaniu przedmowy, ustępuje zupełnie w miarę posuwania się w głąb książki nowemu wrażeniu — sztuczności. Mimo zapewnień autora, wyrażonych w przedmowie, odnajdujemy na każdej niemal stronie słowa i zdania nieokupione żadną potrzebą.

Jest kilka stron poświęconych przyrodzie. Przynajmniej mówią o tem tytuły i treść opisowa niektórych wierszy. Przyroda jednak

świeci pustką na tych kilku stronach. To nie jest przyroda oglądana oczyma człowieka rozumiejącego i kochającego ziemię.

Wyróżnia się wiersz „Kobieta”, płonący syntezą żądz i namietności erotycznych, szczery w ekspresji dramatycznej, choć przeładowany barokiem przesadnych metafor.

E. K.

Juljan Tuwim: „Słowa we krwi”. Nakład: Wacław Czar-ski i Ska. Warszawa 1926.

Uderzająca niewspółmierność między zapowiedzią, wyrażoną w tytule a treścią książki, rzuca się w oczy po przeczytaniu kilku pierwszych stron. Z niecierpliwością doczytujemy książkę do końca i nie znajdujemy tych słów we krwi.

Najlepsze i to bezwątpienia są pierwsze kartki książki aż do „Prośby o piosenkę” włącznie, poświęcone — że tak powiem — historjo-zofji słowa. Analiza uczuciowa stosunku poety do słowa, przepiec-ion na akordami poetyckiej obrazow-sci, jest interesującym zjawiskiem u piszącego.

Ustosunkowanie Tuwima do przyrody jest nieco naciągnięte, kalkulacyjne, obliczone często na efekty zewnętrzne.

„Słowa we krwi” nie zwiastują nowych posunięć w twórczości Tuwima, zwiastują natomiast cofnięcie się z dróg już przebytych. Sam poeta zdaje sobie z tego sprawę, mówiąc w jednym z wierszy — „zaśpiewajmy po dawnemu”.

Utworów niepotrzebnych w rodzaju „Sprawozdanie z podróży na wystawę sztuki dekoracyjnej w Paryżu” jest niemało.

Zawczasem jeszcze na bezstronny i obiektywny rozbiór twórczości Tuwima, którego sławę przerekla-mowaną rozniosło po łamach pism grono kolegów i przyjaciół. Przyj-dzie jednak czas, gdy na szalach

bezstronnego sądu — bez przesadnego zachwytu — zważy się każdą zasługę i każdą wartość tego poety. E. K.

Stanisław Wasylewski:
„Zerwana kokarda”. Nakładem
Wydawnictwa Polskiego. Po-
znań 1927.

Świetny causeur, którego talent narratorski objawił się swego czasu niespodzianie w studjach historycznych, wydał nowy tom opowieści z tych czasów, gdy legenda napoleońska błyszczała na horyzoncie wszystkich blaskami i barwami świetności. Jedyna wielka miłość Napoleona do kobiety — jak zapewnia autor — miłość do szambelanowej Walewskiej, jest treścią pierwszej opowieści p. t. „Pani Walewska”. Z niezwykłą subtelnością, w zdaniach pełnych temperamentu urodzonego beletrysty, wychowanego na najlepszych wzorach kultury francuskiej, rysuje Wasylewski wyrazisty portret pięknej szambelanowej, którą niezbadane wyroki Boże wplotły w życie „człowieka Europy”. Autor udowadnia, że ta kobieta, która straciła łaskę w oczach pamiętnikarzy ówczesnych, była wzorem człowieka powszechnie kochanego i lubianego, „gdyż każdemu czyniła dobrze, nikomu nie szkodząc”.

„Orlątko” pisane jest niejako na marginesie pamiętników hrabianki Lulu Thürheim, która na dworze wiedeńskim miała możliwość zetknięcia się z ks. Reichstadt, tą drugą legendą napoleońską, która tak tragicznie przebrzmiała.

Dopełniają tomu interesujące w szczegółach „Zerwana kokarda”, „Pan Izidor nad Elsterą” i „Oczyrna dziecka”. Wszystkie te opowiadania czyta się z wyjątkowym zadowoleniem, które porównać chyba można z tą radością, jaką daje spożywanie dojrzalego owocu. E. K.

Aleksander Wat: „Bezrobotny Lucyfer”. Opowieści. — Nakładem F. Hoesicka. Warszawa 1927.

„Bezrobotny Lucyfer” jest jakby odzwierciedleniem współczesności miejskiej z całym splotem i zawilścią powikłań treściowych, nie znajdujących żadnego uzasadnienia istotnego. Wat ma ambicję przy pomocy ściegów rozumowych zszyć łańcuch rzeczywistości współczesnej celem nadania istnieniu pozorów bodaj logiki. Z tego przymierzania, dopasowywania i zszywania niewspółmierności rodzi się jakiś krzykliwy humor, którym rozbrzmiewa cała książka. Sceptycyzm współczesnej epoki, trawiony wielobóstwem, za którym ukrywa się wielki cień Mamona, jest podstawą światopoglądu Wata. „Bezrobotny Lucyfer” — prawdopodobnie wbrew intencjom autora — jest najbardziej typową „spowiedzią dziecięcia wieku”, zatrutego miazmatami pseudokultury wielkiego miasta. E. K.

Kazimierz Wierzyński:
„Laur Olimpijski”. Warszawa.
J. Mortkowicz. 1926.

Pewną przesadą odznaczają się te wiersze pisane na cześć sportu i sportowców, nawet przesadą niedopuszczalną w poezji współczesnej. Walka, jaką wypowiedzieli materializmowi ubiegłego okresu poeci wszystkich nacyj i wszystkich odcieni, jest zawołaniem obowiązującym, któremu sprzeniewierzać się jeszcze nie miejsce i nie pora. Ze względów zasadniczych przeto musimy się ustosunkować negatywnie do tych zręcznych i gładkich zresztą wierszy. Poza tem żdziwienie wywołać w nas może jedynie „Laur Olimpijski” bliskim pokrewieństwem i podobieństwem do poety francuskiego Henri de Montherlant'a w wierszach spor-

towych, ochrzczonych nazwą „Les onze devant la Porte Doree”.

E. K.

Juljan Wołoszynowski:
„O Twardowskim, synu ziemianki, obywatelu piekieł, dziś księżycowym lokatorze”. Powieść. 2 tomy. Wydawnictwo J. Mortkowicza. — Warszawa 1927.

Ta najpiękniejsza legenda polska, spleciona misternie z dziejami naszymi, jak wstążka z warkoczem, znalazła swego poetyckiego monoi bjografa w osobie Juljana Wołoszynowskiego. Od przypadkowych „Okularów” do tej powieści, budowanej mozolnie, prowadzi droga długa, żmudna, daleka. I to przede wszystkim trzeba zapisać w odnośnej rubryce na dobro autora.

Z pajęczej przędzy legend i opowieści snuje Wołoszynowski opowieść o Twardowskim. „Pamiętam Ciebie całego, bo jakże tu nie pamiętać, co przed nami, co w nas się samych, wczoraj, dziś i — zawsze jutro — odbywa...” Nieśmiertelna tęsknota duszy polskiej znalazła w zdaniach tych najściślejse umotywowanie.

Wołoszynowski naogół konstruuje powieść logicznie. Rozdział o rozdział zaczyna, jeden z drugiego wywodzi. Krótkie, treściwe zdania, przystosowane do niezwykle bogatej treści, eo ipso są odarte z kory metafor i porównań. W stylizacji poetyckiej całych rozdziałów, stylizacji miejscami na nutę czasów minionych, niepotrzebnie błakają się takie współczesne nam definicje, jak „safes”, „radio”, „jazz-band” itp. Również wydaje się trochę nieuzasadnione wypełnianie treści nazbyt obficie przysłowiami ludowymi, zwłaszcza w tomie drugim. Mimowoli nasuwają się asocjacje z Panem Jowialskim. A przecież — gdzie Rzym, gdzie Krym.

W rozdziale XII-tym p. t. „Księżyc” jest fragment, najpiękniejszy bodaj z całej książki, gdy Matka Boża, usłyszawszy śpiewane przez niesionego na grzbiecie czarcim Twardowskiego godzinki, lituje się nad grzesznikiem i rzuca mu srebrną kotwicę — nadzieję. „Twardowski uchwycił się srebrnej liny, skręconej z księżycowych promieni i zawisł na Księżycu. Wtedy Pani Niebieska nastąpiła czartowi na głowę i spadł czart w otchłanie ciemności. Twardowski zdjął swoją polską, rogatą czapkę z głowy i ukląkł na Księżycu, u stóp niebieskich Matki Boskiej, Wzruszonej...” Oto, co może poezja! Kruszy djabła, wzrusza Pana Boga! A jeśli nie Pana Boga, to Pannę Marię Bożą... Wiersz, do Matki Boskiej pisany, może zbawić człowieka!... Kobięto Niebieska! Kobięto! Dla Ciebie żyją poeci! Jesteś ucieczką grzesznych, ponieważ poeci są grzeszni... Jesteś pocieszycielką strapiionych, ponieważ poeci (oni jedni o tem tylko wiedzą, ale nie przyznają się — najnieśmielsi swojego serca!), — ponieważ poeci są tak często strapieni... Jako olej wylany, o Maryja, Imię Twoje! Sługa Twój, Pan Twardowski, zakochał się bardzo w Tobie! Pod Twoją obronę, uciekamy się razem z Twardowskim! Wspomagaj go!...”

Jesteś nam bliski, aryjczyku Wołoszynowski. E. K.

Anna Ludwika Czerny:
„Antologja nowej liryki francuskiej”. Lwów—Warszawa—Kraków. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. 1925.

O ile prawdą jest, że w Akademii Literatury Polskiej zasiadać będą tłumacze, to powinniśmy coprędzej wciągnąć na listę kandydatów do tej instytucji nazwisko Anny Ludwiki Czerny, która dokonała nie-

mniejszego czynu od tłumaczących systematycznie.

Bogaty odłam nowej poezji francuskiej od 1907 do 1925 r. w twórczości dwudziestu przeszło poetów leży przed oczami naszymi, jak szlachetny kruszec, dając nam możliwość zorientowania się wśród interesujących usiłowań i przeobrażeń, zachodzących w poezji Zachodu. Od przywódcy rewolucyjnych prądów w poezji, Guillaume'a Apollinaire'a aż po Jean'a Cocteau'a, w powodzi wierszy, ilustrujących wyczerpująco każdą indywidualność poetycką, dała nam tłumaczka całkowity obraz dziejów poezji francuskiej idącego ćwierćwiecza. Przekłady — świetne, pisane niemal w natchnieniu (o ile tylko słowo to nie jest przesadą!). Należy się tłumaczce od tych wszystkich poetów conajmniej tytuł — współtwórczyni.

E. K.

Montesquieu: — „O duchu praw“. Przełożył Tadeusz Żeleński (Boy). Przejrzał i wstępem opatrzył prof. Wacław Makowski. Tom I. Warszawa. F. Hoesick. 1927.

Pewno oschłość myśli, brak wszelkiego uczucia charakteryzują tę książkę znakomitego pisarza politycznego, który w swoim czasie —

przed dwoma wiekami — miał ambicję odgrywania jednej z czołowych ról w literaturze politycznej Francji. Dziś — przyznam się — myszką tylko trącą wywody Montesquieu'a i nie rozumię doprawdy powodów, które skłoniły żywą skądiną i wrażliwą na tętno aktualności księgarnię F. Hoesicka do wydania tego dzieła.

W „Esprit des lois“ Montesquieu stara się dowieść, że ustroje państwowe nie są wytworami przypadkowymi, lecz że są zależne od warunków naturalnych — klimatu, ziemi, religii i charakteru narodu. Pozatem wypowiada się za teorią podziału władz.

Naogół Montesquieu wykazuje zależność od filozofów angielskich z Johnem Locke'm na czele.

Aczkolwiek w przedmowie prof. W. Makowski uprzedza, że brakowi opieki macierzyńskiej przypisać należy charakter Montesquieu'a, w którym „rozsądek górował nad uczuciem, a na sentymentalizm nie było wcale miejsca“, to jednak wydaje mi się, że niemałą zasługę położył w tym kierunku i tłumacz, ostudziwszy dogłębnie książkę, w której po takim eksperymencie nie można dopatrzeć się ani kropli krwi. Jest książką nieżywą. E. K.

PLASTYKA

Na nowych drogach sztuki.

Ewolucja, jaką przeszła sztuka w minionem ćwierćwieczu, należy bezapelacyjnie do przeszłości.

Tę reakcję przeciw naturalizmowi wszechwładnie panującemu w sztuce XIX stulecia, należałoby właściwie ochrzcić mianem rewolucji, gdyby nie pewna powściągliwość w ofensywie nowych prądów na twierdzą kierunków uznanych, oraz charakter raczej ewolucyjny nowej sztuki, wyrastającej nie na gruzach

burzonej przeszłości, lecz w związku organicznym z epoką minioną. Rolę tych pośredników czy łączników między dwiema epokami odegrali z powodzeniem — Cezanne i Matisse.

Nazwa ewolucji ma jeszcze i to uzasadnienie, że ani ekspresjonizm, ani kubizm w formie krańcowej nie dochowały się do naszych czasów. Zwycięstwo teoretyczne odniosły te kierunki w postaci umiarkowanej,

wsłaniając częściowo w głębię nowej sztuki kompromisowej, zwanej neoklasycyzmem.

Zapładniający wpływ i ekspresjonizmu i kubizmu, polegający na przywróceniu malarstwu logicznej konstrukcji i architektoniki, przejawia się we wszystkich dziełach neoklasycznych. Neoklasycyzm zrodziła niewątpliwie tęsknota za prostą, zwartą konstrukcją oraz spokojnym rozkładem barw, właściwościami, przekazanymi nam w testamentie wielkich mistrzów Odrodzenia, wreszcie — Ingesa, którego nawet za wzór stawia wczorajszy wódz kubistów, Pablo Picasso.

Malarstwo polskie jest jeno jedną z komórek malarstwa wszechświatowego i odgrywa rolę podobną do sztuki innych krajów.

W związku z ożywionem zainteresowaniem, budzącem się na marginesie nowych prądów artystycznych, zaczynają i u nas ukazywać się pierwsze jaskółki w postaci prac teoretycznych, historycznych i monograficznych z zakresu sztuki obcej i polskiej.

Taką pracą pierwszorzędnej znaczenia jest niewielka rozmiarami książka prof. Michała Sobieskiego „Malarstwo doby ostatniej“, wyjaśniająca w sposób niezwykle obrazowy i żywy istotę oraz ewolucję ekspresjonizmu i kubizmu.

Takimi pracami o charakterze historycznym będą „Dzieje Malarstwa w Polsce“ Feliksa Kopery, prace Eligjusza Niewiadomskiego, wreszcie „Monografie Artystyczne“, wydawane przez księgarnie — Gebethnera i Wolffa oraz J. Mortkowicza.

Rolę popularnego niejako skrowidza sprawuje „Malarstwo nowoczesne“ W. Husarskiego.

Niemalże zadanie przewodnika po terenach sztuki spełniają „Sztuki

Piękne“, ukazujące się periodycznie od r. 1924 w Krakowie. E. K.

„Monografie artystyczne“ pod red. Miecz. Tretera. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa. 1925—1926. I. Stanisław Wasylewski: „Portret kobiety w Polsce XVIII wieku“. H. Stefanja Zahorska: „Matejko“. — III. Szczesny Rutkowski: „Edward Wittig“. IV. Stanisław Woźnicki: „Władysław Skoczylas“. V. Tadeusz Szydlowski: „Jacek Malczewski“. VI. Mieczysław Treter: „Konrad Krzyżanowski“. VII. Władysław Tatarski: „Aleksander Orłowski“. VIII. Wacław Husarski: „Karykatura w Polsce“. IX. Mieczysław Sterling: „Jan Stanisławski“. X. Władysław Tatarski: — „Michał Płoński“. — Każdy tom zawiera 32 reprodukcje.

Dawno odczuwany brak popularnych a wyczerpujących monografii artystycznych zaspakają go-dna pochwały inicjatywa wydawnicza Gebethnera i Wolffa. Z tych związanych szkiców, wydawanych periodycznie, utworzą się z czasem interesujące dzieje sztuki polskiej, w której każdy rozdział pisany będzie przez innego monografa. W barwnej i żywej opowieści zaznajamia nas Stanisław Wasylewski z portretem kobiet w Polsce XVIII wieku, zaznaczając słusznie, że ten portret epoki rozbiorów „nie był polskim portretem kobiety, był raczej portretem kobiety w Polsce“. Głęboka i ciekawa jest analiza twórczości Matejki, dokonana przez Stefanję Zahorską. Autorka rozpatruje indywidualność Matejki, wyłącznie jako malarza, mówi o środkach jego wypowiedza-

nia się, o rozwoju czysto artystycznych zagadnień. Monografia poświęcona Edwardowi Wittigowi, pióra Szczęsnego Rutkowskiego, potraktowana jest bardzo pobieżnie i tonie w powodzi ogólnikowych, dziennikarskich powiedzeń. Najślabszą z wydanych książek jest praca Stanisława Woźnickiego o Władysławie Skoczylasie, gdyż w luźno powiązanych zdaniach, pisanych z myślą insynuowania czytelnikowi fachowości, autor nie daje sylwetki malarza. Poza tem monograf pozwala sobie na nieumotywowane wypady w stronę minionych kierunków i prądów artystycznych, które odegrały ważką rolę i mają pięknie zapisaną kartę w księdze dziejów sztuki nietylko polskiej. Przykładem natomiast rzeczowej, głębokiej, prostej analizy twórczości artystycznej niechaj posłuży monografia Tadeusza Szydłowskiego, poświęcona Jackowi Malczewskiemu. Szkic ten, pozbawiony frazeologii, napuszonych zdań i superlatywów, rozpatruje w sposób wyczerpujący twórczość wielkiego plastyka z rodu poetów i filozofów. Rzeczowa jest również monografia, omawiająca twórczość przedwcześnie zmarłego Konrada Krzyżanowskiego, którego cała sztuka „zasadzała się na żywym i gorącym tętnie serca, na twórczej potrzebie charakteru i wyrazu”, jak słusznie pisze autor tej pracy, Mieczysław Treter. Typowymi rozdziałami z historii sztuki, pisanymi przez fachowego historyka, są dwie monografie pióra Władysława Tatar-kiewicza o Aleksandrze Orłowskim i Michale Płońskim, tych dwóch artystach otwierających na progu XIX wieku epokę polskiego malarstwa narodowego. Interesujący jest szkic Wacława Husarskiego o „Karykaturze w Polsce”. Przy wymienianiu nazwisk karykaturzystów

czasów ostatnich pominął autor niesłusznie Edwarda Porządkowskiego. Dopełnia tych dziesięciu książek monografia Mieczysława Sterlinga, poświęcona twórczości Jana Stanisławskiego, tego największego pejzażysty polskiego, którego styl określić można jako „barwną impresję kształtu”.

E. K.

Jerzy Mycielski i St. Wasylewski: „Portrety polskie Elżbiety Vigée-Lebrun (1755—1842). 24 rycin w heliogravurze na osobnych tablicach. 1927. Lwów—Poznań. Nakładem Wydawnictwa Polskiego.

Książka pod każdym względem piękna i pouczająca. Są w niej trzy teksty: jeden z nich napisał świetny causeur i odtwórca dawnych czasów, Stanisław Wasylewski, drugi opracowany został przez wytrawnego dziejopisarza i badacza sztuki polskiej, prof. Mycielskiego, a trzeci... stworzyła ta pani, której imię i nazwisko znajduje się w tytule książki. „Madame Vigée-Lebrun — pisze o niej Wasylewski — mistrzyni różowej buzi, greckiej koafiury i słomkowych kapeluszy (które żyją i mówią na obrazach), poetka szalów i szarf doprowadziła do bezkresnych wyżyn wdzięk i słodycz wyrazu. Bynajmniej nie największa, ale najprzyjemniejsza z portrecistek”. Prócz zalet tu wymienionych miała jeszcze jedną: że żyła długo. Dlatego to przeglądając kolejno jej obrazy, mamy przed sobą znaczny fragment dziejów nietyłe sztuki, ale także obyczajowości, mody, upodobań, dążeń, a nawet — że tak rzeknę — przeobrażeń rasowych w społeczeństwie europejskim wogóle, w szczególności zaś w polskim. Brak tu tylko dwóch faz twórczości artystki: fazy „sielsko sentymentalnej” oraz „słomko-

wych kapeluszków". Zato reprezentowany jest „okres mitologiczny”, następnie uwypatniają się wpływy rewolucji francuskiej, w końcu twórczość ta podlega wymogom empiru. Rozwija się i coraz większej teźyzny nabiera talent malarski, ale bo też rozwinęli się przez ten czas — przez rewolucję i Napoleona — i ludzie, nabierając fizycznej i duchowej teźyzny. Charakterystyczne tu są, przytoczone przez Wasylewskiego słowa ks. Józefa, że „chce wygrać parę bitew, zanim się da sportretować p. Vigée-Lebrun”. I zaiste, księcia Józefa tu brak w tej galerii portretów, obejmującej prawie wszystkie znaczące osobistości polskie — słynące urodą. Płeć piękna, oczywiście ma tu przewagę. *J. Birk.*

Eligjusz Niewiadomski:
„Malarstwo Polskie XIX i XX wieku”. — Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie. 1926.

Dzieło Eligjusza Niewiadomskiego jest pierwszą pracą w literaturze o malarstwie polskim XIX i XX wieku. Brak podobnej pracy historycznej dawał się odczuwać ogółowi czytelniczemu, interesującemu się sprawami sztuki polskiej. Autor zamknął dwuwieczie malarstwa polskiego w dwu częściach, z których pierwsza obejmuje czasy od epoki średniowiecznej do 1860 r. i nosi nazwę „Preludjów”, druga zaś ciągnie się do czasów ostatnich i zwie się „Złotym wiekiem malarstwa polskiego”. W tych ramach umieszczono grupy artystów, związanych bądź epoką, bądź rodzajem twórczości.

Początki malarstwa polskiego sięgają wieku XV i przejawiają się w sztuce kościelnej. Następne wieki rodzą sztukę dworską. Dopiero stulecie XIX uniezależnia sztukę od protektorów i usamodzielnia artystów.

Pracę swoją rozpoczyna Niewiadomski od Bacciariello, Norblina i Orłowskiego, którzy jeszcze reprezentują sztukę dworską, choć Orłowski właściwie zamyka okres stanisławowski, a otwiera dzieje nowoczesnego malarstwa polskiego. Poprzez zapoznany genjusz Piotra Michałowskiego, tego prekursora narodowego malarstwa polskiego, poprzez wielkich mistrzów złotego wieku malarstwa, reprezentowanych imionami Juljusza Kossaka, Grottgera, Matejki, Chelmońskiego, Fałata, aż do ostatnich wschodzących talentów Stryjeńskiej, Roguskiego, snuje się ciekawa historia malarstwa polskiego dwóch wieków. Autor w sposób zwięzły, dostępny, nawet popularny, zapoznaje czytelnika z długim poczetem malarzy, którzy pracowali na chwałę sztuki polskiej. Może podział na grupy i podgrupy nie jest zbyt szczęśliwy i mało uzasadniony. Np. tytuł rozdziału „Styl i fantazja”, zamykającego ostatnią epokę od Malczewskiego, Wyspiańskiego aż do Ślendrańskiego nie tłumaczy dostatecznie powodów, które skłoniły autora do zamknięcia całego dorobku malarstwa tych czasów w ramach podobnego tytułu. Naogół charakteryzuje tę książkę niezależność i obiektywność sądu, choć możnaby zarzucić autorowi niepotrzebne rozpisywanie się o Gawwińskim, przesadne zachwyty nad Lechowskim, czy doszukiwanie się jakichś niebytych wartości w Mackiewicz przy jednoczesnym bagatelizowaniu twórczości Weissa, Si-chulskiego, Rembowskiego lub przemilczaniu takich talentów, jak np. Wacław Wąsowicz, Pronaszkowie, Hrynkowski, Fedkowicz.

Mimo wszystko książka wypełnia lukę i jest cennym nabytkiem dla czytelnika. Zdobi ją ponad 200 reprodukcji z dzieł różnych malarzy.

E. K.

PRACE LITER.-NAUKOWE

Stanisław Baczyński: — „Losy romansu“. „Rój“. Warszawa 1927.

Poniekąd jest to uzupełnienie wydanej przed paroma laty (Wydawn. Pol. 1924) „Literatury pięknej Polski porzeczniejszej“ tegoż autora. Oto we wstępie spotykamy słowa: „Literatura polska rozwinęła się jednostronnie, głównie w kierunku pragmatycznym, i gdy piśmiennictwo Europy mogło indywidualizować swe walory artystyczne, u nas nie tylko zagadnienia estetyki, lecz nawet filozofia, krytyka literacka, a cóż dopiero publicystyka i powieściopisarstwo, podporządkowały się swoistym zagadnieniom bytu społeczno-narodowego“, co prowadziło „nieledwie do szablonu w tematach, do ubóstwa odmian treści“. Losy powieści czyli romansu polskiego (bo o nim tylko mówi autor, choć w tytule tego nie zaznaczył) były więc naogół pożałowania godne — i to nie tylko w zawiązkach swoich w w. XVIII, ale i później, czyto za romantyzmu, czy w t. zw. okresie pozytywizmu, czy... nawet za panowania modernizmu, który przecie — jedyny z wszystkich prądów — zwalczał tendencję. Modernizm znów miał swój grzech: „przewagę kultu mowy i jej rozrzutność nad walorami konstrukcji literackiej“ — wyjątkowe pod tym względem jest w tym okresie stanowisko Reymonta i Sieroszewskiego, „którzy objawiali poczucie umiaru artystycznego lub odpowiedzialności intelektualnej“, i byli przedstawicielami „zdrowego, ewolucyjnego rozwoju powieści „tradycyjnej“. Do tego typu — za „Trylogię“ — zaliczył Baczyński przedtem Sienkiewicza, a przed nim Rzewuskiego, pierwszego naprawdę

powieściopisarza polskiego. Ostatni rozdział rozważa zadanie literatury obecnej i sytuację, jaka w niej panuje; najobszerniej — i bardzo surowo — oceniona została twórczość Kadena. Trafne jest powiedzenie, że „możnaby wyznaczyć nagrodę za powieść polską napisaną poprawnie, wolną od tańca św. Wita i gadulstwa“; za takie poczytam tu utwory Dąbrowskiej i kilku jeszcze pisarzy. Książka Baczyńskiego obrala sobie wprawdzie za główny temat „Losy romansu“, ale ubocznie mówi też o wspomnianej już wyżej estetyce i krytyce literackiej, którą niejednokrotnie — „przewietrza“. J. Birk.

Aleksander Fredro: „Komedje“. — Tekst opracował, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Eugenjusz Kucharski. Tom I—IV. Lwów—Warszawa—Kraków. Wydawnictwo Zakładu Nar. im. Ossolińskich. 1926.

Marja z Fredrów Szembekowa: „Niegdyś...“ — Wspomnienia moje o Aleksandrze Fredrze. — Z przedmową Adama Grzymały-Siedleckiego. Lwów — Warszawa — Kraków. Wydawnictwo Zakładu Narod. im. Ossolińskich. 1927.

Zbiorowe wydanie dzieł Fredry w opracowaniu Kucharskiego godzi się naprawdę nazwać wzorowem. Podkreślić należy niezmierną sumienność filologiczną co do tekstów — zalety tej bowiem brak niektórym „wydaniom zbiorowym“ naszych poetów (np. Wyspiańskiego). Komentarze ułatwiają zrozumienie treści nawet prostaczkom; zauważyłem jedną tylko omyłkę: Argus — czujny stróż niewieściej cnoty — to nie pies-emeryt z „Odyseji“ (nie

zdołał-ci on obronić Penelopy od natręstwa zalotników!) ale przysłowiowy „Argus stuoki“, pilnujący zakłętej Jony. Pięknie — żywo i z sentymentem — napisany jest „życiorys literacki“ Fredry, oparty w znacznej części na nowych źródłach. Jednym z tych źródeł jest właśnie ów wydany oddzielnie pamiętnik wnuczki wielkiego komedjopisarza, bardzo sympatyczny w swej szczerości i bezpretensjonalności. Czekamy dalszych tomów Fredry — w ostatnich czasach ogłoszono po pismach wiele nieznanych dotąd utworów (przeważnie lirycznych) poety, dających go poznać z innej strony, nie tylko wesołej... Bo Fredro, niestuszną krytyką Goszczyńskiego zrażony, miał w życiu też i przykre chwile, mimo, że w tych sprawach umiał być — jak się wyraża Kucharski — Milczkiem.

J. Birk.

Juljusz Kleiner: „Studja z zakresu literatury i filozofji“. Warszawa 1925. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska“ (Biblioteka historyczno-literacka).

Studja te, treści najrozmaitszej, uszykował autor w trzy grupy, z których pierwsza zawiera przyczynki do dziejów literatury, druga omawia ogólniejsze zagadnienia literackie, trzecia sięga już niemal wyłącznie w dziedzinę filozofji. W grupie pierwszej na szczególną uwagę zasługuje rozprawka „Prorecto księdza Piotra“, ostatecznie wyjaśniająca słynne 44 — na podstawie kabały żydowskiej (na źródło to już poprzednio zwrócił uwagę w swych wykładach uniwersyteckich prof. Sternbach). Dwie inne rozprawki (o balladach Niemcewicza i „Malwinie“ Czartoryskiej) stanowią jak gdyby przygrzywkę do dwóch ciekawych prac o romantyzmie, w których autor zrazu rozpa-

truje „dzieje pojęcia i wyrazu“, poczem omawia problematy romantyzmu, najpierw estetyczne (krótko), następnie (szerzej i to dwukrotnie) filozoficzne; problematy te skonfrontował Kleiner z filozofją Bergsona, udowadniając, że „nie tylko w pewnych zagadnieniach i metodach — w całym dążeniu najistotniejszym bergsonizm zgadza się z romantyką“; tem dążeniem jest postulat wolności i tworzenia. Jakby dla kontrastu z Fichtem, twórcą filozofji romantycznej, w innym szkicu omawia Kleiner filozofję Berkeleya, wykazując u niego pewne niekonsekwencje w pojęciu idei, wywołane wprowadzeniem metafizyki do psychologii i teorii poznania. Studium o mesjanizmie narodowym Krasieńskiego jest jakby uzupełnieniem i pogłębieniem dawnych na tem polu prac Kleinera, od których ten głośny dziś badacz rozpoczynał niegdyś swą działalność („Dzieje myśli“). Ze studjów teoretyczno-literackich „grupa druga“ dwa omawiają kwestje estetyczne, dwa — kwestje metodyczno-badawcze; kwestje to aktualne — nie od dziś, zwłaszcza, gdy chodzi o stosunek treści do formy w poezji; konkluzja tych rozważań brzmi: „treść i forma nie oznaczają grup odrębnych wśród składników dzieła, lecz stosunki wzajemne... badacz nie powinien wprowadzać stałej granicy między treścią a formą, ale zachować płynność, znamioną w procesie genetycznym“. Gdzieindziej znów Kleiner — tęgi przecie filolog — taką przymówkę robi filologicznym rzemieślnikom: „Zawartość tekstu literackiego nie jest systemem znaczeń samych — jest systemem różnorodnych pojęć“. W myśl tych (i innych) zasad krytyki i analizy naukowo-literackiej, tu wyluszczo-

w praktyce — w rozprawie o „Bajkach i przypowieściach” Krasińskiego, położonej na początku książki. Albowiem książka cała — mimo pozorną rozbieżność tematów — jest dziełem wielkiej konsekwencji myślowej, a kamieniem węgielnym wszystkich trzech wspomnianych wiązań jest teza, że „dopiero zespolenie historii, systematyki i teorii literatury stanowi całkowitą wiedzę o literaturze”. J. Birk.

Wacław Lednicki: „Aleksander Puszkini”. — Studja z historii i literatury). Kraków 1927. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

„Literaturę o Puszkynie” zapoczątkował u nas Mickiewicz pięknem i arcytrafnym essay o twórczości swego przyjaciela z lat dawnych — od tego czasu o żadnym z pisarzy rosyjskich tyle w Polsce nie pisano, co o Puszkynie. Zainteresowanie się tym właśnie poetą wynikało jednak u Polaków z pobudek, że tak powiem, nieco egoistycznych: oto Puszkini niedość, że związany był silnymi węzłami z Mickiewiczem — co w twórczości obu dwóch wzajemnie znajdowało odbicie — ale ponadto skierował parę swoich utworów w stronę Polski. Utwory te nastrojem swoim były nam niemiłe, a wywoływały sprzeczne sądy krytyków i społeczeństwa zarówno po stronie polskiej, jak i rosyjskiej. Rozpatrywaniu tych właśnie utworów poświęcił lwia część swej pracy (rozdział: „Dokoła przeciwpolskiej trylogii lirycznej Puszkina”) Dr Wacław Lednicki, najznakomitszy w Polsce — a może i poza Polską — znawca twórczości Puszkina; bierze on poetę rosyjskiego w obronę, wykazując, że ów nie był ani skrajnym szowinistą-rusyfikatorem, ani lizusem łask carskich. Stosunek Puszkina do

Mickiewicza — poruszany nieraz w tym rozdziale — uwypuklił autor jeszcze w trzech drobnych przyczynkach. Za punkt kardynalny ideologii „wieszczą rosyjskiego” poczytuje Lednicki utwór „Jeździec spiżowy” (nie „miedziany”, jak go się zwykło tłumaczyć!) — owo niejako przenicowanie wiersza Mickiewicza o pomniku Piotra W. — o pomniku, przy którym trzymając się za ręce, stali pewnego razu „pod jednym płaszczem” obaj poeci. Najlepsze jednak światło na charakter i umysł Puszkina — zmysłowy do rozpasania, a jednocześnie przejęty świadomością praw moralnych, niby to romantyczny, a jednocześnie grawitujący ku racjonalizmowi — rzuca gruntowne studjum „Poezja małżeństwa i domu”. J. Birk.

Jan Łoś: „Gramatyka polska”.

Cz. I. Głosownia historyczna.

II. Słowotwórstwo. III. Odmiennia (fleksja) historyczna.

Warszawa — Lwów — Kraków. Wydawnictwo Zakł. Narodowego im. Ossolińskich.

Język nasz należy pono do najtrudniejszych w świecie. To też napisanie porządnej gramatyki polskiej jest zadaniem niełatwym. Pierwsze dwa podręczniki gramatyki, mające wartość naukową, ukazały się dopiero po wojnie. Dwie te gramatyki różnią się między sobą charakterem i metodą: Warszawianin Szober zajął się prawie wyłącznie językiem współczesnym, natomiast Łoś, zamieszkały w Krakowie, oparł swój wykład na rozległej podstawie historycznej. O tej historyczności mówią już wyraźnie tytuły części I i III; w tych częściach bowiem element historyczny nagromadzony jest najobficiej, a erudycja autora — który wszak niezmordowanie od lat wielu opracowuje słownik staropolski — przejmując nas czcią ogromną

i podziwem. Dla szerszego ogółu najciekawsza jest jednak część II, mówiąca o słowotwórstwie — tej historii naturalnej słowa; znajdują tu dla siebie sporo wiadomości historycy (wyrazy, jako źródło do dziejów kultury), psychologowie (pierwiastek uczuciowy i wrażeniowy w wyrazach), krytycy literaccy i esteci (zmiany w mowie, wywołane poczuciem obrazowości i dźwięczności). Osobny rozdział — bardzo ciekawy — poświęcony jest tak mądrej dziś kwestji puryzmu językowego, w której zwykło się wypowiadać (prócz ludzi istotnie do tego powołanych) tylu domorosłych i niedouczonej „znawców“, w czem prym dźwierzą różne anonimowe, pseudoanonimowe i kryptonimowe gryzpiórki, zabierające głos, czas i miejsce w pewnym sławetnym tygodniku literackim. *J. Birk.*

Władysław Mickiewicz: „Pamiętniki“. Tom I. 1838 do 1861 z portretem autora. Nakład Gebethnera i Wolffa.

W książce tej pragnęlibyśmy znaleźć jak najwięcej szczegółów, dotyczących genialnego ojca jej autora; niestety zaraz na wstępie powiada Władysław Mickiewicz: „Jakkolwiek moje uczucie synowskie jest tak odemnie nieodłączne, jak konieczność oddychania, jednak ojciec mój występuje tylko z początkiem tych pamiętników“. Wielki Adam, który nie lubił, by o nim dużo mówiono, niewątpliwie byłby syna pochwalił za tę powściągliwość, ale pewnieby go nieco zburczał za słowa następne: „obecność jego przypada na lata, które nie mają historii, gdyż są szczęśliwe i opromienione iluzją młodości“. Dla Mickiewicza-ojca właśnie dzieciństwo było skarbem najciekawszych a także i najobfitszych wspomnień... Ale w każdym razie podziwiać winniśmy i cenić syna,

że w wieku tak sędziwym tyle zapamiętał szczegółów ze swego długiego życia, które — w samym tylko fakcie swego istnienia — było chodzącą tradycją autora „Książki pielgrzymstwa“. Co więcej, „Pamiętniki“ Władysława Mickiewicza, mówiące przeważnie o emigracji polskiej we Francji w okresie powstań, miały być — i poniekąd są — niejako dalszym ciągiem „Książki Pielgrzymstwa“... tylko „Książka“ nie natchnionych, wieszczych, ale przetłumaczonych na zwykłą prozę. Miały one wprowadzić — w myśl autora — ułatwiać cudzoziemcom lepsze zrozumienie sprawy naszej“, jednakowoż niezawsze je ułatwiają; owszem, nadmiar elementu anegdotycznego, nie dla wszystkich równie ciekawego, nieraz zaciemnia nie tylko myśl prawdziwą, ale i konstrukcję dzieła. Jest to naogół kopalnia surowego jeszcze kruszcu, z którego kuć będą dopiero różne przyrzady (niekiedy i fatalaszki) kowale i inni rzemieślnicy, pracujący nad historią literatury czy polityki polskiej. Albowiem Władysław Mickiewicz widział wiele nie tylko faktów, należących do historii, ale i wielu ludzi, tworzących historję. „Kreślę sylwetki ciekawych ludzi, przeżyłem z nimi niezapomniane chwile“... Są to z obcych: Hercen, Bakunin, Klapka, Teleki, Garibaldi, Victor Hugo, De Lamennais i inni, z Polaków: Towiański, Kraszewski, Rzewuski, Sadyk Pasza... (wspominam tylko nazwiska, wymienione w tomie I — w dalszym ciągu pewnie sporo ich przybędzie). Ale najciekawszy i najlepiej opracowany jest rozdział o wielkiej trójcy z Collège de France (niesłusznie tłumacze nazywają ich „trylogją“) — o Mickiewiczu, Michelecie i Quinecie, objawicielach idei czasów przyszłych.

J. Birk.

Jan Nepomucen Miller:
„Zaraza w Grenadzie“. Rzecz
o stosunku nowej sztuki do
romantyzmu i modernizmu
w Polsce. Warszawa 1926. Na-
kładem Księgarni F. Hoesicka.

Książka, z której powodu nakru-
szono tyle kopij i podniesiono wie-
le larum, nie powiem — żeby wo-
jennego — należy do bezpowrotnej
przeszłości. „Zaraza w Grenadzie“
przeminęłaby zapewne bez głośniej-
szego echa, gdyby nie flankowy
atak Millera na granitową postać
Mickiewicza, rzucającą olbrzymi
cień na całe minione stulecie i cza-
sy idące. Wbrew nauce, czerpanej
z ksiąg pierwszych klasyków świa-
ta, Miller — nie wiem doprawdy
gwoździ czemu — postanowił zigno-
rować lwią część dorobku poetycz-
kiego nieżyjącego pisarza, nie mogę
bowiem rozdziału, odsądzającego od
czci wielkiego romantyka, poczyty-
wać za czyn rewizjonistyczny. To
efektowne napozór uderzenie zwró-
ciło mimowoli uwagę inteligentne-
go ogółu na osobę autora „Zarazy
w Grenadzie“. Z dalszych wystą-
pień okazało się jednak, że Millero-
wi idzie przedewszystkiem o wmo-
wienie, iż jest prekursorem nowego
kierunku nazwanego uniwersali-
zmem. Ten nowy termin powstał
rzecz prosta, daleko wcześniej.
Zczasem Miller starał się przykra-
wać do niego przykłady, sprzenie-
wierając się coraz wymowniej sa-
memu sobie. Był to „izm“, wykalku-
lowany przedtem jeszcze, zanim
urodziło się zjawisko, tłumaczące
sam termin. W dyskusji na ten te-
mat, w której zabierali głos różni
pisarze (kto o tem nie pisał!), Mil-
ler początkowo stał na platformie
materiaлистycznej, antyromantycz-
nej i pozytywistycznej. Z chwilą
jednak, gdy zabrali się do uniwer-
salizmu tacy uczeni, jak prof. Wła-
dysław Jaworski, wyszło na jaw, że

uniwersalizm jako termin nie zwia-
stuje nic nowego i że założenia je-
go są metafizyczne, a romantycy
to — najwięksi uniwersaliści. Wów-
czas Miller, nie chcąc uchodzić za
ignoranta (przynajmniej w oczach
prof. Jaworskiego), wyraził milczą-
cą zgodę i stał się i romantykiem,
i pozytywistą, i materiałistą, i me-
tafizykiem w jednej osobie. Zapę-
dzony do matecznika, wydaje stam-
tąd patenty na uniwersalny uni-
wersalizm. Na zakończenie do-
dam, że charakterystyka osób
działających w „Panu Tadeuszu“,
podana przez Millera w sen-
sie odkrywczym jest wielkiem nie-
porozumieniem, gdyż Mickiewi-
czowi właśnie chodziło o uja-
wnienie przekroju ówczesnego spo-
łeczeństwa, niezdolnego do jakiej-
kolwiek aktywności. W tym wzglę-
dzie Miller wyłamuje drzwi otwar-
te przez samego Mickiewicza. Mic-
kiewiczowi szło przecież o przedsta-
wienie nieporadności i pasywności
Polski z pierwszych lat XIX wieku
i właśnie na tle bogatej przyrody
litewskiej. I w tem właśnie tkwi
owa prawda życiowa poematu. Zre-
szta Mickiewicz nieinaczej sądził
o „Panu Tadeuszu“. W liście do
Odyńca pisze o tym poemacie: „Co
tam najlepsze, to obrazki z natury
kreślone, naszego kraju i naszych
obyczajów domowych“. Definicja
millerowska romantyzmu, jako
ucieczki od otaczającego życia i ka-
pitulacji wobec nakazów chwili, nie
jest również rzeczą nową. Uczynił
to przed laty Adolf Nowaczyński,
nacierając impetycznie i z większą
brawurą na romantyzm, w znanym
powszechnie meandrze, zaczynają-
cym się od słów „Gwiżdżę na wa-
szą romantyczną trójkę“. „Zaraza
w Grenadzie“ jest książką zimnego
intelektu. Zastygłe w martwocie
zdania i wydłużone nadmiernie
okresy nie przemawiają do wyo-

braźni czytelnika, który oczekuje czegoś innego: pulsacji krwionośnej.

Cieężko mi pisać te słowa pod adresem dawnego kombatanta z pod chorągwi „Czartaka”, sądząc jednak, że autor „Zarazy w Grenadzie”, świadomy rozdwojeń i rozdźwięków, zachodzących we współżyciu najlepszych bodaj przyjaciół, tych kilka uwag na temat jego książki, nie zaliczy mi do kategorii wypadków osobistych. E. K.

Juljusz Słowacki: „Dzieła wszystkie”. Pod redakcją Juljusza Kleinera. (Dotychczas t. I—IV i X). Lwów. Wydawnictwo Zakł. Nar. im. Ossolińskich.

— „Król-Duch”. Wydanie zupełne, komentowane. Ułożył i komentarzem opatrzył Jan Gw. Pawlikowski, brzmienie tekstów i rękopisów ustalił Michał Pawlikowski. — Nakładem H. Altenberga we Lwowie.

Marzył wielki poeta, że kiedyś dzieła jego zajmować będą całą półkę w czyjejs bibliotece. Nieprędko jednak marzenie to się spełniło. Znaczna — znacznie większa — część dzieł tych nie została wydana za życia poety, a nawet i po jego śmierci przedziwnie miała koleje. Pierwszy, który się nią zajął, Małlecki, czcił wprawdzie poezję Słowackiego, ale nie wszystko w niej rozumiał, zresztą świadomie wiele z tej ogromnej spuścizny bądź przemilczał, bądź poprzekręcał, niedźwiedzią przysługę oddając niekiedy autorowi „Króla-Ducha”. Grzech ten pierwotny zaciężył i na następnych wydawcach, którzy na zbyt Małleckiemu wierzyli; to też wszystkie dotychczasowe wydania zbiorowe pełne były błędów. Dopiero sumienne badania późniejsze ukazały we właściwym świetle nie tylko brzmienie tekstu, ale i głę-

boki, istotny sens utworów, określanych dawniej jako „niejasne”. Tyczy się to głównie wielkiego „dzieła genezyjskiego”, które z całą słuszością twórca jego uważał za rzecz pełną prostoty i konsekwencji. W zbiorowym wydaniu, które na 16 tomów rozłożyli wydawcy, należałoby i to koniecznie — dodać tom listów, gdyż te (wobec wyczerpania się wydania Méyeta - Kridla) są naogół niedostępne dla sfer czytelniczych, a chyba zasługują na szerokie rozpowszechnienie; zresztą — wobec odkrycia nieznanych dotąd listów Słowackiego — wydanie ich kompletne staje się nieodzowne.

J. Birk.

Aleksander Świętochowski: „Historja chłopów polskich w zarysie” I. W Polsce niepodległej. Lwów — Poznań 1925. Nakładem Wydawnictwa Polskiego.

Dzieło przygotowywane od lat wielu, pełne niezmiernej erudycji; autor pisze w przedmowie, że przestudjował około 1500 druków, mających związek z historją chłopstwa w dawnej Polsce. Niestety ta obfitość niekiedy raczej utrudnia niż ułatwia zrozumienie wielu szczegółów; kwestji pochodzenia chłopów oraz pierwotnego ich stosunku do ziemi i osobistej własności nie zdołała bowiem po dziś dzień wyjaśnić nauka. W średniowieczu włościanstwo było wielce zróżniczkowane, czego ślady po dziś dzień widoczne w nazwach wsi; myli się jednak autor, poczynając nazwę „Bartodzieje” za patronymicum — jest to bowiem nazwa wsi „narokowej”, oznaczająca dostawców „barci” czyli ulów pszczelnych (porównaj „koło-dzieje”). Jednolitość pewną w ustroju stanu wieśniaczego wprowadza Kazimierz Wielki „król chłopów”, je-

dnakże wnet po jego śmierci (pakt koszycki) popadają chłopci w poddaństwo, usankcjonowane ostatecznie statutem piotrkowskim — za Olbrachta bowiem, jak słusznie mówi Świętochowski, szlachta nie „wyginęła”, lecz „zapanowała nad chłopami. Odtąd dwa wieki następne — to okres wielkiej niedoli i katuszy ludu polskiego. Świętochowski nie owija tej rzeczy w bawełnę, owszem surowo piętnuje tę czarną plamę naszej historii, jednakże wykazuje — w imię prawdy — że Polska w tym względzie czystsze ma sumienie, niż inne kraje ościenne. Mniej u nas, niżli gdzieindziej, było buntów chłopskich; zaznaczę jednak, że autor, wspominając Chmielnickiego i inne ruchy chłopstwa ruskiego, dziwnym trafem przeoczył jedyne powstanie zbrojne chłopów rdzennie polskich pod wodzą Kostki Napierskiego. Powtórę w ciągu tych dwóch wieków nie brak było jednostek szlachetnych, które dążyły do naprawy doli ludu. Należą tu królowie: Jan Kazimierz i Leszczyński. pisarze: Rej, Klono-

wicz, Modrzewski, Kromer, Skarga, Birkowski, Starowolski, Staszic, Kołłątaj — nazwiska dwóch ostatnich związane są z Sejmem Czteroletnim, co radził nad tą sprawą. Zamyka całą książkę świetlana postać Tadeusza Kościuszki — tego, który najwięcej zrobił dla chłopów. „Miarą pragnień Kościuszki jest jego testament, którym on chłopów w swoim majątku zupełnie uwolnił i uwłaszczył — o wiele lat przedtem, zanim na to zdobyły się najliberalniejsze rządy w Europie”.

J. Birk.

A. M. Świnarski: „Widowsko o doktorze Faustie”. Poznań 1927.

Pięknie wydane opracowanie inscenizacyjne „Fausta” Goethego w koncepcji dwuwieczorowej oparte jest o przekład Emila Zegadłowicza i zawiera szereg własnych projektów inscenizacyjnych autora w zestawieniu z innemi jak Reinhardta, Baumbergera, Szpringera, Pronaszki, Teatru narod. w Warszawie. Rzecz przemyślana, a w szczególności swej cenna. *Z. H.*

KRONIKA

Nasza przeszłość. „Czartak” z 1928 r. jest trzecim z rzędu tomem tego zbiorowego wydawnictwa. Pierwszy wyszedł w r. 1922, pomyślany jako pierwszy zeszyt zamierzonego miesięcznika, drugi z 1925 r. zawarł antologię poetów „Czartaka”, poprzedzoną przedmową E. Kozikowskiego. Niniejszy, trzeci, o rozszerzonym zakresie, oddajemy właśnie w ręce publiczności.

Nowi Czartakowcy. Zbór poetów „Czartaka” powiększyli od

1925 r. Zofja Kossak-Szczucka, Jan Wiktor, Józef Birkenmajer i Wiktor Hanys. Z drogami Zofji Kossak-Szczuckiej zeszły się w pewnym momencie nasze drogi i powitaliśmy się wzajemnie z radością, odkrywając skarby wspólnoty. Toć to autorka „Pożogi” i tak bliskich nam „Wielkich i małych”. Jan Wiktor, autor „Burka” i „Legend o grajku bożym” spowinowacił się z nami rodzajem swej twórczości i postawą wobec życia. Nie wiedząc

o „Czartaku“ był już naszym towarzyszem, którego nie mogliśmy chyba wyminąć. Józef Birkenmajer pracuje literacko już od szeregu lat. Nazwisko jego nie będzie zatem obce czytelnikowi. Znajomość z nim odświeżyć może przeglądnięcie rejestru jego prac. Choć nie pracował z nami od początku, optował na rzecz „Czartaka“ i jest dziś jego obywatelem. Na innych prawach wchodzi do „Czartaka“ Wiktor Hanys. Jest z nas wszystkich najmłodszy. Nie ma za sobą nic jeszcze, chyba skończone dwadzieścia jeden lat i zdolności, w które wierzy. Wyszedł z zapadłej wioski ze Ślemienia, który uważa za najpiękniejszy klejnot Beskidu. Płasają przed nim dziwożony poezji. Boryka się z życiem, objawia zaciętość w pracy i ma otwartą głowę. Pójdziemy więc razem młody przyjacielu! Twoja obecność pośród nas świadczy najlepiej o tem, że „Czartak“ żyje.

Plastyki w „Czartaku“. Plastyka to odrębna republika na własnych prawach. Nie nam poetom o niej rozprawiać. Plastyki wypowiadają się dostatecznie środkami swej sztuki. Gdy jednak tak wielkie wśród nich panuje zróżnicowanie, gdy zdaje się, że poza materiałem w zakresie rzeczowym i poza najogólniejszą miłością sztuki w zakresie idei nic ich często nie łączy — patrzcie: oto w „Czartaku“ spotkacie ich razem najlepszych przedstawicieli wszystkich żyjących pokoleń. Oto Fałat, Weiss, Pronaszko, Hrynkowski, Kowarski, Misky, Mroziński, Gedliczka, Porządkowski. Cóż ich łączy? Beskid, którego motywy na swój sposób odzwierciedlają. A czynią to z miłości dla piękna, odkrytego w tej ziemi. Przez nich i my widzimy niejedno, co oni dostrzec potrafili. Wzbogacają naszą świadomość zatem. Przygoto-

wują i kształtują formę naszych wizyj, a formy od treści nic odłączyć nie może. Przetośmy bracia.

Etyka w życiu. Wbrew praktyce pism literackich „Czartak“, wprowadziwszy dział sprawozdawczy z ruchu art.-literackiego, nie zamieszcza w nim sprawozdań z dzieł i utworów Czartakowców, sąd o nich zostawiając innym na łamach od siebie niezależnych.

Nakładcy i przyjaciele „Czartaka“ to kilka instytucyj i jednostek dobrej woli, obywateli Beskidu, którzy w dzisiejszych zmaterializowanych czasach rozumieją znaczenie idei, piękna i sztuki w działaniu regionalnem. Pomoc ich w niejednym była także moralnem poparciem naszych dążeń. Rari aves! Są nimi: Rada Powiatowa w Białej, Rada Miejska w Białej, Rada Miejska w Myślenicach, Rada Powiatowa w Wadowicach, Rada Miejska w Wadowicach, Rada Powiatowa w Żywcu, arcyks. Karol Stefan Habsburg z Żywca, hr. Tarnowska z Suchej, poseł i redaktor Marjan Dąbrowski, Stanisław Burtan, Dr Józef Kubiczek, Kazimierz Hommé, gen. Julj. Bijak.

Nasi wrogowie. Mamy nie tylko szczerych i życzliwych przyjaciół, których umiemy cenić, ale także wrogów i to dwojakich: jawnych, którym idee nasze nie odpowiadają i ci walczą z nami otwarcie, oraz takich, którzy udają naszych przyjaciół, a sądzić o nich należy to, co mówi o nich przysłowie „chroni mnie Boże od przyjaciół, bo z moimi wrogami sam sobie dam radę“. Ci schlebiają nam z jednej strony i mają na ustach słodkie i fałszywe słówka, a z drugiej usiłują naruszyć fundament wspólnoty „Czartaka“, podjudzając osobiste ambicje jednostek. Razi ich wszelkie braterstwo zwłaszcza w imię idei, boją się na-

szej siły. Woleliby mówić z każdym z nas z osobna i na osobności. Typy takie znane są po giełdach, z którymi nie mamy nic wspólnego.

Teka autolitografij „Czartaka” wykonana została w zakładzie artystycznej litografii A. Pruszyńskiego w Krakowie.

W pogrzebie Juliusza Słowackiego w czerwcu 1927 r. wziął „Czartak” udział, składając u trumny geniusza skromny wieniec z jędriny, jałowca i kłosów żytnich, ozdobiony ptaszkami Wowra. Wieniec nieśli Emil Zegadłowicz, Tadeusz Szantroch, Jan Wiktor i Wiktor Hanys. Gdy trumna z prochami Króla-Ducha, salutowana przez marszałka J. Piłsudskiego szła w majestacie między groby królewskie — gromadka poetów „Czartaka”, stojąc na dziedzińcu wawelskim w deszczowej ulewie, żegnała ją płonących serc podniesieniem.

Zmarli protagoniści. Spoglądając wstecz na drogę odbytą od 1925 r. chyliny w żałobie czoła przed zmarłym w tym czasie Władysławem Reymontem, potężnym dębem z rodzimej gleby wyrosłym, piewą „Chłopów”, żegnamy się z głębokim odczuciem poniesionej straty ze Stefanem Żeromskim, świadomym regionalistą, rapsodem „Puszczy jodłowej”, a obejmując myślą i sercem, choć bynajmniej nie przez ostatni „Mój świat” Jana Kasprowicza stwierdzamy, że świat ten jest i naszym światem. Nad grobem Stanisława Przybyszewskiego przemawiał Emil Zegadłowicz. Musimy przyznać, że z tej miłości do sztuki, sięgającej dna duszy, jaką apostołował Stanisław Przybyszewski wyszliśmy wszyscy.

W 20-lecie śmierci Stanisława Wyspiańskiego w listopadzie 1927 r. owładnął nas żal, że teatry polskie nie poczuły się do

obowiązku nowych inscenizacji wspaniałych dzieł wielkiego budowniczego sceny polskiej. „Syn mija pismo”.

Juljan Fałat. Wielki to dla nas zaszczyt, że obchodzący w tym roku 75-lecie twórczego żywota znakomity artysta, b. dyrektor Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, świetny malarz w wielkim stylu, twórca doskonałych scen myśliwskich, niezrównanych śniegów i krajobrazów beskidzkich stanął w jednym z nami szeregu dla umiłowania tej ziemi, z którą zrosił się i którą sławi. „Czartak” z dumą spogląda na dzieło Juliana Fałata, witając go z największym poważaniem w swym gronie.

Dożynki Orkana. Druh nasz serdeczny i starszy przyjaciel, Władysław Orkan, gazda Podhala i organizator jego zasobów duchowych święcił w ubiegłym roku 25-lecie pracy literackiej. W jubileuszu tym wzięliśmy udział w Krakowie. Z tego miejsca wołamy na autora „W roztokach” i „Drzewiej” krzepkiem pozdrowieniem od gór do gór idącym, a nie chcąc postarzać go zbyt ceremoniałem jubileuszowym, podajemy mu w szczerem a wdzięcznym uściśnieniu dłoń z sercem na niej położonem.

Vlastimilowi Hofmanowi składa „Czartak” także z okazji minionego 25-lecia pracy artystycznej hołd w kilku prostych słowach, które wskazać chcą przede wszystkim na te promienie czujnej miłości, jakie były już ku młodości naszej od jego wiejskich Madonn, kapliczek, ptaszków i dzieci. Ten świat biedoty, pełnej Boga i świętości, ogarniamy na równi z artystą sercem miłującym. Wiąże nas z nim głębsze w niejednem pokrewieństwo. Jak jego pastuszkowie i dzieci, odczuliśmy potrzebę skrzydeł wśród rzeczywistości, od której je-

dnak bynajmniej nie odeszliśmy, lecz umiłowawszy ją, przemienili.

Wieczorypoetyckie „Czartak” odbyły się dnia 6. III. 1927 r. w Krakowie z udziałem art. dram. Artura Sochy i p. Taidy Granowskiej, w Szczawnicy dnia 23. VII. 1927 r., a w Poznaniu dnia 14. X. 1927 r. z udziałem art. dram. Stanisławy Wysockiej. Wszędzie przyjmowano nas bardzo życzliwie — a tłumna frekwencja przekonała nas, że znajdujemy oddźwięk w społeczeństwie.

Okladka, inicjał i klisze, użyte w obecnym „Czartaku” są dziełami następujących artystów i firm: okładkę wykonał art. mal. Zbigniew Pronaszko, inicjał we wstępie Emila Zegadłowicza jest drzeworytem Zdzisława Gedliczki. Klisze cynkowe z okładki oraz z rysunków Zbigniewa Pronaszki, przedstawiających w karykaturze podobizny autorów, wykonał techniką kreskową zakład reprodukcji fototechnicznej St. Welanyka w Krakowie.

Ciągłość wydawnictwa. Począwszy od r. 1928, pokrywszy przerwę od 1925 r. niniejszym bogatym tomem, będzie „Czartak” wychodził jako półrocznik z działami twórczym i sprawozdawczym.

Redakcja „Czartaka”. — „Czartak” w 1928 r. powstał pod redakcją Tadeusza Szantrocha, Wadowice, ul. Słowackiego 22. W Warszawie reprezentuje redakcję Edward Kozikowski ul. Puławska 12, m. 13., w Poznaniu Emil Zegadłowicz, Chwaliszewo 15/16.

Poprzednie zeszyty „Czartaka” są do nabycia: „Czartak” z 1922 r. u E. Kozikowskiego, Warszawa, ul. Puławska 12 w cenie 1.50 zł. za egzemplarz (w ograniczonej ilości), a „Czartak” z r. 1925 w księgarni S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie w cenie 6 zł. za egz.

Druk „Czartaka” wykonała drukarnia „Czasu” w Krakowie pod kierunkiem dyrektora Leopolda Wójcika.

SPIS RZECZY

ZDZISŁAW GEDLICZKA:	Jabłonka (drzeworyt).
EMIL ZEGADŁOWICZ:	Słowo wstępne.
ZBIGNIEW PRONASZKO:	Józef Birkenmajer (rysunek).
JÓZEF BIRKENMAJER:	Medytacje.
ZBIGNIEW PRONASZKO:	Janina Brzostowska (rysunek).
JANINA BRZOSTOWSKA:	Ewa — Adam — Sąsiad — Poemat okien — Szczęście — Z czerwonego klasztoru — Tajemne zmartwychwstanie — Z ziemi mojej — Wschód — Z szczytu Babiej Góry — Tęsknocie — Pozdrowienie — Cisza zimy — Głosa o przyrodzie.
ZBIGNIEW PRONASZKO:	Wiktor Hanys (rysunek).
WIKTOR HANYS:	O tem, jak dwaj zaszli na miedzę — Mo- menty — W noc księżycową — Lesiste opowieści — Na hali — Któregoś wrze- śnia — Zgrzebna płachta.
ZBIGNIEW PRONASZKO:	Zofja Kossak-Szczucka (rysunek).
ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA:	Po latach — List.
ZBIGNIEW PRONASZKO:	Edward Kozikowski (rysunek).
EDWARD KOZIKOWSKI:	Całe łany pierwiosnków — Dzwonek Panny Marji w Goryczkowcu — Mokry Staw — W drodze — Przy schronisku Hugona Zapalowicza — Na szczycie Ja- łowca — Ballada o młynie — Z Sokolicy pienińskiej — Rozłąka — Wąską miedzą — Głosa o marzeniach i tęsknotach naszych.
ZBIGNIEW PRONASZKO:	Tadeusz Szantroch (rysunek).
TADEUSZ SZANTROCH:	Przyjacielowi przyjeżdżającemu do Be- skidu — Wieczór w górach — Z wiatrem, z wodą — Na Kocierzu — W Ponikiewskiej dolinie — Widok z gór na miasto wiecz- rem — Jarzębina w ruinie — Wnętrze gór — W Pieninach — W kolibie starego bacy — Centaury w Beskidzie — Głosa o mitach, faktach i możliwościach.
ZBIGNIEW PRONASZKO:	Jan Wiktor (rysunek).
JAN WIKTOR:	Błazen z przydrożnej karczmy.

ZBIGNIEW PRONASZKO: Emil Zegadłowicz (rysunek).
EMIL ZEGADŁOWICZ: Jałowcarz.
LUDWIK MISKY: Trzy drzeworyty do »Jałowcarza«.
EDWARD PORZĄDKOWSKI: Poławiacze piasku (drzeworyt).

PRZEGLĄD LITERACKI

JÓZEF BIRKENMAIER: Z lotu ptaka.
DZIAŁ SPRAWOZDAWCZY: (Beletrystyka, poezja, przekłady, plastyka,
prace lit.-naukowe).
KRONIKA.

TEKA AUTOLITOGRAFIJ

JAN HRYNKOWSKI: Cyganka.
FEL. SZCZĘŚNY KOWARSKI: Baca.
LUDWIK MISKY: Czartak.
JAN MROZIŃSKI: Dworek w Beskidzie.
ZBIGNIEW PRONASZKO: Ulica w Suchej.
WOJCIECH WEISS: Kalwarja.
JULJAN FAŁAT: Skrzeczna widziana z Bystrej. — Widok
z Bystrej na Klimczok.

TEKA AUTOLITOGRAFIJ CZARTAKA

J. HRYNKOWSKI
CYBANKA

F. S. KOWARSKI
BACA

L. MISKY
CZARTAK

J. MROZIŃSKI
DWOREK W BESKIDZIE

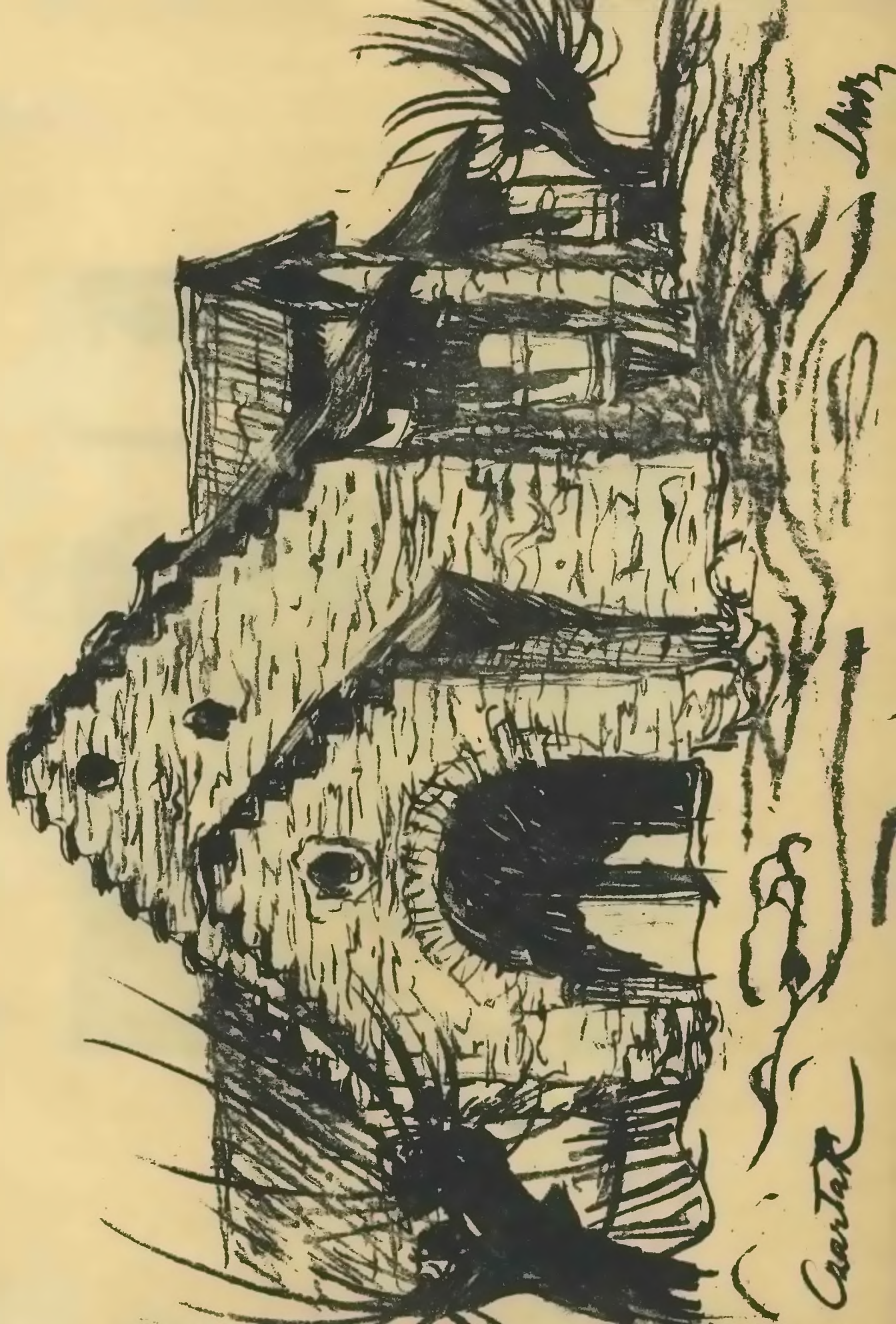
Z. PRONASZKO
ULICA W SUCHEJ

W. WEISS
KALWARJA

J. FAŁAT
SKRZĘCZNA WIDZIANA Z BYSTRY
KIMCZOK WIDZIANY Z BYSTRY.









2P









Fatal Bustro



REJESTR WYDANYCH KSIĄŻEK AUTORÓW »CZARTAKA«

JÓZEF BIRKENMAJER:

- »Opowiadania starej Margoški«, Poznań, Księg. św. Wojciecha, 1927.
- »Poszumy Bajkału«, Poezje, Zakopane, 1927.
- »Łzy Chrystusowe«, Nowele, Poznań, Spółka pedagogiczna, 1927.
- »Rewelacja rewelacyj« (Księga pamiątkowa poświęcona T. Dąbrowskiemu), Warszawa, Fr. Hoesick 1927.
- R. L. Stevenson: »Wyspa skarbów« (przekład), Poznań, Wydawn. Polsk., 1924.
- W. B. Yeats: »Opowiadania o Haranhanie Rudym«, Tajemnicza Róża Rosa Alchemica (przekład z przedmową tłum.), Poznań, Wydawn. Polsk. 1925.
- Karol Gjellerup: »Gdy ujrzał ją« (przekład), Poznań, Wyd. Polsk., 1926.
- R. L. Stevenson: »Porwany za młodu« (przekład), Poznań, 1927.
- R. Tagore; »Góra« (przekład), Poznań, 1927.
- A. H. Smith: »Złoto z Porto Bello« (przekład), Poznań, 1927.
- R. Kipling: »Kim« (przekład), Poznań, 1927.
- »Powiastki dla małych dzieci« (przekład), Poznań, 1927.

JANINA BRZOSTOWSKA:

- »Szczęście w cudzem mieście«, Poezje, 1925.
- »O ziemi i mej miłości«, Poezje, 1925.
- »Erotyki«, Poezje, 1926.

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA:

- »Pożoga«, Pamiętnik 1922. Wyd. Krak. Spółki Wydawn. Obecnie wydanie 4-te.
- »Beatum scelus«, Powieść historyczna 1924. Wyd. Krak. Spółki Wydawn. Obecnie wydanie 2-gie.
- »Kłopoty Kacperka, góreckiego skrzata«, Bajka dla dzieci z ilustracjami 1925. Wyd. Krak. Spółki Wydawn.

- »Wielcy i mali«, kilka opowiadań z dziejów Śląska Cieszyńskiego 1926. Wyd. Krak. Spółki Wydawn.
- »Z miłości«, Szkic powieściowy o św. Stanisławie Kostce 1926. Wyd. OO. Jezuitów.

EDWARD KOZIKOWSKI:

- »Płomyk świecy«, Poezje, 1921.
- »Tęsknota ramy okiennej«, Poezje, 1922.
- »Antologia poezji murzyńskiej«, Poezje (wespół z Emilem Zegadłowiczem), 1923.
- »Koniec Hortensji Europy«, Poezje, 1925.
- »Wymarsz świerszczów«, Poezje, 1925.

TADEUSZ SZANTROCH:

- »Poezje«, 1906.
- »Z lutni żołnierza«, Poezje, 1916. Centr. Biuro Wydawn. N. K. N.
- »W zorzach krwi«, Poezje, 1918. Krak. Spółka Wydawn.
- »Cyklady«, Poezje, 1924. Kraków, S. A. Krzyżanowski.

JAN WIKTOR:

- »Oporni«, nakład Wydawnictwa Polskiego. Lwów, 1919 (wyczerpane).
- »Przez łyżę«, nakład Biblioteki Polskiej, Warszawa, 1922.
- »Burek«, nakład »Płomień« księżnicy nauk. Przemyśl, 1925.
- »Legendy o grajku Bożym«, z drzeworytami Zdz. Gedliczki, nakład »Płomień«, Przemyśl, 1925.

EMIL ZEGADŁOWICZ:

Poezje i poematy:

- »Drogą życia«, Poezje 1908.
- »Nad rzeką«, Poemat, 1910.
- »Powrót«, Poezje i poematy, 1911.
- »Imagines«, Poezje, 1918.
- »Odejście Ralfa Moora«, Poemat, 1919.
- »Ballady«, 1920.
- »Dziewanny«, (ballady wtóre), 1921.
- »U dnia, którego nie znam stoję bram«, Poemat, 1921.
- »Kołędziółki beskidzkie«, 1923.

»Powsinogi beskidzkie«, 1923.
 »Zielone święta«, 1924.
 »Ballada o Wówrze«, 1924.
 »Przyjdź Królestwo Twoje«, 1924.
 »Wielka nowina«, 1924.
 »Kantyczka rosista«, 1924.
 »Gody pasterskie«, 1925.
 »Godzinki«, Poezje, 1925.
 »Krag«, Poezje, 1926.
 »Dom jałowcowy«, Poezje, 1926.
 »Godzina przed jutrznią«, Powieść, 1927.
 »Dziewanny«, 1927.
 »Siedem pieśni zgrzebnych o Janie Kasprowiczu«, 1927.
 »W obliczu gór i kulis«, Poznań, 1928.

D r a m a t y:

»Noc św. Jana Ewangelisty«, Misterjum balladowe, 1923.
 »Nawiedzeni«, Misterjum balladowe, 1923.
 »Lampka oliwna«, Tragedja, 1924.
 »Łyżki i księżyc«, Groteska, 1924.
 »Głaz graniczny«, Dramat, 1924.
 »Alcesta«, Dramat, 1925.
 »Betsaba«, Dramat, 1926.

P r z e k ł a d y:

»Tematy chińskie«, 1918.
 Walter Hasenclever: »Antygona«, Tragedja, 1924.
 J. W. Goethe: »Faust«, część I, 1925.
 — » część II, 1926.
 Gozzi: »Turandot«, 1927.

ODBITO W Drukarni »CZASU« W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM LEOPOLDA WÓJCIKA
ROKU TYSIĄC DZIEWIĘCSET DWUDZIESTEGO
===== ÓSMEGO. =====